



Egz. archiwalny IBC

ARTUR GRUSZECKI

DLA MILIONA

POWIEŚĆ



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1900

ARTUR GRUSZECKI



DLA MILIONA

POWIEŚĆ



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-68

WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1900



21.988

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

I.

— Hej ty tam!... Dlaczego robisz tak powoli?! — zawołał pan Lejzor Krausberg, współwłaściciel kopalni wosku ziemnego.

— Toć idę — odburknął głośno robotnik, dzwigający w prawej ręce kubek napelniony kawałkami łupku, dobytymi z głębi jamy woskowej i przystanął.

— Ty nie pyskuj, tylko rób — wołał rozgniewany współwłaściciel, wysoki, szczupły brunet, z twarzą oliwkową, porośniętą szpakowatą brodą i krótkimi pejsami, sterczącymi z pod kapelusza kastorowego, z wysokim denkiem, zatłuszczonego i błyszczącego.

Robotnik bosy, w zgrzebnej koszuli zawiązanej u szyi, roztwartej na piersiach, przepasanej paskiem i spuszczonej niemal do kolan na zgrzebne spodnie, posunął się leniwie dalej, patrząc z pogardą na złośczącego się właściciela.

Na usłyszany hałas, wyszedł szybko z pod dachu z desek, okrywającego jamę woskową, gruby, przysadzisty dozorca i niezgrabnie biegł ku stojącemu p. Krausbergowi.

— Co to jest? — mówił szybko w żargonie właściciel — ty Uszer za to bierzesz pieniądze, aby pilnować to bydło.

— Nu, co się stało, panie Lejzor? — spytał zaszapany.

— Ten tam łajdak, ten lepiarz ledwie powłóczy nogami — mówił, wskazując na robotnika, wracającego z pustym kubłem, który nosząc wydobyty łupek i lep, należał do tak zwanych lepiarzy.

— Ten?... Ja jego wypędzę.

— Ty nie wypędzaj Uszer — mówił spokojniej pan Krausberg — z nich każdy leniwy, jego trzeba pilnować, a teraz idź do roboty.

Uszer poszedł szybko do jamy woskowej, a jego gromki głos wyzywający robotników był miłym dla pana Lejzora, bo się uśmiechał i tryumfalnie rozglądał wokoło, rad swej powadze i znaczeniu.

Patrzył z pewną chępliwością i lubością na liczne jamy, pokopane w odległości do trzech metrów jedna od drugiej. Każda była nakryta dachem z cienkich desek, pod którym robotnicy pracowali. Jedni w głębi jamy — to właściwi górnicy czyli jamarze, na powierzchni dwóch kręciło korbą, na której odwijala się i rozwijała dość gruba lina, windująca pracę jamarzy w kublach.

Wszędzie, wokoło, powietrze było przesycone ostrą wonią nafty i surowego wosku ziemnego. Pomiędzy jamami przepływały leniwo potoczki wybieranej z jam wody podskórnej, brudnej, żółtawej, z pływającymi oczkami ropy naftowej, błyszczącej w promieniach słońca

metalicznie. Wyrzucana glina, szuter, piaskowiec tworzyły obrączki to wyższe, to niższe około jamy, a przy każdej z nich była w ruchu grupa robotników, zabrudzonych, nędznych, chmurnych, pełniących pracę z musu, bez żartów, rozmów, piosenki.

Między jamami, to tam, to owdzie przesuwali się żydzi, w butach wysokich, bez chałatów, rzucali sobie słowa w żargonie i szli dalej zajęci gorączkowo.

Pan Krausberg założywszy ręce w tył, szedł dalej, rozglądając się bacznie, nie zważając na kałuże i błoto, opryskujące zrudziałe cholewy i chałat zbrudzony, z wielkimi tłustymi plamami.

Poranek majowy, pogodny, promiejący słońcem, prócz jasności rozświetlającej szczegóły kopalni i ciepła, nie zaznaczał się na Wolance, na małej wyniosłości dominującej nad Boryslawiem, ani zielenią murawy, ani świeżym powiewem powietrza mimo bliskości lasów Tuchanowic, wsi za Wolanką położonej.

Duszne wyziewy wosku i nafty surowej; ciężka, nieustająca praca najemników; gorączka interesów u przebiegających żydów panowały tu niepodzielnie.

Dwadzieścia szybów, czyli studzien woskowych, należących w piątej części do p. Krausberga, były w ruchu. Jedne z nich nie dotarły jeszcze do woskonośnych pokładów, inne przynosiły już dochody, do jednego z nich nadszedł p. Krausberg.

— Co słychać u ciebie, Abram?

— Wszystko dobrze, panie Lejzor — odpowiedział dozorca, niski, ruchliwy szatyn, gładząc swą ciemną brodę. — Wosk jest, ale i kindybał także — to mówiąc,

wskazał na kupę żółtawego, z czarnymi żyłkami wosku i na czarną, ciastowatą masę mniej cenną, zwaną w Borysławiu i na Wolance kindybał.

Pan Krausberg spojrział okiem znawcy na jedną kupę, na drugą i mruknął:

— To nic! Ty Abrum zmieszaj razem, ono pójdzie w hurt!

Z kolei zwrócił swą uwagę na pracę trojga dziewcząt, które tępyimi nożami zeskrobywały wosk z łupku, dobytego z jamy. Zazwyczaj bowiem wosk w pokładach, przy pracy oskardem, przychodzi na wierzch zmieszany ze skałą, od której oddzielają go dziewczęta siedzące pod dachem opodal.

Jedna z dziewcząt, ładna, młoda brunetka w czerwonej chusteczce, zawiązanej pod brodą zachichotała głośno, patrząc mile na siedzącego niedaleko robotnika, który rozweselony wołał z uśmiechem:

— Jadłbym cię łyżką, jak miód, Kasiu.

— Eee, nieprawda...

— Abym tak zdrów wyszedł z jamy... oj smakowałabyś mi, smakowała lepiej niż sam miód.

Śmiał się głośno, wtórując chichotom dziewcząt.

— Cicho tam, czy nie widzisz, że jest sam pan właściciel? — gromił dozorca za brak uszanowania.

— Gęby ci nie sprzedałem, ino czas — odparł dość twardo robotnik.

Rozległy się śmiechy, tak pracujących przy korbie, jak i dziewcząt i noszących kamień w kublach.

— Stul pysk! — wrzasnął dozorca.

— Ty Abrum kindybałem zatkał go sobie — za-

wołał Paweł, młody chłop jamarz, jak widno po oskar-dzie i lampce obok stojącej.

— Abram, czy on dobry? — spytał pan Krausberg spokojnie.

— On?... On sobie niczego.

— To niech się śmieje, ja mu pozwalam.

Dzwonek umieszczony nad korwą zabrzmiał w krót-kich odstępach trzy razy, znak, że człowiek wyjeżdża z jamy. Na ten odgłos dzwonka dwaj robotnicy, lepiarze, zajęci noszeniem łupku oczyszczonego do płuczki, poskoczyli do drugiej korby, niedaleko jamy umieszczo-nej, i poczeli równocześnie kręcić z ciągnącymi kubel. Wkrótce jednak poczuli prawie zupełny brak ciężaru i jeden z nich zawołał:

— Maksym jedzie bez pasa — rozumiejąc, że ja-marz nie obwiązał się pasem bezpieczeństwa, lecz swo-bodnie stoi w kuble.

— Wyciągnijcie pas — rozporządził dozorca.

— Ten Maksym zawsze odważny — mruknął za-dowolony pan Krausberg.

— On dobry, żeby nie taki zawadyaka — objaśniał w żargonie Abram.

— Co to nam szkodzi!? — rzekł właściciel, wzru-szając ramionami.

Z głębi jamy wysunęła się głowa, okryta zmokłym, gliną powalany kapeluszem, i zwolna okazała się wy-soka, silna postać jamarza Maksyma, stojącego jedną nogą w kuble, przytrzymującego się liny jedną ręką, a w drugiej dzierżącego lampkę.

Oczy jego szukały spojrzenia Kasi, a spotkawszy

uśmiechnął się, następnie spostrzegł stojącego Pawła i obaj zmierzyli się nienawistnym okiem.

— Nu, Maksym, wosk jest? — spytał z uśmiechem właściciel.

— Mało — odmruknął zagadnięty, wyłaząc z kubła na ziemię — więcej kindybału i sytycy, aniżeli wosku.

— Nic nie szkodzi, aby był wosk.

Maksym nie słuchał tych słów, zwrócony chmurny z nienawistnym spojrzeniem w stronę Pawła, który z uśmiechem żegnał Kasię.

— Ruszaj Pawle! — zawołał dozorca.

Z oskardem i lampką w ręku szedł Paweł ku korbom, patrząc zuchwale w oczy Maksymowi. Tuż przy korbie czekał na niego z pasem w ręku jego przyjaciel Jan, niski, przysadkowaty robotnik, z wygoloną twarzą, i zapinając jedyny podówcześnie pas pod ramionami, szepnął:

— Ty się strzeż Pawle, Maksym zły jak sobaka, a mściwy jak żyd.

— Co mi tam... Równe mamy prawa do Kasi, zobaczmy, kto lepszy!

— Hm... prawa to niby równe, ale on silniejszy.

— He... mam i ja siłę, niech próbuje.

— Hej! wsiadać! — krzyknął dozorca, i Paweł usiadłszy na krawędzi jamy, spuszczoną nogą przyciągnął kubeł, objął linę prawą ręką, stanął jedną nogą w kubie, zostawiając drugą swobodną, by w razie potrzeby mógł się nią odepchnąć od wązkich ścian szybu, szerokiego na jeden metr, i skinąwszy głową Kasi, zjechał w głąb.

Maksym wyjął z tobołka chleb i usiadł niedaleko dziewcząt, a zajadając, kłął przez zęby:

— Skręć leb jak wróblowi, tak mi Panie Boże dopomóż.

— Komuż to? — spytała Kasia.

— Temu pastuchowi, pokrace — zawołał z gniewem, wskazując ruchem głowy na jamę.

— Ee... nie bądź tak zawzięty — szepnęła spoglądając nań zalotnie.

— Darowałbym mu życie, ale tylko dla ciebie.

— Zróbże to dla mnie.

— Maksym! — zawołał dozorca — nie pójdziesz na wódkę? Tam w szybie taki zaduch.

— Może... jak zechcę, nie spytam o pozwolenie.

Abrum pokrył uśmiechem niezadowolenie z odpowiedzi, zachęcanie bowiem do picia było jedną z tajnych umów pomiędzy nim a Ickiem Seemanem, karczmarzem i restauratorem robotników kopalni Krausberga, który udał, że nie słyszy rozmowy, patrząc z uwagą na robotnika, zabierającego w kubel odrzucone przez dziewczęta kamienie.

Kiwnąwszy głową dozorca, szedł p. Krausberg w ślad za robotnikiem do dwóch żydów, którzy na wielkich sitach przemywali otrzymane kamienie. Przyklejone resztki wosku na mocy ciężaru gatunkowego spływały na wierzch przy silnem poruszeniu sita napełnionego kamieniami i wodą. Małym przetakiem wylawiano pływające kawałki wosku i rzucano na kupę.

Właściciel przypatrywał się pilnie nerwowej robocie żydów sitarzy i w milczeniu przeglądał kamienie le-

żące, czy są dobrze wypłukane z wosku. Kamienie tworzyły wielką kupę, po której ku szczytowi posuwał się pan Krausberg. Wszedł na sam wierzch. Przed nim w dolinie rozciągał się Borysław nastroszony dachami deskowymi jam, wieżami kanadyjskimi do wiercenia w ziemi, cały szary, kamienisty od hałdów skał i gliny, wyrzucanych z jam kopanych. Z lewej strony piętrzyły się lesiste góry, z prawej świeciły w dali uprawne, zbożem porośnięte pola. Nie te jednak widoki nęciły pana Krausberga, on patrzył uporczywie, z zazdrością i zawziętością na oliwkowej twarzy, blisko, na kopalnię sąsiada z lewej strony. Tuż obok, na zakupionej mordze gruntu szukał wosku zbankrutowany szlachcic, pan August Bratkowski, który w tej chwili, w szarej marynarce, w lśniących butach i kapeluszu panama na głowie, stał obok jednego z ośmiu kopanych szybów i śmiejąc się, łajając, żartując, zachęcał robotników do pracy.

Przez chwilę patrzył na niego p. Krausberg i jakby nie mógł znieść tego widoku odwrócił się mruknąwszy:

— Abyś ty raz przepadł! — i z wolna zeszedł z hałdy kamieni.

Lecz jak magnes przyciąga żelazo, tak pan Krausberg mimo swej woli raz poraz spoglądał na sąsiadującą kopalnię i bezwiednie zbliżał się do niej.

Stał na granicy naznaczonej płytkim rowczakiem i kilku palikami, spojrzął za siebie i przed siebie i z niewinną miną zaciekawionego zbliżył się do najbliższego szybu.

— A czego? — krzyknął dozorca, pół-chłop pół-mieszczanin, sądząc z ubioru.

— Ja nie, tak przez ciekawość, jak u was idzie, przyszedłem tutaj.

— Ho, ho, u nas dobry wosk, a będzie lepszy — chwalił się dozorca, wskazując na ładny, żółty wosk.

— Tce, tce, — cmoknął żyd, kręcąc głową — wosk bardzo dobry, a dużo?

— Ile tam Pan Bóg da, bywa różnie, i dużo i mało.

— To chwała Bogu, dokopię się i ja takiego.

Na te słowa wszedł pod dach szybu pan Bratkowski, tęgi, średniego wzrostu, ciemny blondyn, z wielkimi wąsami i długą napoleonką, w okularach, przysłaniających ciemno-niebieskie oczy.

— Dzień dobry, panie Lejzor! — zawołał wyciągając rękę.

— Kłaniam panu, — odpowiedział, uchylając kapelusza i ściskając z szacunkiem podaną rękę.

— Co słyhać nowego? dobrego? Jakie ceny na wosk.

— Wszystko po staremu, nic nowego, nic dobrego, a ceny zależne od wosku.

— No, a zatem? — spytał, wskazując na świeżo wydobyty.

— To czysty, dobry wosk... Wczoraj dawano od 15 do 17 guldenów za centnar.

— Hm... cena niezła, ale ledwie. ledwie opłaci koszta... Ileż też kosztuje pana wydobyć centnara.

— To zależy, czasem więcej, czasem mniej, dowiem się przy końcu roku.

— O, ja prowadzę ściśle rachunki, mnie samego centnar kosztuje dziesięć guldenów.

— To pan ma ładny zarobek, — uśmiechnął się pan Krausberg z ukrytą ironią.

— Phi, co za zarobek?! A policz pan procenta od włożonego kapitału, moją płacę za nadzór i rachunki, utrzymanie domu w Drohobyczu, co mi zostaje?

— Żydek byłby kontent, ale pan przyzwyczajony do wydatków...

— Ale, hale... Zapomniałem już panie dobrodzieju o dawnych czasach... Ale, ale panie Lejzor, czy i do pana zajeżdża tak ciągle ten utrapiony komisarz górniczy?

— Jak on ma interes, to przyjedzie.

— A do mnie niemal co drugi dzień, a jeśli nie on to ktoś z policji,

Słuchacz uśmiechnął się złośliwie kącikami ust i spytał z udanem współczuciem:

— I czego oni pana tak napastują?

— A dyabli wiedzą, to próbują siły lin, znów panie dobrodzieju patrzą na materyał, albo na nity rur od młynków, alboż takiemu skurczypale dużo potrzeba, aby mi dokuczyć.

— Hm... hm... a może oni chcą łapówki, — szepnął zcicha, mrugając porozumiewawczo.

Pan Bratkowski machnął ręką, westchnął i rzekł:

— Próbowałem i tego panie Lejzor, ale nie pomaga.

— I tak często przyjeżdża?

— O, bardzo często, pewno i dziś panie dobrodzieju nadleci, bo dwa dni był spokój.

— To źle, to przeszkadza w robocie i psuje robotników.

— No, a jak tam u pana?... Czy tylko pan nie idzie w mój grunt chodnikiem, bo ma pan tam blizki szyb.

— Ja?... My idziemy sztolniami zawsze na zachód, mamy chwała Bogu swój grunt, na co nam obcy?

— A to dobrze, bardzo dobrze, panie Lejzor, bo już chciałem wezwać geometry, aby zbadał.

— Po co ten koszt? Ja sam pilnuję porządku.

Przy dalszym szybie wszczęła się kłótnia, spojrzawszy w tę stronę niespokojnie pan Bratkowski i odchodząc szybko, zawołał:

— Do widzenia, panie Lejzor! Idę ich godzić!

— Kłaniam, kłaniam, — rzekł żyd, zdejmując kapelusz, a po chwili idąc ku swym szybom, szepnął z zazdrością:

— On ma jednak dobry, całkiem czysty воск!

Szedł zwolna, zamyślony, w tem z jednego szybu zbliżył się szybko dozorca i prawie szeptał:

— Panie Lejzor, u mnie liny słabe, trochę przetarte, może być wypadek...

— Jak dawno liny w robocie?

— Drugi tydzień, ale to taki gałgański materiał.

— Muszą służyć dalej — zdecydował pan Krausberg.

— Nu, a jak będzie wypadek?

— Czy ty włączysz do szybu? — uśmiechnął się złośliwie.

— Ja, nie!

— Bądź spokojny, ludzie znajdą się zawsze.

Dozorca poszedł do swej roboty, a pan Lejzor dumny swą oszczędnością i ścisłym rachunkiem, które z biedaka zrobiły go jednym z współwłaścicieli dwudziestu szybów, powiódł w około tryumfalnym okiem. On czuł w tej chwili swoją wartość i wielkość, od którego zależało teraz około dwustu czterdziestu ludzi, pracujących dla niego, dobywających dla niego pieniędzy z głębi dusznych, niebezpiecznych szybów. Patrząc, spotkał wzrokiem i ośm szybów sąsiada, zabłysły mu oczy chciwością, przyciął zębami wążkę wargi, i po chwili szepnął w rodzaju pocieszenia:

— I one będą nasze... Dlaczego nasze?... One będą moje!

Znów z jednego ze szybów zbliżył się dozorca.

— Czego chcesz?

— U mnie panie Lejzor skręca się szyb.

— Dlaczego on się skręca?

— Mówią, że szuter zwałił się w tę stronę.

— Co chcesz, żebym ci poradził?

— U mnie cembrowina pęka, jeszcze morze się zwalić i zasypać jamarzy.

— A dużo wosku z jamy?

— To resztki, mieliśmy robić do końca tygodnia i porzucić szyb.

— To ty rób swoje, a szyb niech się kręci.

— Dobrze, panie Lejzor.

Słońce południowe zaczęło dopiekać, rozgrzewając kamienie i wzmagając silną woń naftową. Pan Krausberg rozpiął chałat, z pod którego widniała ciemna wy-

tarta kamizelka, a na spodnie brudne, dymkowe w paski, spadały i chwiały się w ruchu cyces, sznurki widzenia potrzebne w chwilach modlitwy. Z rękami w tył założonemi kierował się ku kancelaryi kopalni, małemu, odrapanemu domkowi, drewnianemu, stojącemu na krańcu gruntu z prawej strony. Idąc posłyszał głosy gniewliwe i głośnie, płynące ze szybu Abruma. Podszedł bliżej i zawoławszy dozorcę, spytał o przyczynę.

— Teraz połudenek, to zaraz kłótnia. Maksym krzyczy na Jana, a Jan wrzeszczy na Maksyma. Im idzie o Pawła i jedną dziewczynę, to chłopskie zwyczaje — uśmiechnął się ironicznie.

— Tak mówisz?... No, jeśli oni w południe zamiast odpoczywać kłóca się i to o dziewczynę, im wszystkim jest za dobrze u nas... Idź, zawołaj mi zaraz Icka.

Posłuszny Abrum szybko poszedł ku karczmie Icka Seemana i wkrótce zjawił się w towarzystwie niskiego, rudego żydka, który pozdrowiwszy właściciela, czekał poleceń.

— Ty Abrum, — zaczął pan Lejzor, — idź pogódź chamów, niech nie krzyczą; a ty Icek posłuchaj...

— Ja słucham, panie Lejzor.

— Ile masz moich robotników?

— Ja mam stu dwudziestu chłopów i sześćdziesiąt kobiet.

— Jak ty liczysz? No, a sitarzy, a dozorców, to nie?

— To sami nasi.

— Hm... Ty nam zapłacisz na miesiąc z każdego

robotnika trzydzieści krejcarów, razem pięćdziesiąt cztery guldeny...

— Jakto zapłacić? Za kogo? — wołał oburzony.

— Ty nie krzycz Icek! Za sto osiemdziesiąt dusz zapłacisz pięćdziesiąt cztery guldeny... A może nie zechcesz? Ja dam ich drugiemu i on mi zapłaci...

— Ależ, panie Lejzor, ja już kasyerowi płacę po pięć krejcarów z robotnika...

— To mnie nic nie obchodzi... Ty zapłać nam.

— Ale skąd? ale jak? ale za co?

— Im jest za dobrze, oni się kłóca, zamiast odpoczywać, ty nie umiesz robić interesów. Co taki chłop potrzebuje? Jemu aby wódka, czarny chleb i nocleg, to postaraj ty się o tanią wódkę, o tani chleb i o tani nocleg, a my nie wglądniemy w twoje rachunki, chłopci są pełnoletni, oni wiedzą, co robią.

— To za drogo, panie Lejzor... ja z chłopca dam po dziesięć, a z baby po dwa...

— Ty się nie targuj ze mną. Dajesz czy nie?

— Niech się pan Lejzor nie gniewa; co ja mam robić, ja dam ale niech wypłata będzie co druga niedziela, to dłuższy kredyt... i ja już sobie poradzę.

— To rzecz kasyera, ty z nim pogadaj...

Icek Seeman zatrząsł się mimo gorąca i cały czerwony, potrząsając głową, mówił zdławionym głosem:

— Panie Lejzor, ja zostanę żebrakiem, tu płac, tam płac i jeszcze płac, co mi zostanie?

— To nie mój interes, ty rachuj — mówił obojętnie pan Krausberg, idąc do kancelaryi kopalni.

— Ja nie mogę — wybuchnął z gniewem.

— Znajdę innego,

Uszli kawałek w milczeniu, wreszcie przemówił Seeman.

— Ja się zgadzam, ale niech ja nastreczam robotników.

— Pogadaj z dozorcami.

— Mam z dwudziestu dozorcami gadać?! Ja wolę milczeć... Panie Lejzor, pan nic nie opuści, ja mam żonę i kupę dzieci.

— I ja mam żonę i dzieci.

— Nu, ja spróbuję jeden miesiąc, zaryzykuję i dam.

— Po co ryzyko? — uśmiechnął się z wyższością pan Krausberg, — ty tylko rachuj.

— Ja już porachuję.

II.

Pan Krausberg wszedł do domku pobielonego, z pasami żółtej gliny, rozmokłej na deszczu, do sieni ciemnej, wilgotnej i skręcił na prawo. Otworzywszy drzwi niskie, ucałował mezizes, dziesięcioro przykazań umieszczonych za szkłem, a przybitych do futryn drzwi i ze słowami:

— Dzień dobry Efet, — wszedł do izby dość wielkiej, niskiej, z pułapem belkowanym, oświetlonej dwoma oknami.

Wilgoć zatechła, zapach nafty, starej cebuli, czosnku i brudów, zmieszanych z dymem tanich cygar i tytońców, napełniały izbę po brzegi.

Na pozdrowienie głośne, zerwał się z krzesła przy stole pisarz kopalni, Efet Roger, chudy, zgarbiony żyd, ubrany w lejbik watowany, szybko usunął się na bok i kłaniając się, odpowiedział cicho zwykłą formułkę powitania.

Izba prócz stołu wielkiego, sosnowego, niegdyś białego i trzech pierwotnych krzesel posiadała w rogu tapczan z nędzną, brudną pościelą pisarza.

— Co słychać Efet? spytał pan Krausberg, siadając na krześle przed stołem.

— Wszystko dobrze... Robiłem rachunki.

— Ja nie o to pytam, sam zobaczę rachunki i sprawdzę... ale... czy napisałeś do Lwowa.

— Już jest na poczcie pod adresem głównego urzędu górniczego.

— Co napisałeś?

— Jak pan mówił, tak zrobiłem... Poszła skarga, że Bratkowski zatapia swoją wodą sąsiednie kopalnie, że ludzie się duszą w jamach, bo młynki zamale, że liny trą się o brzegi...

— To dobrze... A do komisarza?

— Tę samą skargę, tylko antydatowałem dla niepoznaki.

— A pismo jakie?

— Do Lwowa ja sam pisałem, a do komisarza w Drohobyczu mój kuzyn.

— Ty Efet dobrze się sprawiłeś... ja będę to pamiętał tobie. Czy jadłeś obiad?

— Ja nie miałem czasu, ja rachowałem.

— Ty idź co zjeść, ja tu posiedzę.

Efet Roger, dość jeszcze młody, z wielkimi, wypukłymi oczyma, z brodą w nierównych kosmykach, poprawił zrudziałą jarmułkę, naciągnął długi surdut, rodzaj chałata, i spytał na wychodnem:

— Może mam co załatwić? zobaczyć?

— Hm... Powiedz Ickowi, że te pieniądze ma złożyć w naszej kasie dziś, albo jutro rano.

— Dobrze.

Po jego wyjściu pan Krausberg wyjął z kieszeni chałata kawałek gotowanej kury, zawiniętej w starą gazetę, bułkę i krając po kawałeczku na stole, zajadał z wielkim smakiem, oblizując palce od czasu do czasu. Podczas jedzenia otworzył książkę rachunkową, pisaną w żargonie żydowskim i obliczał. Z dwudziestu szybów woskowych trzy zaledwie się opłacają, dwanaście daje dobry dochód a pięć jest w robocie.

Patrząc na dochód dzienny 150 fl., westchnął z żalnością, że nim musi się obdzielić pięciu współników, gdyby on jeden był właścicielem?!... gdyby on miał taki grunt, taki wosk, jak Bratkowski!... i fala zazdrości, pożądanja odbiła się na wyrazistej twarzy. Wstrzymał się z jedzeniem, tak dalece zajął go plan posiadania sąsiedniego gruntu. Odetchnął, gorzko się uśmiechnął i zjadł przygotowany kęs zimnej kury z bułką.

Przeglądał wydatki. Cyfra około 800 guldenów za pierwsze 20 metrów wydała mu się bardzo wysoka.

Patrzył na poszczególne pozycje: koszt dozorców musi pozostać, materiały są już wyśrubowane do cen najmniejszych; robotnicy... tym można zawsze coś urwać. Teraz maj, przednówek, w polu brak roboty, trzeba obniżyć cenę...

Co ten Bratkowski gada, że wydobyć centnara kosztuje go dziesięć guldenów!? Jego pewno więcej kosztuje, bo spółników centnar bez mrała kosztuje sześć guldenów, a oni przecież oszczędzają...

Nagle otworzyły się drzwi, wpadł Efet Roger w czapce i z progu zawołał:

— Matka!!

Pan Krausberg zbladł, posiniał, zerwał się z krzesła, rękami uchwycił się blatu stołu i spytał drżącym głosem:

— Który numer?

— To nie u nas, u Weinsteina jest matka, — odparł pisarz.

— Nie u nas!?!... Ty Efet głupi z twoim krzykiem, — mówił gniewny, siadając ciężko na krzesle, — co mi z matki u Weinsteina? Co ja zarobię?

— Ja bardzo przepraszam pana Lejzora, ale oni zrobili taki gwałt...

— Nu, opowiedz jak to było?

— W południe oni usłyszeli wielki szum, harmi-der w jamie, cembrowina pękała, a do góry szedł sam wosk... Mówią, że już jest połowa jamy pełna...

— Niech sobie będzie... może i nam Pan Bóg pobłogosławi i da nam matkę.

— Weinstein dał pięć guldenów dozorczy, po guldenie robotnikom, a pisarzowi dał... dziesięć guldenów!

— Weinstein zwaryował z radości, dość było dać dozorczy guldena, robotnikom wódki, no... a za co pisarzowi?

— Jakto za co? — oburzył się Efet. — Pisarzowi dziesięć za mało... Aj, ileż on musi pisać, rachować, korespondować!

— Nu Efet, — uśmiechnął się pan Krausberg, — ty pisarz, tobie pachnie dziesiątka, no ja dam moją część, całe dwa guldeny, jak będzie matka u nas.

— Dziękuję, panie Lejzor, ja trzymam za słowo, ale czy będzie matka?

— Może Pan Bóg i da... A mówiłeś Ickowi o pieniądzach?

— Ja nie miałem czasu, taki był gwałt.

— A zjadłeś?

— Kiedy miałem jeść?

— Idźże i wracaj, a Ickowi powiedz, że dzisiaj muszą być pieniądze, zrozumiałeś, dzisiaj!

— Ja rozumiem.

Znów zagłębił się w rachunkach, wtem zapukano do drzwi, i tuż wszedł Josel Reich, niski, niemłody szatyn, i zadyszany zbliżył się do stołu:

— Uf, jakie gorąco! Pan Lejzor pozwoli mi sięść?

— Siadaj... Chcesz mówić o matce Weinsteina?

Już wiem.

— Ja nie z tym interesem, ja pracuję ciężko dla pana Lejzora.

— Co nowego?

— Bratkowski szuka tysiąca guldenów...

— Ile on ma wosku?

— On ma ze trzydzieści centnarów w magazynie.

— To on ma... 525 guldenów — mówił po chwili.

Po co mu tysiąc?

— Wosk jest na wypłat robotników, na materiał, na wydatki, a tysiąc potrzebuje na spłat.

— Byłeś już gdzie?

— Nu, ja faktor jego, ja musiałem chodzić... byłem u Weinberga, Kertinga...

— Dają?

— Czemu nie mają dać? On ma trochę kredytu.

— Ty Josel idź jeszcze raz do nich, powiesz im,

że Bratkowskiego można pociągnąć, a jak oni podro-
żują, ja dam taniej, rozumiesz mnie?

— To nie trudne, ale co ja dostanę?

— Ile masz od niego?

— Od niego wyjdzie mi na pięć procent.

— A ile tamci dają tobie?

— Oni dają półtóry procentu.

— Ja ci dam jeden i trzy czwarte.

— To zamało.

— Dam dwa.

— Niech będzie tak — westchnął faktor i powier-
nik pana Bratkowskiego.

Po chwili spytał pan Krausberg:

— Josel, a ile masz od sprzedazy wosku?

— Jak czasem, ale wyjdzie mi na jeden procent.

— Teraz mnie posłuchaj... Idź ty na Borysław i jak
spotkasz Lindemana, Weinberga, Weidemana, albo któ-
rego z kupców naszych, powiesz, że ja mam dziś z nimi
do pogadania.

— Nu dobrze.

— To nie koniec Josel... Ty musisz wstrzymać
Bratkowskiego, aby tutaj nie sprzedał wosku, ale wie-
czorem w Drohobyczu, albo jutro.

— A jeśli to zrobię, co będę miał?

— Ty dostaniesz.

— Ale ile?

— Dam tobie pół procent.

— Nie.

— Josel, ty drzyj lylko ostrożnie, co drzewo usch-

nie — mówił pan Krausberg, ogryzając i wysysając kostkę.

— Takie drzewo nie uschnie—zaśmiał się faktor.—
Ile będę miał?

— My się pogodzimy.

— Ja bez dwóch procentów nie zrobię.

— Ty Josel zrobisz za jeden procent... Co? Zgoda? —
i wyciągnął rękę.

— Niech i tak będzie... Ale jak my jego wyrzucimy, co ja zyskam?

— On goj, on zanieczyzcza nasz interes, on musi wylecieć, — zawołał z zawziętością pan Krausberg i rzucił pod stół wyssaną kość.

— Nu dobrze, on pójdzie... A bank anglo-austryacki, on z gojów, co z nim zrobić? — zaśmiał się faktor.

— Bank?... To inny interes, bank jest z naszych, a akcye zakupili goje, już oni poradzą gojom.

— Tce, tce, — cmoknął z zachwytem Josel.

— Nu, co więcej u was?

— Bratkowski pokłócił się z komisarzem. Ten komisarz coś upatrzył sobie do niego, zawsze zajędzie i krzyczy, sprawdza, próbuje...

— To źle, — współczuł pan Krausberg, — taka zła opinia może obniżyć cenę, ty mu powiedz.

— On bardzo zawzięty na komisarza, po co mi gadać?

— Co tobie szkodzi podmuchać na ogień? — zaśmiał się gospodarz.

— Ale on ma twardą naturę, inny byłby już sprzedał i rzucił ten interes.

Pan Krausberg spojrział podejrzliwie, skinął głową poważnie i rzekł półgłosem:

— Może i on rzuci, ja nie wiem.

— Nu, ja już muszę iść — mówił faktor, wstając.

— Ty Josel tylko pamiętaj, co mówiłem.

— Ja mam głowę tylko od pamięci.

Już zamykał książki rachunkowe, wynotowawszy cyfry potrzebne, gdy do pokoju wtoczył się z powagą pan Silberman, wspólnik kopalni.

— Dobrze Szmul, że przyszedłeś, ja mam do roboty w Drohobyczu — odezwał się pan Krausberg.

— Ja pilnuję się godzin, przyszedłem zmienić ciebie Lejzor — mówił przybyły, siadając ciężko na krzesło. — Masz co nowego?

— Nie, tylko Ickowi kazałem zapłacić 54 guldenów miesięcznie za naszych robotników.

— Jakto Ickowi? Nie rozumiem.

— Im jest u nas za dobrze, im kłótnie w głowie, dziewczęta, trzeba to ukrócić. Icek za dobrze ich karmi, za tanio daje, a ja myślę, że on za dużo zarabia na naszych robotnikach, niechże płaci i nam trochę.

— Ty Lejzor mądrze zrobiłeś, i ja zauważyłem, że w naszej kopalni chamy mają za dużo pieniędzy.

Przez chwilę milczeli. Pan Silberman ubrany czysto, z pewną pretensją do elegancyi, poprawił aksamitną jarmułkę, pokręcił ładnie zwinięte pejsy i odchrząknawszy, zaczął:

— Lejzor, ty wiesz, że w Truskawcu jest wosk...

— Wiem, i co? — spytał patrząc badawczo.

— Ja tam kupiłem zakopy, mam ze dwadzieścia... ja chcę współnika, czy ty przystąpisz?

— W Truskawcu?... Nie.

— Czy tam gorszy wosk?—zawołał zaniepokojony.

— Może i lepszy, ale ja nie chcę.

— Dlaczego?

— Hm... Szmulu to długa historia...

— Jaka?

— Hm... Ja sobie myślę, że każdy szyb, to koń, on mnie wiezie i ciągnie w górę; jak koń dobry, niech on idzie w wózku, póki może, a co mi z dziesięciu koni, które sił nie mają i ja sam muszę ciągnąć wóz i konie? Ja wolę mniej, ja wolę jednego konia, tylko niech on ciągnie dobrze.

— Ty Lejzor dobrze mówisz — rzekł z uznaniem współnik.

Zachęcony tem, mówił pan Krausberg dalej:

— Ja widziałem już majątki wielkie, z dwóch, trzech szybów, a potem one zniknęły, bo ciągle szukano pieniędzy w nowych szybach, a już ich tam nie było. I dlatego ja nie chcę Truskawca...

— Lejzor, ty będziesz bogaty, bo ty nie ryzykujesz ale oszczędzasz.

— Ja Szmul także ryzykuję, ale z rachunkiem.

— Lejzor, — zaczął po chwili współnik, — ja przechodziłem koło szybu Bratkowskiego, on ma ładny wosk.

— I ja widziałem.

— Nam trzeba wybić szyb blisko granicy, jest u niego będzie i u nas, a nie będzie, my jego wosk podbierzemy.

Pan Krausberg, słuchając tej propozycji, na razie drgnął i nachmurzył się. On chciał nabyć tę kopalnię, a taki szyb sąsiedni, to uszczuplenie jego przyszłej własności, lecz z drugiej strony ten zysk doraźny, widoczny, bezpośredni, chociaż i mały, lepszy jest od wielkich dochodów w mglistej przyszłości, więc uśmiechnął się i rzekł:

— Ty masz rację Szmulu... W tym tygodniu szyb nr. 5 będzie zarzucony, on już się nie oplaca, my możemy spróbować, tylko ty pogadaj z naszymi wspólnikami, ja jadę do Drohobycza.

— Już ja to zrobię.

— Ty Szmulu tu zostajesz? — spytał, zabierając się do odejścia, a na potakujący znak, dodał:—Na przyszły tydzień trzeba obniżyć cenę robotników...

— Dobrze.

— Jak spotkasz kogo z naszych na Wolance czy w Borysławiu, powiedz o zniżce.

— Ja sam myślałem już o tem.

Pan Krausberg wyszedł z przygodnego biura, pogadał chwilę z nadchodzącym Efetem i szedł przez kopalnię w kierunku postoju furmanek.

W pół drogi zawrócił, a zbliżywszy się do szybu, zawołał na dozorcę:

— Abrum! Abrum!

— Co takiego? — spytał, zbliżywszy się szybko.

— Słuchaj, czy ty masz znajomych u Bratkowskiego?

— Tam nasi lepiarze.

— Pewni?



— Nu, swoi.

— Ty wybierzesz jednego, sprytnego, niech on podetnie liny w którymkolwiek szybie.

— Hm... to trudno, to kryminal.

— Ty Abrum głupi. Czy ty myślisz, że ja chcę podciąć do połowy?... Czy ja chcę wypadku?... Niech on jeden sznurek podetnie, to głupstwo, lina będzie trzymała.

— Oni nie zechcą...

— Ja nie chcę darmo, ja dam guldena...

— Nie wiem...

— Jak mi to zrobisz, dostaniesz i ty pół guldena.

— Ja spróbuję.

— Abrum! tylko sza...

— Szaaa — powtórzył Abrum, mrugając oczyma, a pan Krausberg odchodząc, obrócił się i jeszcze raz syknął ostrzegawczo:

— Szsza!

III.

Przy drodze poniżej kopalń stały rzędem żydowskie furmanki, czyniąc wielką i skuteczną konkurencyę kolei żelaznej, tak taniością, jak i dowolnym czasem przejazdu do Drohobycza o półtorej mili. Jeden z wozów długich, z siedzeniami przywiązanemi do drabinek, mogący pomieścić do piętnastu osób, był już prawie zapelniony. Przeważnie jechali żydzi, ale byli i robotnicy odziani ubogo, a i ten ubiór był czarny od plam nafty i wosku.

Pan Krausberg, znany wszystkim furmanom żydowskim, szedł bez pośpiechu do wozu wybierającego się w drogę, wiedząc, że furman zaczeka nietylko na nowego pasażera, ale i na niego.

Jadący raz wraz krzyczeli i pomrukiwali na furmana, żądając jazdy, a ten w odpowiedzi miał zawsze te sakramentalne słowa:

— Zaraz, zaraz, już jedziemy, — bliższym jednak wskazał batem na nadchodzącego pana Krausberga.

Gdy ten stanął przy wozie, furman brutalnie usunął ze środkowej ławki robotnika, usadowiwszy nowo-

przybyłego. O cenie mowy nie było, żydzi płacili po dziesięć centów, inni, jak się udało, od dwunastu do piętnastu centów

Jeszcze chwilę zwlekał, poprawiając uprząż, aż gdy nalegania przeszły w krzyk, usiadł na małym koźle, tuż nad dyszlem, i cmokając, wywijając batem nad końmi, ruszył zwolna z miejsca, szpiegując oczyma, czy nie nadchodzi nowy pasażer.

Wązką, kamienistą doliną Tyśmienicy, rzeczki małej, górskiej, prowadziła droga do miasta, pełna wybojów i przejazdów przez wodę. Mimo to, żydzi jadący, rozmawiając na razie hałaśliwie, wkrótce zaczęli drzemać, kiwając się w takt wozu, przeginającego się w tę i ową stronę.

Nareszcie wjechał wóz na gościniec gładki, a zmiana turkotu przebudziła śpiących, to ten, to ów ziewnął i znów zamknął oczy, gdyż konie zwolna i z wysiłkiem zaczęły się wspinać na górę oddzielającą dolinę Tyśmienicy od miasta leżącego w kotlinie.

Szybka jazda z góry rozbudziła wszystkich. Z prawej i lewej strony gościńca stały małe, lichy budowane domki mieszczan, między nimi pokaźniejsze, murowane, lecz brudne domy żydowskie, — wreszcie pod właściwym miastem nad małą, cuchnącą rzeczulką dawały znać o sobie ostrym kwaskowatym zapachem garbarnie.

Wóz stanął na zwykłym postoju furmanek borysławskich, na placyku obok klasztoru Bazylianów.

Pan Krausberg zląwszy z wozu, udał się wprost do mieszkania w kamienicy własnej, posiadającej front i sklepy od rynku kwadratowego z ratuszem po środku.

Szedł najbliższą drogą, od klasztoru skręcił w rynek na lewo i pod sieniami arkadowymi, otwartymi ku rynkowi, podtrzymującymi pierwsze piętro lewego rzędu kamienic, przesuwiał się szybko wymijając z ręcznie przekupniów. Tu bowiem w podsieniach skupił się drobny handel miasteczkowy, widoczny nie tylko po towarze, ale i ostrymi zapachami śledzi, ryb suszonych, skór, dziegciu, smaru, owoców i pieczywa.

Od wczesnego rana do późnego wieczora, z wyjątkiem soboty, panował tu gwar i zgłęb handlarzy konkurujących ze sobą, ciągnących za rękawy i poły kupujących.

Pan Krausberg był zbyt znany, aby go nagabywano, co najwięcej kupcząca zamamrotała zwykłą formułką, zalecającą towarzy, i po chwili umilkła spostrzegłszy omyłkę. On szedł dalej, niemal ku końcowi podsienia, skręcił w ciemną sień, odrapaną, brudną z oślizgłymi kamieniami, i otworzył drzwi na prawo do kuchni.

— To ty Lejzor? — spytała niemłoda, szczupła kobieta z ostrymi rysami twarzy.

— Ja, Sura, — co u ciebie?

— Wszystko dobrze, ja kupiłam na szabas ryby, zobacz jakie żywe, jakie ładne, — i odsłoniła ścierkę przykrywającą ryby w cebrzyku.

— Drogo?

— Niedrogo i zamówiłam jeszcze dla Boruchowej dwie ryby.

— To dobrze — i otworzył drzwi do pokoju jałdalnego, ciemnawego, bo okno wychodziło na wązkie, zabudowane, brudne podwórze.

Prócz wilgoci, zastarzałych resztek jedzenia i przypraw, czuć było brud i nieczystości małych dzieci i zapachy pokoju sypialnego, gdyż w tym pokoju na wielkiej wyszarzałej sofie sypiał syn Mojżesz lat 23 liczący.

Przez półotwarte drzwi dalszego pokoju dolatywały odgłosy dość krzykliwe dzieci, z których córka liczyła lat 9, a dwaj chłopcy byli młodszy.

Tuż za mężem weszła do pokoju żona, szybko zbliżyła się do otwartych drzwi dziecinnego pokoju, które zamknęła, wołając ostrym, cienkim głosem:

— Sza dzieci, ojciec przyjechał!

Następnie zwróciła się do męża, siedzącego na sofie:

— Lejzor, ty zmęczony, ja tobie dam kawy, a ty przeczytaj list od Esterki.

— Co ona pisze?

— Ona dostanie nagrodę w „*Deutsche höhere Töchterschule*“.

Ojciec uśmiechnął się z politowaniem i rzekł dość lekceważąco:

— Na co jej nagroda?... Ja wołałbym, aby ona już męża dostała.

— Ty Lejzor mówisz, jak całkiem prosty żyd... — obruszyła się żona — ja pochodzę z dobrej rodziny i ona, moja córka, potrzebuje być edukowana.

— Niech ona będzie, co mi to zaszkodzi, dobrze, że nie kosztuje jej edukacja, tylko życie.

— Ona pisze, że jej u mego brata we Lwowie bardzo dogadzają... Lejzor, ona ma szczęście do ludzi — kończyła uradowana.

— Zobaczmy to, zobaczmy... No, a kawa będzie?

— Ja zapomniałam, ja tobie dam.

Rozparł się wygodniej, a do wchodzącej żony ze szklanką kawy rzekł:

— Suro, ja potrzebuję twoje dwie ryby, te większe.

— A co będzie na szabas — pytała zaniepokojona.

— Ty kupisz, albo weźmiesz ryby Boruchowej, ja potrzebuję.

— Dla kogo?

— Ja muszę dać komisarzowi.

— Lejzor, po co ty dajesz jemu tak często *rebu-chem*? — spytała z miną zgorzowaną.

Spojrzał na nią drwiąco i kosztując kawę lekko zafarbowaną mlekiem, rzekł;

— To mój interes, — ja wiem co robię.

— Szkoda mi ryb.

— Kupisz inne, a nie chcesz, to obejdziemy się jedną na szabas... Przygotuj mi kobialkę i ryby, ja zaraz idę. Słuchaj Suro, może tu zajdzie Bratkowski, powiesz mu, że ja na mieście, ale dziś będę u niego.

— Po co ty będziesz?

— Ja mu dam tysiąc guldenów.

— Ty mu dasz dzisiaj? — zdziwiła się.

— Ja mu dam jutro, niech on czeka i boi się.

— Nu dobrze, ja mu powiem.

— A teraz dawaj Suro ryby.

Pił gorącą kawę przegryzając cukrem, przeciągnął się ziewając na sofie, wstał, zajrzał do dzieci i wzięwszy od żony kobialkę z rybami wyszedł.

Rozejrzał się uważnie po rynku, na którym nie-

wielkimi grupami rozmawiali szybko i niespokojnie żydzi, sunęli ociężałe chłopci i przesuwały się strojnziej ubrane panie. Kobiałkę z rybami zawinął starannie w kra-
ciastą chustkę i bocznymi ulicami, brudnymi, z cuchną-
cymi ściekami, pospieszył do mieszkania komisarza gór-
niczego p. Wintera przy ulicy Stryjskiej.

Dowiedziawszy się, że komisarza niema w domu, śmiało wszedł do kuchni czystej, z błyszczącymi na pół-
kach naczyniami kuchennymi.

— Czy jest pani komisarzowa? — spytał, stojąc przy drzwiach, — ja mam do pani komisarzowej interes.

Służąca przyzwyczajona do częstych wizyt żydów przez pół otwarte drzwi poprosiła panią.

Na progu stanęła pani, pulchna blondynka, pytając po niemiecku:

— A, to Krausberg, — czego?

— Mój szwagier ze wsi przysłał mi świeże, żywe ryby. Ja wiem, że pan komisarz lubi ryby, to ja przyniosłem.

— Bez męża nie mogę przyjąć...

— Niech pani komisarzowa zobaczy, — mówił rozwijając kobiałkę, — to żywe ryby, one skaczą, to nie żaden prezent, ja się już porachuję z panem komisarzem.

Pani widocznie podobały się ładne ryby, bo uśmiechnęła się i rzekła.

— Wezmę te ryby, ale to nie żaden prezent, pan komisarz, mój mąż, zapłaci za nie.

— Czy to ja nie wiem? — mówił pan Krausberg, wykładając ryby na stół, — to pieniądz pewny.

— Zawalasz mi stół! — zawołała służąca — zaraz dam miszkę.

Kłaniając się kilkakrotnie nisko, cofnął się tyłem ku drzwiom, wyszedł i uśmiechnął się rad z załatwienia interesu.

Słońce miało się ku zachodowi; na ulicach kładły się grubsze cienie, trotuary liche, poszczerbione, zaśmieczone — zaczęły się chałatami żydowskimi, krzykliwymi sklepikarkami, które stawały przed kramami, by odetchnąć chłodniejszym powietrzem.

Pan Krausberg, zaczepiony przez tego i owego w sprawach wosku i nafty, dążył ku rynkowi, na którym o tej porze niedaleko apteki gromadzili się kupcy, factorzy, ciekawi, a wszyscy mający bezpośrednią lub pośrednią styczność z woskiem i naftą.

Była to faktyczna giełda, decydująca o miejscowych cenach surowego wosku i nafty, o cenach zakupów, o kredycie i wartości poszukiwaczy płodów kopalnianych.

Do obradujących przystąpił pan Krausberg i zebrawszy poważnych kupców wosku, stanowiących o cenie produktu, przemówił:

— Co my mamy wpuszczać do nas goja? On psuje nam cenę wosku, podwyższa zapłatę robotnikom, ściąga na wszystkie kopalnie uwagę komisarza; my potrzebujemy się tylko porozumieć, to on przestanie nam dokuczać.

— Co? Jak? — zabrzmiały głosy wietrzące zysk z tej przemowy.

— Ja mówię o Bratkowskim, taki głupi szlacheć wzięł się do naszego interesu...

— On sam się przewróci — odezwał się poważny pan Lindeman.

— A co on nam popsuje, to kto naprawi? — zaśmiał się ironicznie pan Krausberg.

— Czego ty chcesz? — spytał niecierpliwie jeden ze słuchaczy.

— Ja myślę, że my jego wosk możemy tanio kupić, niech on pracuje, a my skorzystamy. Jak my ustanowimy dla niego cenę, kto kupi od niego?

— To dobrze pomyślane — pochwalono.

— On może wysłać wagonami do Lwowa — mówił z namysłem pan Stillbach.

— Na wagon nie wystarczy 10 czy 20^o centnarów, na to potrzebne są kapitały, a tych on nie ma, zresztą my poradzimy i we Lwowie — bronił swej myśli pan Krausberg.

— Jakże będzie?

— Zrobmy cenę... dziś stoi wosk 17 fl. 75 cent., a my damy mu tylko 15 fl.

— Ale kto kupi — podniosły się głosy gorączkowe.

— Każdy z nas po starszeństwie.

Wkrótce nastąpiło porozumienie, z wieku otrzymał pierwszeństwo pan Weideman, a szóste miejsce przypadło panu Krausbergowi. Rozpoczęły się dalsze narady nad innymi sprawami, giełda rozprószyła się na chodniku, wtem zadzwoniły podkowy i na rynek wjechał pan Bratkowski. Stał obok apteki, zeskokczył

z najteczanki żółto malowanej i wmieszał się między handlarzy. Pierwszego zaczepił pana Lindemana.

— Nie kupiłby pan wosku?

— A po ile?

— Cóż to, nie wiesz pan? Po 17 fl. 75 cent.

— Za drogo, pana wosk nie czysty.

— Ileż pan da?

— Co ja mam dać? Wosku dzisiaj bardzo dużo, ja nie kupię... Może weźmie Weideman, on spekulant.

Pan Bratkowski rozmawiał z tym i owym, ale na próżno szukał kupca i pana Krausberga, który znikł gdzieś w chwili jego przyjazdu. Wreszcie napotkał pana Weidemana.

— Ja panu powiem, — mówił kupiec wysłuchawszy propozycji, — pana wosk jest nieczysty, ja to wiem ale ja chcę zaryzykować, ja kupię i dam 14 fl. za centnar.

— Czyś pan oszalał? Wosk stoi po 17 fl. 75 cent., a pan mi dajesz 14?

— Wosk nieczysty, co tam kindybału, lepu, ziemi?

— I co mi pan daje? — pytał zły.

— Ja dodam coś... jeszcze pół guldena...

— A niechże was, — zaklął siarczyście pan Bratkowski, splunął, wsiadł na wózek i odprowadzany drwiącemi spojrzzeniami i uśmiechami pojechał do domu.

Zwolna zapadała noc i kupcy zmęczeni całodzienną pracą zaczęli się rozchodzić. Pan Krausberg odprowadzając interesanta, przeszedł na drugą stronę rynku i spotkał się na chodniku z komisarzem idącym na wi-

sta do kasyna. Ten zobaczywszy go, zawołał po nazwisku; usłużnie podbiegł pan Krausberg:

— Co to znaczy? — gromił komisarz — abyś mi przynosił prezenta do domu, ja tego nie chcę i nie przyjmuję...

— Panie komisarzu, jakie prezenta? — udał wielce zdziwionego.

— Jakto jakie? A te ryby twoje?!

— Ryby?! Co to za prezent? To jest nic... Ryby milczą, ryby nie umieją gadać.

Pan Winter uśmiechnął się i mruknąwszy przyjaźnie, pogroził żartobliwie laską kłaniającemu się bardzo nisko kupcowi, skreślił w oświetloną cień narożnej kamienicy i szedł na pierwsze piętro do kasyna miejskiego.

W przedpokoju pozwolił się rozebrać służącemu z wierzchniej okrywki, spojrzął w lustro i zadowolony ze siebie grzebykiem przyczesał ciemne włosy, układał skrzydełka na skroniach, a rękami gładził faworyty długie, wycierając chusteczką starannie wygolone wargi.

Z powagą wkroczył na dość wielką salę, a założwszy binokle, szukał swych towarzyszy partyi wista. Z drugiego roku stołu zawołał wesolo grubym głosem słowa powitania kapitan depot wojskowych, krótki, gruby, z czerwoną twarzą i karkiem brunet, siedzący obok trzeciego partnera, urzędnika salin drohobyckich, niewyraźnego, przysadkowatego szatyna.

— Gdzież czwarty? — spytał pan Winter witając się.

— Wylazi z pod pantofla, — zaśmiał się grubo bezzenny kapitan.

— A może siedzi w biurze, — dorzucił urzędnik salin, — bo u nich w starostwie niewola.

— Słodka niewola takiego komisarza starostwa w Drohobyczu — śmiał się kapitan, — co rezolucya, to guldeny same lecą do kieszeni.

Rozmowa toczyła się dalej przeplatana sztuczną wesołością, oczekiwali bowiem niecierpliwie na czwartego partnera i każdy stuk w przedpokoju zwracał ich oczy w tę stronę.

Pan Bratkowski oddając wierzchnie ubranie służącemu, spytał może zbyt głośno:

— Czy jest pan notaryusz?

— Tylko co nie widać.

Musnąwszy wielkie wąsy, poprawił wielkie okulary i kręcąc napoleonką, wszedł do głównej sali rozglądając się za znajomymi.

Komisarz spostrzegłszy go, nachmurzył się, lekko skłonił głowę na jego ukłon, i szepnął do towarzyszy.

— Nie mogę znieść tego człowieka.

— Tak zły znów nie jest — odezwał się kapitan, widząc, że pan Bratkowski przeszedł do innych pokoi, — i wolę tego szlachcica od żydów.

— Gospodarka żydów w kopalni jest zła, ale jego, to prawdziwa polska gospodarka. Nieład, brak dozoru, lekceważenie przepisów i zarozumiałość — mówił zgryźliwie komisarz.

— Tak, tak, oni są już tacy, — potwierdził półgłosem urzędnik salin, gdyż właśnie wracał omawiany, który usiadł przy długim stole i wziął gazetę do ręki.

Wkrótce nadszedł czwarty partner do wista, a w kilka

chwil zjawił się na sali notaryusz, pan Poźniak, wysoki, szczupły, w czarnym tużurku. Żywo podszedł do niego pan Bratkowski i ściskając rękę mówił:

— Właśnie czekałem na pana notaryusza, chciałbym się poradzić panie dobrodzieju.

Pan Poźniak pokazał w uśmiechu wielkie zęby, przeciągnął ręką długie żółtawe faworyty i odpowiedział cicho:

— Dobrze, możemy i tu pogadać.

Usiadł przy stole, gładząc białą ręką konopiaste włosy. Ostre światło wiszących lamp uwydatniło wyraźnie i nadało bardziej żółtawą barwę szczupłej, pomarszczonej twarzy i jasnym włosom, faworytom i wąsom zadymionym od cygar.

— O co idzie? — spytał głosem wolnym, bezdźwięcznym.

— Potrzebuję pieniędzy, zjedzą mnie żydowskie procenta, — mówił szybko, — może pan wie, kto ma lub chce ulokować, daję przecież zupełną pewność, mam ładny wosk i szyby wydajne.

— Hm... hm... Pan wie, że u nas w Drohobyczu wszystko w rękach żydowskich... Od ich opinii dużo, jeśli nie wszystko, zależy.. Jakże pan z nimi?

— Ach oni!?! Utopiliby mnie w łyżce wody, panie dobrodzieju, zazdroszczą mi psiekrwie...

— To źle, — odezwał się flegmatycznie — oni tu panami, z ich poręki burmistrz, radni, wpływ mają na sąd, starostwo, policję... Jakże pan z kredytem?

— Kredyt mam, ale drą bez miłosierdzia... Dziś

obiecał mi Krausberg tysiąc guldenów, ale co weźmie? — i westchnął głęboko.

— To mądra ryba; — potwierdził notaryusz, — z nim ostrożnie... No, a wosk masz pan?

— Mam trochę, ale szelmy, wyobraź pan sobie, dają mi niemal o trzy reńskie niżej ceny!

— Hm... Może zły? Nieczysty?

— Ale!... doskonały panie dobrodzieju!

— Było szukać kupców...

— Czyż nie szukałem?

— Więc wysłać samemu koleją...

— Na to trzeba gotówki, muszę mieć większe zapasy, panie dobrodzieju.

Umilkli obydwaj. Pan Bratkowski siedział chmurny, notaryusz zwolna zapalał cygaro i rzekł po chwili:

— Dziś był u mnie Mroziecki...

— Który?

— Ten ze salin stebnickich... On ma kilka tysięcy gotówki i szuka interesu.

— Znam Mrozieckiego — zawołał pan Bratkowski weselszym głosem, — ten mógłby zrobić interes... Ale gdzie go znaleźć?

— Czy zrobi?... nie wiem... Zaczekaj pan, on zwykle późno wyjeżdża do domu, często zachodzi tu na partyjkę...

Po dobrej chwili pan Bratkowski uderzając ręką w stół, mówił z uśmiechem:

— Ej, gdybym tak dostał kilka tysięcy, panie dobrodzieju, dopiero poszłaby robota, a żydzi wściekaliby się, że od nich nic nie biorę — zaśmiał się szczerze.

— Nie wiem... nie wiem... a, otóż i on.

Szybko odwrócił się pan Bratkowski i patrzył badawczo na pełną, uśmiechniętą twarz p. Mrozieckiego, który muskał wąż ręką pulchną, zdobną w pierścionki.

— Dobry wieczór panom, — rzekł witając się, — a może zrobimy małą partyjkę?

— Bardzom rad ze spotkania, — mówił pan Bratkowski, wstając z krzesła, — chciałbym z panem zrobić partyę, ale o grubą stawkę panie dobrodzieju.

— O, ja grubo nie grywam, co innego wy nafcciarze, u was pieniędzy, jak lodu.

— Nie zarzekaj się pan, — uśmiechnął się notaryusz, — kto wie, czy i pan nie zagra... Pan Bratkowski ma do pana interes, na którym można zarobić.

— A to co innego, — odezwał się pan Mroziecki siadając, — hm... a jaki?

— Co tu będziemy gadać na sucho, — zawołał p. Bratkowski, — zejdźmy do handelku, przy płynie gada się płynniej. Proszę panów na kieliszek wina.

Po krótkich ceregielach obaj się zgodzili i poszli do handlu winnego, mieszczącego się na parterze pod kasynem. Był to pokój ciemnawy, słabo oświetlony wiszącą lampą, z podłogą zabłoconą, z kanapkami wygniecionymi, krytymi ciemną ceratą, które stały przytulone do ścian, a przed nimi stoliki czarne i krzesła wyplatane. W pokoju było duszno od wyziewów wina, piwa, wódki i towarów kolonialnych, mieszczących się w pobocznym sklepie.

Pan Bratkowski wszedłszy do pokoju, klasnął w dłonie i do chłopaka usługującego zawołał:

— Poproś pana Jabłońskiego i daj świece.

Tuż zjawił się właściciel sklepu, niski, gruby szatyn, z pomarszczonem czołem i rzadką, nierówną brodą, z uśmiechem słodkawym, spytał w ukłonach:

— Proszę, czem mogę służyć? Słucham proszę...

— Da pan nam węgierskiego, panie dobrodzieju, numer 111, wie pan?

— To wino pana dobrodzieja, — odrzekł kłaniając się nisko.

— No, a przedtem po kieliszku żytniówki i przekąski.

— Proszę, słucham, a jakie? Może kawioru, śledzika, marynatę, — wszystko na rozkazy, proszę...

— Dawaj pan, byle prędko, — dorzucił pan Bratkowski — bom głodny panie dobrodzieju.

Usadowiwszy się przy jednym stoliku, zagaił rzecz notaryusz.

— Hm... Jak wiadomo panu, pan Bratkowski ma szyby woskowe na Wolance... kredyt jest ciężki u nas, z żydami zadarł, więc szuka kapitalisty i zwraca się do pana.

— Jaki stan szybów? — spytał Mroziecki pana Bratkowskiego, wpatrując się badawczo.

— To widzi pan jest tak: mam osiem szybów w robocie, z tych trzy dają mi już wosk, a pięć przechodzi szuter, dobija się do żył woskowych.

— O cóż panu idzie?

— O pieniądze, bo to panie dobrodzieju trzeba wiedzieć, że do 24 metrów kosztuje robota i materiał każdego szybu przeszło 2,000 złr., a już co niżej, to tań-

sza robota, no i wosk jest. Tak potrzebuję kilku tysięcy, aby kończyć robotę, no i nie dać się zjeść żydom.

Sam gospodarz przyniósł wino i z miną uroczystą postawił na stole.

— Rozlej pan.

— Spełnienia życzeń, — wniósł toast notaryusz.

— I po co to było rozpoczynać, aż ośm szybów! — zrobił uwagę pan Mroziecki, oglądając wino pod światło.

— Po co? — obruszył się pan Bratkowski, — ależ panie, tam leżą miliony w ziemi, muszę je wydobyć, bo byłoby mi przyszło z trzech, ot tyle, panie dobrodziejku, aby przeżyć, a potem nowa męka!

— Hm... widzi pan, — zaczął zwolna pan Mroziecki, — trochę grosza mam u siebie, ale jaką ewikycę daje mi pan w razie zgody?

— Jaką?... Moje ośm szybów. Zobowiązuję się pod karą dojsć do 40 lub 45 metrów; wosk wydobyty bez zgody pana, aż do spłaty kapitału, nie wolno mi sprzedawać samemu, a z trzech szybów mam tygodniowo po 20 centnarów, czyli 350 złr., licząc centnar po 17 złr. 50 cent.

— Wszystko to dobrze, ale w innych szybach może pan niedokopać się wosku i co będzie?

— Jeśli żydzi w około mają wosk w tych liniach, będę i ja miał, a zresztą sam grunt pod zakopy wart co najmniej 10,000 złr. i dam na nim ewikycę.

— Za mało...

— Czegoż pan żąda?

— Mogę być współnikiem i to na pewnych warunkach... dam 3,000 złr. i to w ratach kwartalnych...

wolno mi się cofnąć lub odprzedać moją część... Na miejscu jest mój kontroler...

— Ależ panie! — zawołał rozdrażniony właściciel — ja sam dałem za grunt 5,500 złr., a wykopanie kosztuje mnie blisko 16.000 złr., a pan chce się wkupić za 3,000 florenów!? No, nie jestem waryatem, panie dobrodzieju.

Ponieważ obydwaj interesanci zaczerwienili się i rzucali na siebie złe spojrzenia, wmieszał się notaryusz:

— No, panowie... najpierw skończmy kieliszki... a po wypiciu rzekł: — Nie gorączkujcie się, na zimno, może dojdziemy do ładu.

— Ależ panie notaryuszu, — mówił zirytowany pan Bratkowski, — wydałem 21,500 złr., a ktoś za 3,000, warunkowe w dodatku, chce mieć połowę. Wiem, że tam są krocie, miliony, wolę się zapożyczyć, sprzedać ostatnią koszulę, a dojdę do swego.

— Zwolna, panie Bratkowski, zwolna...

— Ja się nie napraszałem z mojami pieniędzmi, a nawet nie mam wcale ochoty wchodzić w tak niepewny interes, — przemówił pan Mroziecki z ironią, — proszony stawiam warunki...

— Ale jakie?! Toż to lichwa!

— Wolna wola przyjąć lub nie, a mówi pan lichwa... idźże pan do żyda.

— Pójdę! — zawołał w pasyi. — Żyd da mi lepsze warunki.

Zadzwoił na usługującego, zapłacił rachunek i mimo łagodzących słów notaryusza, wyszedł, mrując z zaciekłością:

— Szelma lichwiarz!

IV.

Na rynku pustym, w dalekich odstępach przyświecały nikle lampy naftowe, których światło żółtawe za ledwie oświetlało mały krąg tuż przy lampie. Pan Bratkowski przetarłszy spotniałe okulary, stukając głośno laską szedł w kierunku ulicy Samborskiej, przy której mieszkał. Przechodząc obok kamienicy pana Krausberga, zatrzymał się i zadzwonił.

— Czy jest pan Krausberg w domu? — spytał zaspianego stróża żyda.

— On w domu, ale już śpi — odpowiedział niechętnie, zatraskując bramę.

Mimo względnie wczesnej pory, gdyż na zegarze ratuszowym nie wytrąbiono dziesiątej godziny, ulica była niemal zupełnie pusta, a światła w domach pogaszone. Dopiero zbliżywszy się do swego mieszkania, zobaczył chwiejne światelko nocnej lampki w dzieciennym pokoju, a gdy przez mały ogródek kwiatowy podchodził z drugiej strony domu do drzwi wchodowych, olśniło go jeszcze światło lampy, padające przez okno jadalnego pokoju. Drzwi otworzyła mu żona, mówiąc:

— Nareszcie przyszedłeś, byłam już tak niespokojna!

— Powiedziałem, że zabawię dłużej, niepotrzebnie czekałaś, — mruknął wchodząc do pokoju.

Żona, wysoka, niemal piękna blondynka, z rysami regularnymi, z wyrazem zmęczenia i niepokoju na twarzy, usiadła na dawnym swem miejscu przy stole i zabierając się do przerwanej roboty, spytała z pozornym spokojem:

— Czy załatwiłeś Guciu interes?

— Nie! — odezwał się cierpko, — i zarzekłem się wdawać z łykami panie dobrodzieju...

— Cóż się stało?

— A wyobraź sobie, jakiś Mroziecki ze Stebnika za głupie 3,000 żąda spółki, kontroli, ubezpieczeń różnego rodzaju...

— Jeżeli daje pieniądze... — zaczęła żona.

— Daje! Daje! — zawołał głośniejszym głosem, — co daje? Trzy tysiące, a żąda zarobku na krocie, powiadam ci, lichwiarz skończony.

— Widać, że ostrożny człowiek...

— Dla ciebie ostrożny, a dla mnie lichwiarz.

Nastało chwilowe milczenie. Pan Bratkowski, rozdrażniony, chodził wielkimi krokami po pokoju, wreszcie stanąwszy przed żoną, spytał:

— Nie był kto do mnie?

— Był Krausberg i mówił, że jutro da tysiąc guldaków.

— A! Czemuż nie byłem w domu? Byłbym spał dziś spokojnie — zawołał, siadając na krześle.

— Mój Guciu! — rzekła po chwili z ociąganiem, — czy nie zanadto ryzykujesz? Mieliśmy 10,000 gotówki, włożyłeś wszystko w tę nieszczęsną kopalnię, masz długi i one rosną... znów bierzesz tysiąc i to od Krausberga.

— Więc co? — spytał chmurny.

— Boję się przyszłości... mamy dzieci...

— Ty masz wieczne obawy, a ja wiem panie dobrodzieju, że w tej kopalni są krocie, miliony, byle wytrzymać i przetrzymać.

— Ale jak?

— Zadłużę się wszystko sprzedam, a kopalni nie puszcę z rąk.

— Tego się obawiam, ciebie trawi gorączka zysku, zmizerniałeś, jesteś rozdrażniony, włączysz w coraz większe długi, i co będzie? — mówiła ze szczerym żalem.

— Czyż dla siebie pragnę majątku? — przerwał z odcieniem goryczy, — tylko dla was, dla dzieci. Nie gram, nie piję, nie hulam...

— I co z tego? Pieniądze idą jak woda, długi coraz większe...

— Za to przyszłość świetna — uśmiechnął się z przymusem.

— Kiedy ty nie umiesz się rachować, żyć z ludźmi. . np. ten komisarz tak najeżdża, musi być w tem i twoja wina...

— Dajże mi spokój z tym szwabem, coś upatrzył sobie do mnie, panie dobrodzieju...

— Dlaczego nie do innych?

— Zapytaj go sama, — wybuchnął gniewnie.

— No, a te długi?

— Długi?... Porachuj tylko, wydobyłem z kopalni 9,000, a jeśli dokończę ośm szybów, a każdy da mi dziennie po pół centnara, mam przy cenie 20 fl., gotówką osiemdziesiąt guldenów dzień w dzień. Spłacę długi i zrobię majątek, panie dobrodzieju.

— To urojenie... nie dopuszczą żydzi do współzawodnictwa... stracisz wszystko...

— Dajże mi spokój z temi przepowiedniami... ty sama rozdrażniasz mnie najbardziej.

— Mówię prawdę.

— Zatrzymaj ją dla siebie — i zły zaczął znów przechadzkę po pokoju.

— Jest list od Zosi — przemówiła po dłuższej pauzie.

— Co pisze?

— Zdrowa, stęskniła się za domem i bardzo się cieszy, że to ostatni rok pobytu na pensyi.

— No i ja rad będę bardzo, gdy zostanie u nas, pomoże ci w gospodarstwie, i będzie można z nią pogadać, panie dobrodzieju, nie tak jak z temi dzieciakami... Kiedyż kończy się kurs?

— Za dwa tygodnie.

— To i dobrze, pojedziesz po nią do Lwowa, panie dobrodzieju, o pieniądze się nie troszcz, znajdą się.

— Ach te nieustanne wydatki—westchnęła żona,— teraz trzeba jej będzie kupić sukienkę, okrywkę, parasolkę, buciki...

— Cóż robić, kupisz.

— Ale za jakie pieniądze!?

— Wszystko jedno za jakie, jak trzeba to trzeba.

— Jesteś nieopatrzny, mój Guciu...

— Takim i zginę... Czy nie masz czego w krendensie?

— Przepraszam cię, że zapomniałam, a ty może głodny, — wstała i po chwili postawiła przed mężem chleb, szynkę i masło.

— Jutro muszę raniutko wyjechać, aby znaleźć kupca na воск, bo drohobyccy dają mi zbyt mało, a jutro już piątek...

— Nie zaczekasz na Krausberga?

— Ach prawda!... Wiesz Stasiu, że te nieustanne rozjazdy, uganianie się za pieniędzmi, już mnie znużyły, i gdyby nie ta pewność zrobienia majątku, ubezpieczenia waszej przyszłości, wyposażenia Zosi, rzuciłbym to wszystko!

— A tak dobrze było nam w Bystrzynku...

— Sama wiesz, że nie mogliśmy się utrzymać...

— Ale mogłeś wziąć dzierżawę, umiesz gospodarować i znasz się na tem, a to wszystko nowe, obce, niechętne.

— Minie i to Stasiu.

— Ty się zabijasz pracą i dzieci cierpią... Możebyś zajrzał do Tadzia, pod wieczór był jakiś nieswój.

W milczeniu wstał i przeszedł do pokoju dziecinnego. Lampa olejna rzucała chwiejne, mdłe światło na pokój, zapalił świecę i podszedł do łóżeczka starszego, Tadzia. Patrzał badawczo, dotknął dłonią czoła dziecka, uśmiechnął się na widok snu spokojnego. Również i młodszy syn spał cichutko i spokojnie, jak tylko spać dzieci umieją po zmęczeniu dziennem.

— Zdrowi obydwaj, — przemówił do żony, — ale ty źle wyglądasz, czy jesteś chora?

— Nie, tylko dręczy mnie niepokój o naszą przyszłość.

— Powtarzam ci, będą krocie, za sam grunt pod zakopy mogę wziąć każdej chwili bodaj czy nie podwójną cenę — uśmiechnął się z przymusem.

— To bierz, mój Guciu, bierz i uciekajmy z tego piekła.

— Taki znowu głupi nie jestem, panie dobrodzieju, nie myślę drugiemu oddawać gotowego majątku, mam dzieci i muszę je ubezpieczyć.

— Guciu, jeśli mnie kochasz, to sprzedaj i wyjedźmy... To szal tylko, to urojenie, my nigdy tu nie zrobimy majątku, nas czeka ruina.

— A dajże mi raz spokój — zawołał gniewnie, rzucając o stół widelec, — dość mam kłopotów i męki z żydami, chcę chociaż w domu odetchnąć.

Wstał, zapalił świecę i nie patrząc na załzawioną żonę, poszedł do swego pokoju. W nocnej ciszy wyraźnie słyhać było trzask zamykanego zamku u drzwi i niespokojne, nerwowe kroki chodzącego po pokoju.

Żona zgasiwszy lampę, poszła do dziecinnego pokoju, a uklękawszy przed obrazem Matki Boskiej, zawieszonym nad jej łóżkiem, modliła się długo i żarliwie. Potem nasłuchiwała odgłosu kroków męża, bijąc się z myślami, czy iść do niego, czy zostawić go póki nie minie gniew? Wstała i cicho podeszła ku drzwiom, cofnęła się jednak, bo i cóż innego mogła mu powiedzieć prócz niepokoju swego i troski o przyszłość?

Późno w noc nastąpiła wreszcie senna cisza w domu. Pan Bratkowski miał noc niespokojną i męczącą, wśród majaczeń o krocjach i milionach wychylała się ku niemu błąda obdarta, zgłodniała nędza. Znużony tymi snami, wstał rano, a oczekując przybycia pana Krausberga, poszedł do ogrodu dość obszernego, rozciągającego się za domem.

Na widok rozkwitłych grusz i jabłoni, zasadzonych grządek ogrodowizną, opanowała go nostalgia za wsią i gospodarstwem. Smutny, rozżalony do siebie i ludzi, tak dalece się zamyślił, że nie posłyszał głosu żony, zapraszającej go na śniadanie, musiała zbliżyć się i dotknąć ramienia, spytała.

— O czym tak Guciu?

Ucałował serdecznie jej rękę, mówiąc:

— Masz słuszność, niema nic miłszego nad wieś... ale dla nas, już zapóźno!

V.

W końcu śniadania przez otwarte okno zobaczył pan Bratkowski żyda, idącego do niego, wstał, wyszedł do sieni, będącej zarazem przedpokojem i zobaczył w progu młodego bruneta, ubranego czysto, który uchylając kapelusza, rzekł dość dobrą polszczyzną:

— Mój ojciec, pan Lejzor Krausberg nie mógł zaczekać na pana w Drohobyczu, pojechał raniutko do Borysławia i tam załatwi interes.

— Czemuż nie dał mi znać wcześniej?

— Ja nie miałem czasu i myślałem, że to wszystko jedno.

— Dyabła tam — mruknął przez zęby. — A dobrze, zaraz pojedę.

— Ja miałbym jeszcze prośbę do pana...

— Jaką, panie dobrodzieju?

— Mój ojciec, pan Lejzor Krausberg zostaje przez sobotę na Wolance, to jego kolej, ja chciałbym go dzisiaj zobaczyć i czy pan nie pozwoliłby mi się przysiąść?

— Hm... dlaczego nie? panie dobrodzieju, proszę zaczekać, zaraz każę zaprzęgać.

— To ja pobiegnę do domu przebrać się trochę...
Pan dobrodziej zna przecież naszą kamienicę w rynku,
ja będę tam czekał.

— A dobrze, tylko zaraz...

— Już idę.

Na pytające spojrzenie żony, rzekł:

— To młody Krausberg, przyszedł z wiadomością,
że stary czeka na mnie w Borysławiu. Jadę zaraz.

— Zanim zaprzęgnie, przygotuję ci przekąskę.

— Spiesz się Stasiu, bo mam jeszcze wstąpić po
tego młodego?

— Ty?!

— On chce sobie oszczędzić dziesięć centów na
furmankę, wezmę go panie dobrodziej, jechał go sęk.

Pan Lejzor Krausberg czekał na swej kopalni z go-
towymi pieniędzmi na przybycie pana Bratkowskiego,
a widząc zdala nadjeżdżający wózek, zeszedł ku drodze.

— No, panie Lejzor — zawołał wesoło przybyły —
przywożę nietylko syna, ale bułki, ryby i inne przy-
smaczki na szabas.

— Bardzo dziękuję panu... Ja zaraz przyjdę do
kancelaryi pana.

Istotnie wkrótce przyszedł i rozpoczęły się targi
o procenta. Po długich omawianiach obniżył pan Kraus-
berg swe żądania do procentu stu guldenów miesięcznie
za pożyczony tyśiąc.

Pan Bratkowski siedział chmurny przy stole, wziął
ołówek i liczył. W razie zaciągnięcia tej pożyczki, miałby
do płacenia 400 fl. miesięcznie procentów za wszystkie
długi. Zdjął go lęk przed tą wysoką cyfrą, lecz z dru-

giej strony naciskała go nietylko konieczność dostania pieniędzy, ale miał to głębokie przeświadczenie, iż do szybów woskodajnych wkrótce przybędą dwa nowe, a z pięciu szybami wytrzyma nawet podwójne ciężary.

I uspokojony, z weselszą miną, podał rękę na zgodę, już miał podpisać weksel i znów napadły go wątpliwości.

— Panie Lejzor, ale pan mi daje słowo, że w danym razie, gdy nie będę mógł zapłacić w terminie 1100 fl. od dziś za miesiąc, pan mi sprolonguje?

— Dlaczego nie? Niech pan tylko procent zapłaci, ja sprolonguję.

— Daje pan słowo?

— Ja daję — odpowiedział, wyciągając rękę brudną od wosku i nafty.

Obie strony były zadowolone z załatwienia interesu, pan Bratkowski, gdyż miał w kieszeni pieniądze i na razie pozbył się gwałtownego kłopotu, zaś pan Krausberg rad był z posiadania weksłu. Odchodzącego powstrzymał pan Bratkowski:

— Panie Lejzor, kup pan wosk...

— Ile pan chce?

— Wczoraj płacono 17,50, daj pan tę cenę.

— Ja nie mogę, mam kłopot z moim woskiem.

A czy to niema kupców?

— Zapewne, zapewne — rzekł tonem zniechęconym pan Bratkowski i pożegnał kupca, który wyszedł z uśmiechem złośliwego tryumfu na cienkich sinawych, wargach i okiem znawcy rozglądał się po gruncie swego

sąsiada, obliczał ilość możliwych zakopów i starannie przyglądał się szybom, będącym w robocie.

Na swej kopalni zwiedzał niemal każdy szyb, wreszcie doszedł do dozorca Abruma, zawołał go na bok, rzucając pytanie:

— Czy zrobili już?

— Dziś ma jeden z lepiarzy to zrobić.

— Jak robi, ja zapłacę.

Zwolna się oddalał, rozmyślając nad sposobem zwrócenia uwagi komisarza na nadwątlone liny i spotkał się ze współnikiem, panem Silbermanem. Za ledwie wszczęli rozmowę, gdy od szybu Abruma doleciał ich rosnący krzyk, piski kobiet, gromienie dozorca! Obaj pośpieszyli w kierunku szybu, zanim doszli, krzyk ustał, tylko gwar głosów szumiał, a nad nim przewodził piskliwy głos Abruma, wydającego rozkazy.

— Co się stało Abram? — spytali niemal jednocześnie.

Abrum, wydawszy ostatnie polecenie, zaszwar-gotał:

— Co ja z nimi zrobię? Ich trzeba rozdzielić, bo ja nie poradzę.

— Ale kogo? Ale gdzie?

— Tu jest dwóch jamarzy Maksym i Paweł i żrą się jak psy o jedną dziewczynę, przed chwilą pobili się, ledwie ich rozłączono.

— Co ty Abram taki nieporadny? — zaśmiał się pan Silberman — niech ta dziewczucha przepadnie i będzie spokój.

— Ty odpraw ją i koniec — dodał współnik.

— Ja o tem myślałem, tylko boję się stracić tych dwóch jamarzy, oni są niczego.

— Ty Abrum osztrafuj ich wszystkich, to będzie najlepiej — doradził mu pan Silberman — a znajdziesz ładniejszą, tę wypędź precz.

— Ja to zrobię.

Piątek minął spokojnie, tylko tuż przed zachodem słońca wpadł do kancelaryi kopalni Abrum i szepnął zdyszany:

— Panie Lejzor, już gotowe.

— Czy obie liny?

— Obydwie w pierwszym szybie od nas.

Właściciel kopalni troskliwie wyszukał wytarte srebrniaki i z miną wpaniałomyślnego człowieka dał Abramowi oczekującemu, mówiąc:

— Jeśli to kłamstwo, zapłacisz mi podwójnie Abrum, bo ja mam twoją pensję w rękę.

— Niech i tak będzie, ja wiem, że ten lepiarz to pewny człowiek, jak on powie, że zabije, można spać spokojnie.

— To twój interes.

Na drugi dzień pan Krausberg, ubrany odświętnie, w butach świecących przechadzał się po kopalni, pilnując jednakże uważnie i czynności sąsiada i spoglądając na drogę do Drohobycza. Spostrzegł wreszcie wznoszący się pył nadrożny, posłyszał trąbkę pocztarza i mruknął z błyszczącymi oczyma.

— To komisarz!

Istotnie, wprost na kopalnię pana Bratkowskiego

zajechał komisarz, oddając zimny ukłon panu Bratkowskiemu i jego podwładnym.

W milczeniu, z wielkiem poczuciem swej władzy, szedł komisarz do najbliższego szybu. Krytycznie oglądał młynek, pędzący rurami powietrze do szybu, zwrócił się do dozorca z rozkazem:

— Robotnik w górę!

Odezwały się trzy dzwonki i zwolna kubał zbliżał się do wierzchu. Wychodzącego robotnika spytał komisarz:

— Masz tam dosyć powietrza?

— Iii, aby tyle wosku.

— Pytam o powietrze świeże — zawołał ostro.

— A, coby nie miało być, jest.

— *Dummer Esel* — mruknął przez zęby.

Oglądał liny uważnie, wreszcie spytał, gdzie odprowadza się woda z jamy?

— Odpływa roweczkiem ku rzece — pospieszył z objaśnieniem pan Bratkowski, rad, że komisarz nie ma nic do zganienia.

Ten przeszedł do następnego szybu i znów zaczęła się rewizya. Nagle, przy rozwijaniu liny spostrzegł dozorca wiszące strzępy, zbladł i starał się ręką zasłonić.

— Weź rękę! — krzyknął groźnie komisarz, zbliżając się.

Obejrzał dokładnie nacięcie, znalazł i na drugiej podobne, zwrócił się wtedy z jadowitym uśmiechem do mieszanego właściciela:

— To takie gospodarstwo pańskie!? Dla pana życie robotnika jest niczem, niech ginie, byle oszczędzać

sznura kawalek, ale rząd czuwa i wie kogo należy pilnować... Piękne historye! — śmiał się z ironią.

— Wierz mi pan, że cztery dni temu dałem nowe sznury, mam świadków, to dla mnie rzecz niepojęta...

— Tak, tak, niepojęta i przepisy policyjno-górnice także niepojęte, a kiedy była rewizya materyałów?

— Wczoraj — bąknął dozorca.

— Wczoraj!? A nie wiesz, że co ranka musi się odbyć!... No, no, już ja was nauczę porządku.

I po krótkiej chwili, odetchnąwszy, kazał zwołać dozorców i rzekł:

— Kopalnia pana Bratkowskiego od dziś zamknięta, nikomu pod karą nie wolno w niej pracować, aż do mego dalszego rozporządzenia.

Skinął ręką, oddalając dozorców i sam szedł w kierunku oczekującego pocztarza.

Pan Bratkowski zaszedł mu drogę i jął prosić:

— Niechże mnie pan komisarz nie rujnuje, to ktoś złośliwy podciął liny, panie dobrodzieju, przecież to wiadać. Zrobię wszystko, co pan komisarz każe, zmienię młynki, rury, liny... tylko niechże mi pan nie zamyka kopalni. To moja ruina, zupełna klęska.

— Teraz prośby — odpowiedział ironicznie — było pilnować przepisów.

— Będę panie komisarzu sam doglądał, tylko nie zamykaj pan, co ja panu złego zrobiłem, panie dobrodzieju?

— Pan? A te ciągle skargi na pana do mnie i do Lwowa, to pan ludziom źle robisz i czas to ukrócić.

— Ale gdzie? kiedy? komu? panie dobrodzieju.

— To nie mój interes — odpowiedział zimno — tylko wiem, że na nikogo niema tyle skarg, co na pana.

Pozostałe szyby oglądał raczej dla formy, gdyż wyrok został już wydany.

Pan Bratkowski blady, oblany potem znów zaczął prosić i tyle szczerości, bólu i rozpaczki było w jego głosie, że wzruszony komisarz pozwolił na dalsze roboty w jednym szybie, który znalazł w porządku, co do reszty, rozstrzygnie w przyszły wtorek.

Pan Krausberg, dowiedziawszy się o rezultacie kontroli komisarza, uśmiechnął się radośnie i zacierając ręce, mruknął:

— *Gut szabes!*

Uradowany z urzeczywistnienia swych planów, pospieszył dobrze przed zachodem słońca pieszo do Borysławia, aby pierwszą furmanką pojechać na łono oczekującej go rodziny.

Wieczorem zaczął się gromadzić tłum robotników przed kancelaryą kopalni, oczekując na zwykły wypłat zarobku tygodniowego. Twarze niemal wszystkie, nie wyłączając kobiet i dziewcząt, były zmizerowane, zanędnione, apatyczne i znękanie. U mężczyzn zwłaszcza młodszych przebijał w twarzy jakiś cynizm bezczelnej rozpusty, pijaństwa i lekceważenia. Wszyscy ubrani ubogo, często obdarci, brudni, z plamami nafty czarnej, rozmawiali półgłosem tylko chwilami, gdy ktoś głośniejsze rzucił gruby żart lub zanucił bezecną piosenkę, szczupłe twarze krzywiły się do uśmiechu, podkreślano i tak już grube słowa i znów zapadała posępna cisza, przerywana półgłosem rozinowami poszczególnych grup.

Kasia, ze względu na obecność Maksyma i Pawła, trzymała się gromady dziewcząt, a ci dwaj udając obojętność, śledzili i ją i siebie nawzajem z przenikliwością, którą daje tylko namiętność wielka.

Już zgromadziło się do stu ludzi. Z różnych stron odezwały się pomruki:

— Płacić!

— Już czas!

— Hej, pieniądze!

Gwar żądania wzrastał z każdą chwilą, śmielsi zbliżyli się do drzwi przymkniętych i zastukali.

Z izby wyszedł zwolna w swym watowanym lejniku pochylony pisarz, Efet Roger i spojrzawszy obojętnie na tłum stojący, spytał:

— Nu, co takiego? co to za gwałt?

— Płacić!

— Pieniądze! — odpowiedziała gromada.

— Zaraz, zaraz, pan kasyer poszedł rozmienić... przecież setkami, ani dziesiątkami wam nie będzie płacił.

— Już po zachodzie! — zawołano.

— On zaraz przyjdzie — dorzucił pisarz i spokojnie zamknął drzwi za sobą.

Jeszcze nie zabłysły pierwsze gwiazdy, nie zapalano światła, a już karczmarz Icek Seeman z pomocnikiem, z żoną, z wyrostkiem synem uwijał się pomiędzy robotnikami, przypominając długi zaciągnięte, obiecując dziś doskonałą wódkę, świeże pieczywo, muzykę i tańce...

Robotnicy, mimo przyzwyczajenia do zwłoki gospodarki żydowskiej, niecierpliwili się i już z groźbami zaczęli się dobijać do drzwi kancelaryi.

— Co to jest?! — krzyknął pisarz, otworzywszy okno -- czy przyszedł już kasyer? Czekajcie.

— Dawaj pieniądze!

— Rozbijemy drzwi!

— Należy się nam!

— Nasze prawo!

— Co to za głupie gadanie!? Skąd ja wezmę wam pieniędzy bez kasyera? Ja mam trochę u siebie drobnych, mam i spis, ja mogę wam dać połowę zarobku.

— Żydowskie wykręty!

— Wszystko!

— Dawaj pieniądze!

— Nie chcecie połowy, czekajcie sobie na kasyera — zawołał, zamykając okno.

Tymczasem Seeman zaczął przemawiać do spokojniejszych, że lepiej wziąć połowę, bo kasyer może przyjść późno, że dziś trudno rozmienić w Borysławiu, że to zysk dla nich, gdyż przepuściliby dziś wszystko, a tak zostanie i na jutro. I tyle dokazał swoją wymową, że znaczna grupa robotników zgodziła się na wypłat połowy zarobku i tych podwiódł pod okno kancelaryi. Zapukał i wołał:

— Panie pisarz! Płać pan połowę.

Po chwili wychylił się pisarz z okna, trzymając w jednej ręce książkę ze spisem robotników, a w drugiej cienką świeczkę, którą usłużny Seeman zapalił i nią rozświecał zmrok zapadający. Pisarz czytał głośno:

— Hryc Misiak, wierzchni, za sześć dni trzy guldeny, za trzy spóźnienia się na robotę piętnaście centów, za rozbity kubek dwadzieścia centów, za kłótnię z do-

zorcą Uszerem pięć centów... to jemu należy się 2 fl. 60 cent... płaci się połowa 1 fl. 30 cent... no a dług w karczmie?

Seeman spojrział na swój spis i zawołał:

— Tyś mi winien 1 fl. 40 cent.

— Ta i za co?

— Jakiś ty głupi Hryciu, czy nie jadłeś, nie piłeś, nie spałeś u mnie? Ja mam tak w książce.

— Brechnia!

— Chcesz, czy nie chcesz zabrać jednego guldena dwadzieścia? Ja nie mam czasu na kłótnie, wy się porachujecie.

— O przekłete żydy — mruzczał robotnik, zabierając należność, podaną mu oknem przez pomocnika pisarza.

I dalej kolejno wywoływał pisarz nazwiska, płacił połowę, zatrzymując drugą na późniejszy rachunek, zawsze z uwzględnieniem długu karczmarza. Im bliżej końca wypłaty, tem mniej sporów i kłótni było z robotnikami, spieszyli się gorączkowo do karczmy, zabawy, hulanki.

Po skończonej wypłacie Seeman i pisarz podali sobie z uśmiechem rękę, szepcząc:

— No, udało się!

Seeman pospieszył do karczmy, przecisnął się przez zgromadzonych w izbie wielkiej i zrzuciwszy chałat, stanął za szynkwasem, oddzielonym drewnianą baryerą. Spojrział na mroczną izbę, oświetloną dwoma lampami, przybitymi do drewnianych, niebielonych ścian, na nagromadzony tłum robotników, tak w tej izbie, jak i są-

siedniej, uśmiechnął się radośnie i wraz z rodziną zaczął szykować wódkę, zaprawianą kwasem siarczanym dla mocy.

Przy drugim stole, zaledwie z gruba zheblowanym, zasiedli stali goście karczmy. W brudnem przyémionem świetle, ich twarze mizerne, wychudłe, nabierały odcieni żółtych, chorobliwych. Pijąc wódkę, zajadali chleb czarny, ciężki, niedopieczony, to z cebulą lub czosnkiem, inni ze słonym serem, a rzadko który wyjął z kieszeni kawałek słoniny lub kielbasy.

— Hej, hej, miły Boże, już nasz Michał spokojny!
— rzekł jeden z nich, wzdychając.

— Cóż robić, zdusiło go w jamie — dorzucił inny.

— Raz matka rodziła, raz trzeba umrzeć — pocieszał stary, stukając o kieliszki sąsiadów.

— Oh i prawdę powiedział — potwierdzili bliżsi.

— Ten tydzień, to jakiś był nauroczony, toż to ludzi kupa u nas zginęła.

Zaczęli się doliczać i zabrakło ośmiu, nie licząc chorych.

— Choć płacą, ale ciężka praca!

— Ba, za lekką nic nie dadzą — zaśmiał się młodszy.

— Źle na wsi, bo źle, ale przecież nie taka mordownia jak tutaj — zawołał wysoki, mocny robotnik, odrzucając włosy z czoła.

— Czemuż Piotrze tu robisz? — zaśmiał się szczupły sąsiad, z twarzą zeszpeconą bliznami.

— Ot pytanie... robię, bo muszę spłacić długi, a nie, to precz mnie wygoni żyd z gruntu.

— Ach te żydy! te żydy — a słowa te powtórzyli niemal wszyscy to ciszej, to głośniej.

— Ano nasza dobra wola robić dla nich — rzekł stary pojednawczo.

— Czorta tam nasza wola; ot bieda, długi, nie-szczęście, to i człowiek szuka zarobku.

— I dużo masz — zadrwił inny.

— Bo kradną was.

— Co tu gadanie pomoże, ot wypijmy aby nam zdrowie...

I dalej toczyła się rozmowa podobna, przerywana to większym hałasem sąsiadów, to głośną piosenką, pół tęskną, pół dziką, która rozrzewniała obecnych i podniecała do picia. Jaki taki już się zataczał i szukał zwady, na pogodzenie znów pito wódkę, a Seeman uśmiechnięty, wesoly, podwajał i potrajał się, byle wszystkim usłużyć, byle więcej wyszynkować napoju, który zagłusza żal i tęsknotę, dodaje odwagi w trwodze o życie, rozprasza smutek, daje zapomnienie o całej nędzy i podnieca do wesołości śpiewu, tańca, szalu...

W drugiej izbie rej wodził jamarz Maksym, który zarabiając dziennie jednego guldena dwadzieścia centów, czuł gotówkę po wypłacie mimo długu w karczmie.

Przed nim stała flaszka wódki, a on kurząc bakun z krótkiej fajeczki, pykał głośno, spluwał co chwila i traktował kamratów.

— Hej Marku, twoje zdrowie!... Na pohybel złym ludziom! — i wypił kieliszek, nalał i podał towarzyszowi.

— Ano, Maksymie, daj nam Boże pohulać na twem weselu!

Maksym spojrział wokoło płonącemi oczyma, szukając Kasi i rzuciwszy słowa:

— Daj Boże! Pohulamy, ja ci mówię — wstał i wysoki, barczysty stanął w progu, szukając kochanki w drugiej izbie.

W zmiętym kapeluszu na długich czarnych włosach, z fajką w zębach, patrzył badawczo na tłum; wielka, żółtawa twarz, z rzadkim wąsem stawiała się coraz dzikszą, chmurniejszą, wreszcie splunął i mruknął:

— Oł, szczezła, ale ja cię znajdę!

Usiadł na dawnym miejscu i znów pił. Po dobrej chwili wstał, zarzucił serdak na ramiona i zawołał:

— A nie widział kto z was Pawła?

— Albo co?

— Mam z nim rachunek.

Jeden z młodszych słuchaczy, zesunąwszy kapelusz na bakier, wziął się pod boki i zaśpiewał na nutę kolomyjki:

„Idzie Maksym z siekiereczką
Uciekajże Pawełeczku
Idzie drogą i wywija
Uciekajże bo zabija“.

Wokoło rozległy się grube śmiechy, słowa uznania, a jeden z dalszych zawołał głośno:

— Oj nieszczęsnaż jego dola! Pohula on z nim, pohula.

Maksym ani się uśmiechnął na wszystkie słowa, nacisnął kapelusz i szedł ku drzwiom. Zastąpiła mu drogę Ickowa, żądając zapłaty, odepchnął ją silnie, wołając:

— Won, zapłacę wam później.

Skrzywdzona żona spojrzała na karczmarza, który zaszwargotał:

— Daj spokój, on pewny! — i szybko zapisał zaciągnięty dług.

Wolanka roila się od karczem, był to najłatwiejszy i najpewniejszy zarobek.

Maksym wstępował do każdej z karczem, tu i owdzie spotykał znajomych, napróżno jednak dopytywał się o Pawła lub Jana, jego przyjaciela, ci bowiem na samym skraju wsi zabawiali się w karczmie przydrożnej.

Paweł rozmarzony już trunkiem, zdjął kapelusz, odgarnął płowe włosy z czoła i przysuwał się coraz bliżej do Kasi, siedzącej między nim a Janem.

— Oj Kasiu, gołąbko ty moja, okrutniem zakochany — wzdychał Paweł — już mi i życie niemile bez ciebie.

— Gadasz, by mnie zmianić, ale ja nie taka głupia — zaśmiała się patrząc mu w oczy figlarnie.

— Aj kocham, kocham — zajęczał i zanucił z cicha urywek piosenki:

„Chyba w wodę ja się rzucę
Albo w kamień się obrócę“.

— Wasze zdrowie! — zawołał Jan — aby prędzej weselisko!

Wypili kolejno, a Paweł szeptał:

— Kupię ci korale, jak groch jeden w drugi, a chustkę jedwabną, jak u popadi, tylko mnie kochaj.

— Głupi wierzy, mądry bierze — odpowiedziała — pójdiesz z kopalni, znajdziesz inną, ładniejszą, bogatszą...

— Oj, co to, to nie, bo ja cię miłuję, moja gołąbko, moje serce, i znów zanucił ochryplym głosem:

„A u tej jasnobrewej woły, konie krewkie,
A u tamtej mojej miłej, tylko czarne brewki“...

Nie pozostała mu Kasia dłużną i spoglądając z przy-
mileniem, cicho zaśpiewała:

„Oj miesięczku, mój miesięczku nie świeć ty nikomu,
Tylko memu najmiłszemu, gdy idzie do domu“...

— Ale kiedy ten dom będzie? i czy będzie?! —
zawołała, przerywając piosenkę.

— Mam ja grunt i chatę, tylko zadłużone, zarobię
tutaj, pobierzemy się i dalej do domu. Będziesz gospo-
dynią całą gębą, będą krowy, owce i świnię...

— A nie sprzeciwią się twoi?

— Kto śmie mi się sprzeciwiać, kiedy ojca niema!
Ja teraz rządę! A tam u nas w górach paszy w bród,
zboże się rodzi, las pod bokiem, to i czego trzeba wię-
cej? Chrześcianin tam wyżyje, a żyda szukać ze świecą.

— A co ci dziś odciągnęli? — spytał Jan,

— Za tę bójkę z tym wściekłym psem Maksymem
wzięli dwadzieścia krajcarów.

— A szczelby on, przepadł — mruknął Jan, —
i ja zapłaciłem dziesięć.

— Bogaciec żydów — zaśmiała się Kasia.

— Czort by ich bogacił — zaklął Paweł. — No
Kasiu będziesz ty moja?

— A gdzie korale? gdzie jedwabna chustka?

— Dam do ślubu, tak mi Boże dopomóż.

W karczmie gwar się wzmagął, aż znalazł się ja-

kiś przygodny skrzypek i nastroiwszy instrument, zagrał kołomyjkę.

Skoczyli młodzi do dziewcząt, puścił się i Paweł z Kasią, przytupując na miejscu lub wolno się posuwając, a dziewczęta drobiły kroczkami, to spuszczać oczy, to znów patrząc zalotnie, aż wreszcie tancerz w podskokach pochwycił dziewczynę i kręcił się na miejscu aż do zawrotu głowy.

Starsi przytupywali, nucili, racząc się co chwila wódką, której sobie nie żalowali i tancerze; nagle wśród zapału otworzyły się drzwi z loskotem, stanął w nich wysoki Maksym i wrzasnął, przygłuszając wszystkich:

— Mam ciebie sobacze nasienie!

Zanim Paweł się opamiętał, już leżał rzucony na ziemię, a rozjuszony Maksym kopał go nogami. Poskoczył Jan, a uwiesiwszy się na szyi odciągnął od leżącego. Wstrząsnął się Maksym, pchnął Jana w pierś, tak, że ten się zatoczył i byłby upadł, gdyby nie poskoczyli inni, którzy go podtrzymali i rozłączyli walczących. W karczynie powstał gwar i krzyk, a już najwięcej hałasował szynkarz, obawiając się szkody w napitku i flaszkach.

W tym rozgardyaszu Kasia, bojąc się zemsty Maksyma, znikła z karczmy, co spostrzegłszy jamarz, rzuciwszy kilka dosadnych przekleństw, poszedł jej szukać.

Paweł posadzony na ławie, oparty o ścianę, podtrzymywany przez Jana, blady, z głową skrwawioną, siedział czas jakiś bez ruchu. Wreszcie odetchnął, zmacał zranioną głowę, otworzył oczy i szepnął:

— A gdzie ona?

— Uciekła przed Maksymem — odpowiedział Jan. —
A możebyś się napił?

— Daj.

Trunek o tyle go podniecił, że siedział o własnej sile. Jan wyszukał gdzieś brudną szmatę i obwiązał mu głowę.

Zamroczonego upadkiem i trunkiem, wstał z ławy mówiąc:

— Pójdę ich szukać.

— Zgłupiałeś! — krzyknął Jan. — Ledwie trzymasz się na nogach i chcesz iść.

— A taki pójdę — upierał się.

— Idźże, a jak kark skręcisz, to nie z mej winy, ot biorę dobrych ludzi na świadków.

— Nie dojdzie! Wpadnie gdzieniebądź w jamę albo rów! — przestrzegali.

— Taki pójdę! — mówił Paweł odsuwając ludzi z drogi.

— No, a za wódkę!? — zawołał szynkarz.

— Płacę, — i wyjął woreczek skórzany, poszukał i oddał należność.

Jan zły, rozżalony, podparł głowę rękami i nie patrząc na odchodzącego, mrucał gniewny:

— A zgiń, przepadnij, jeśli taka twoja wola, ja się nie ruszę z miejsca.

Jednak gdy drzwi się zamknęły i Paweł nie wracał, zdjął go lęk o towarzysza i przyjaciela, zbliżył się do szynkwasy, kazał dać sobie kieliszek wódki i poszedł za Pawłem. Noc była jasna, miesięczna i bez trudności odnalazł wlokącego się przyjaciela.

Szli zwolna, często odpoczywając. Z licznych karczem przez okna i drzwi dobywały się krzyki pijących, rzępolenie skrzypców, śpiewki zawodzące. Mimo późnej pory wrzało życie karczemne, bo to dzień płacy robotników, a zarobku szynkarzy. Wstępowali do tej i owej karczmy, postali chwilę, popatrzyli na ludzi i szukali dalej Kasi i Maksyma. Wreszcie w jednej z karczem, trzeciwszy Jan spostrzegł Maksyma, wskazał go Pawłowi, mówiąc:

— Ot durny, widzisz sam siedzi, a zły jak pies na łańcuchu, pije, a pije.

— Mądra moja Kasia, uciekła i przepadła — mruknął zadowolony Paweł.

— Ja ci to mówiłem, ho, ho, to sprytna dziewczyna!... No, a teraz czas nam spać, jutro trzeba się Bogu pomodlić.

— Ej, Janie, jeszcze czas, a może tam jest ona — rzekł Paweł, wskazując na dalszą karczmę.

— Także ci się uroiło. Toż Maksym obleciał pewnie wszystkie, ona już śpi, chodźmy.

— Jak spać, to spać.

Poszli do jednej z ustronnych karczem. W ciemnej izbie siedziało, to pijąc, to drzemiąc, kilku ludzi. Na razie nie poznał gospodarz Pawła z przewiazaną głową i spytał uprzejmie.

— A jakiej wódki? Mam doskonały arak.

— Iii to my, — rzekł Jan.

— Aha, cóż ty z taką rozbitą głową?... Nu dobrze tobie, szukałeś innej karczmy i dostałeś po łbie, spr-

wiedliwie. Jak tylko masz grosz, uciekasz odemnie, a bieda, to przyłazisz.

— Nie psuj sobie gęby — zawołał Jan — my tu na nocleg jak zwykle.

— Wypijcie choć po kieliszku, będzie się wam lepiej spało.

— A niech tam, — mruknął Jan, podchodząc do szynkfasu, — tylko mały kieliszek.

Żyd nalał, a gdy wypili, dodał:

— Nu, płacie... każdy z was po osiem krajców, za wódkę trzy, za nocleg pięć... Co ty Jan taki bogaty, że płacisz za jamarza?

— Czy nie widzisz, że on słaby?

Szynkarz zapaliwszy świeczkę, wyprowadził ich do sieni i przyświecał pnącym się po stromych schodach na strych.

— Za kominem na lewo jest słoma, tam sobie legnijcie, pańskie spanie, ja kazałem dziś dorzucić słomy... Nie idź Janie na prawo... słyszysz?... tam śpią baby i dziewczki...

Wygramoliłi się obydwaj i po krzykach, przekleństwach, przy zapałce, znaleźli miejsce tuż pod krawędzią dachu.

Stopniowo przybywali nowi robotnicy i robotnice, wczęły się hałasy, piski kobiet, głuche uderzenia, padanie ciała, szarpanina i klótnia.

Karczmarz ze świeczką w ręku, rozgniewany z powodu przerwane go spoczynku, wdrapał się po drabinistych schodach na strych, służący w letniej porze za miejsce noclegowe, i z rozwianą brodą począł wymyślać:

— Wy pijaki, rozbójniki, ja was powyrzucam z porządnego domu, co to za gwałt za głupie pięć krajcarów!

Lecz podnieceni robotnicy, nie uznając jego praw nadzoru, zaczęli krzyżeć:

— Won, ty łapserdaku! Precz! To nasze miejsce!

Posypały się pogrożki zrzucenia, zaczęły lecieć kawałki drzewa, gliny, ktoś zdmuchnął świeczkę, a szynkarz złażąc szybko, wołał z pasyą:

— Jutro żadnego z was nie puszczę! Wam spać na dworze, jak psom!

A z góry odpowiadały mu gromkie głosy:

-- Milcz psiawiaro!

IV.

W połowie czerwca wśród giełdy, zbierającej się na rynku drohobyckim niedaleko apteki, zapanował wielki ruch i gorączkowe zaniepokojenie.

Jeden z przedstawicieli giełdy wróciwszy ze Lwowa, przywiózł wiadomości, że wosk ziemny znalazł nowe zastosowanie w przemyśle, że na wystawie wiedeńskiej można widzieć nowy, bardzo popłatny produkt z wosku. Taka nowina, jeśli się sprawdzi, może sprowadzić zwyżkę ceny wosku, a ci giełdjarze przyzwyczajeni do gorączkowych, loteryjnych zysków i interesów, już drżeli radośnie na myśl o nowem źródle wzbogacenia się szybkiego.

— Ale co mówią? Jaki to produkt? Kto go robi? — posypały się pytania.

— Co ja mogę wiedzieć? — odpowiedział pan Kernstein, — to mi mówił mój znajomy, on jest specjalista, on zna te rzeczy.

— To pewno parafina lepsza — rzekł pan Krausberg, należący w małej części do fabryki parafiny.

— I ja myślałem i tak mówiłem, ale to inna rzecz!

Nadszedł poważny i bogaty pan Lindeman, a dowiedziawszy się o nowinie, uśmiechnął się ironicznie, pogładził brodę i rzekł z dumą ojcowską:

— Mój syn, Moritz, on był w szkole realnej, on zna się na tem i on był w Wiedniu, na wystawie...

— Nu, co on mówi? — spytano gorączkowo.

— Co mówi, ja zaraz powiem.... Niemcy zrobili z naszego wosku produkt *extrafein*, on jest całkiem biały, oni go potrzebują, a nazywa się... cerezyna!

— Słyszysz.... cerezyna.... cerezyna.... powtarzano w okóło.

Nazwa produktu nie objaśniała w niczem handlarzy, ale było to zawsze nowe, nieznane słowo, którem można było wojować w targach z innymi kupcami.

Giełda po dość długich i ożywionych rozmowach przysłała do przekonania, że wiadomość o cerezynie jest coś, ale należy czekać, co z tego będzie.

Pan Krausberg słuchał pilnie, notował w pamięci różne zdania i to jedno wyrozumował, że skoro wosk znalazł nowe zastosowanie, on musi pójść w górę.

Zadowolony, uśmiechnięty do przyszłych zysków, szedł zwolna ku domowi.

Zdziwił się, zobaczywszy w pokoju jadalnym syna Mojżesza siedzącego razem z matką na sofie wygniecionej, twardej, pokrytej wyszarzaną, niegdyś amarantową materią.

Oboje byli tak zajęci rozmową, że nie spostrzegli jego wejścia, dopiero zwróciło ich uwagę pytanie:

— Nu, co nowego?

— Dobrze Lejzor, że przyszedłeś, to jest wielki in-

teres — odpowiedziała żona, gestykulując wielkimi, czerwonymi, spracowanymi rękami.

— Co mi powiecie? — spytał zrzucając chałat i siadając na sofie.

— To jest taki interes, — zaczął syn, — że przyjechał z Wiednia młody Lindeman i przywiózł wielką, bardzo wielką nowinę.

— Jaką? — spytał, udając nieświadomość.

— Niemcy wynaleźli z wosku bardzo ładny, bardzo drogi i bardzo pokupny towar... Tak on chce u nas założyć fabrykę.

Stary zachnął się, spojrział drwiąco na syna i rzekł:

— Ja nie wierzę młodemu Lindemanowi, on patrzy na mody, na krawatki, na różne głupstwa...

Spochmurniał syn, co widząc matka pospieszyła:

— Ty Lejzor tak nie mów, co tobie to szkodzi?

— On już nie nasz, — odpowiedział z przyciskiem.

— Ojciec jest za surowy, on zachowuje wszystkie przepisy.

— Niech zachowuje, aby tylko on nie był moim synem, ja przekląłbym jego w siódme pokolenie.

— Lejzor, co ty gadasz? No, a nasza Esterka, ona także trzyma się mody.

— Ona? Esterka?... Ona kobieta, to inny interes, ona musi iść za mężem.... I ty byłaś inna, a teraz ty matka i gospodyni w domu.

Po krótkim milczeniu odezwał się syn:

— Ojcie, co to ma do interesu, czy kto się ubiera tak lub inaczej, interes to grunt, my możemy z nim

pójść do spółki, albo też nie wchodzić, ale interesu nie puszcza się z rąk, tak mnie uczył mój ojciec.

Uśmiechnął się stary rad z pochlebnych słów i rzekł łagodniej:

— Ty Mojżesz, powiedz mi, ja posłucham.

— Lindeman mówi, że воск pójdzie w górę.

— Niech jego słowa będą prawdą... co dalej?

— Niemcy będą kupowali воск i zarobią na nim sto procent i wyżej, oni już budują fabryki na nasz воск.

— Aby tylko dobrze płacili i kupowali...

— Nam trzeba założyć taką fabrykę...

— Komu? — spytał drwiąco.

— Nu, ojcu, mnie, Lindemanowi i innym; po co wypuszczać interes?

— Ty Mojżesz wiesz, ja nie lubię rzucać interesu, ja go zawsze szukam, ale co to jest? ja nie wiem.

— Ja nie umiem ojcu tak powiedzieć, jak Lindeman; ja pójdę po niego...

— Co mi po nim?

— Lejzor, ty posłuchaj Lindemana, co tobie to szkodzi?

— Sura, ja ciebie ten raz posłucham.

Zerwał się młody Krausberg i szybko wybiegł z pokoju.

— Lejzor, on chce mieć swój interes.

— On ma jeszcze czas, niech się uczy i patrzy.

— Lejzor, jego można już ożenić.

— Ja szukam żony dla niego.

— On jest mądry i sprytny, Lejzor; on prawdziwy twój syn.

— Ja wiem o tem.

Dzieci w przyległym pokoju zaczęły płakać, wstała żona i szybko weszła do dziecinnego pokoju. W chwili, gdy wracała, wchodził młody Lindeman, brunet, ubrany w kraciaste spodnie, żółtą kamizelkę i zielony krawat z błyszczącą szpilką. Po zwykłych formułkach przywitania obsiedli wszyscy stół a przybyły objaśniał.

— Ja byłem na wystawie wiedeńskiej i zobaczyłem tam nasz воск, parafinę, benzynę, smołę woskową...

— To można i u nas widzieć — zadrwił pan Krausberg.

— Ja opowiadam, że oni znają interes... ale oprócz tego ja zobaczyłem coś nowego z wielkim napisem: cerezyna. Tak ja myślę co to jest? Pytam, chodzę, aż mi powiedzieli, aby przeczytać artykuł w ich gazecie: *Das Bergwesen*. Ja przeczytałem.

— No i co? — spytał stary zainteresowany.

— Tam stało, że cerezyna, to nowy, to wielki, to nadzwyczajny towar, i już płacą za centnar sto guldenów!

— To dobra i ładna cena.

— Ona będzie większa, — zapalał się gość. — Niemcy na gwałt budują fabryki i dla nich będzie cały zysk, a dla nas nic nie zostanie.

— Niech tylko kupują воск, my już zarobimy.

— Ale nie ich procent.

— To gadanie. My teraz mamy 62 procent czystych na wosku, a jak on pójdzie w górę, będziemy

mieć więcej, a co oni mają? jaki procent? Ile wosku odchodzi?

— W ich piśmie wydrukowano, że dziś mają z wosku 48 procent cerezyny, a będą mieć więcej.

— To jaki to interes?

— Za centnar wosku oni wezmą 50 guldenów w cerezynie, a fabrykacya nie kosztuje ich wiele.

— A ile?

— Ja nie wiem.

Po chwili milczenia odezwał się stary:

— Z tego gadania ja widzę, że my mało wiemy, nam trzeba czekać... Niech zaczynają Niemcy, zobaczymy, czy to jest interes.

— Szkoda czasu, — mruknął syn.

— Wy młodzi, wy możecie czekać.

Po wyjściu Lindemana, zbliżył się do ojca Mojżesz i rzekł z pewną nieśmiałością:

— Ja prosiłbym, żeby mi ojciec dał taką część, jak bratu ze Słobody Rungurskiej, ja chcę pracować...

— Przyjdzie czas, to ja tobie dam — odpowiedział z powagą zimną. — Teraz idźmy spać.

W małżeńskiej sypialni zaczęła żona namawiać na oddanie części Mojżeszowi.

— Ty Suro daj spokój... On za młody. za głupi, on zaraz leci do ognia niech on czeka... Ja mam większy kłopot...

— Jaki ty masz kłopot, Lejzor?

— Ja nie wiem, jak pójdzie z Bratkowskim; on ma ładny wosk, to i kupców będzie dużo na jego grunt.

— Lejzor, jak ty zechcesz, ten grunt będzie nasz.

— To mało chcieć, trzeba robić — westchnął mąż.
Po chwili żona, podnosząc głowę w czepku kolorowym z poduszki, spytała:

— Lejzor, ile ty masz?

— Co ja mam, ja mam mało.

— Nu, powiedz żonie, ile ty siebie rachujesz.

— Ja nie wiem, ale książki mówią, że mam trochę, może trzydzieści, może więcej tysięcy.

— Lejzor, to my bogaci.

— Nie Suro, my biedni, nam dużo brakuje...

— A ile nam brakuje?

— Cały milion!... Słyszysz Suro, cały milion!

VII.

W dniu, w którym przyszła kolej dozorowania kopalni na pana Krausberga, wstał z łóżka skoro świt, wypił stojąco gorącą kawę i pojechał na Wolankę.

Dopiero zaczął rozglądać się po swej kopalni, gdy uszu jego doleciał krzyk ze szybu Abruma. Szybko zbliżył się, trochę zalekniony, bowiem narzekające i jęczące głosy świadczyły, że w szybie zaszedł jakiś wypadek. Wstąpiwszy pod dach, nakrywający jamę, obaczył człowieka, leżącego nieruchomo, z pokrwawioną głową, z poranieniami ramionami. Robotnice zawodziły, jęcząc i płacząc; mężczyźni stali, chmurni, spoglądając z współczuciem na leżącego, z odrazą na czarny otwór jamy. Abram, stojąc z boku, rozporządził:

— Lej mu jeszcze wody na głowę... a ty otwórz mu gębę i nalejcie mu wody, — zwrócił się do drugiego.

— Co się stało? — zawołał właściciel.

— Jego gazy zamroczyły, panie Lejzor — pospieszył Abram.

— A dlaczego ty nie młynkowałeś?

— Ja mam świadków, ja młynkowałem i ostrzegalem Maksyma, aby ostrożnie zjeżdżał, czy nie tak było? — zwrócił się do robotników.

— Iii... powiedział Abram: wolno jedź i tyle wszystkiego.

— A co ja miałem gadać? Czy on dziecko? On jamarz, i dobry jamarz.

W czasie tej rozmowy, leżący drgnął i otworzył oczy, oddychając głęboko.

— Żyje! Żyje! — zawołał stojący nad nim.

— Jak żyje, to dobrze — rzekł pan Krausberg — on wyzdrowieje, bo to mocny chłop.

Maksym, patrząc nieprzytomnie wokoło, starał się podnieść, ale upływ krwi i ból ran nie dozwoliły, i znów padł na ziemię.

— Może wydobrzeje, a może zginie — mruknął jeden z robotników.

— Toż trzeba go poratować — zawołała starsza robotnica, — człowiek to przecież i chrześcijanin.

— Prawda, prawda, — potwierdzili inni.

— Abram, ile jemu się należy? — spytał właściciel.

— Ja nie wiem, zaraz poszlę — i rzekł do lepiarza żyda: — Idź, spytaj Efeta, ile należy Maksymowi?

Zaniepokoił się pan Krausberg, widząc bezczynność robotników, i rzekł do dozorczy:

— Abram! Robota powinna iść dalej.

Ten zawołał drugiego lepiarza, również żyda i zaszwargotał:

— Idź do Seliga, u niego nocuje Paweł, niech przyjdzie.

Nadbiegł zdyszany posłaniec do Efeta i zawołał:

— Maksymowi należy się 6 guldenów 20 centów.

Właściciel, posłyszawszy to, rzekł tonem nagany:

— Co wy stoicie tu jak kółki? Maksym leży chory, a żaden się nie ruszy! Jego trzeba zawieść do szpitala, do Drohobycza, on się wyleczy, to dobry robotnik i o takiego dbam zawsze. Nu, rusz się który!

Robotnicy porozumieli się ze sobą i jeden z nich zdecydował się stracić dzień, byle odstawić Maksyma do szpitala.

— A jakże będzie z furmanką i taksą w szpitalu? — spytał Abruma, drapiąc się za uchem.

— Pan właściciel powie.

— Ja jemu dam naprzód co potrzeba, bo on był dobry i posłuszny. Idź, zgodź furmankę.

Kobiety zaczęły się krzątać około rannego, wydo były z zawiniątek gałgany i obwiązywały rany.

— Rozdarł ucho do połowy! — zawołała jedna.

— Zdarł skórę z włosami tu z boku — rzekła druga, przemywając głośno jęczącego Maksyma.

Słowa kobiet robiły widoczne wrażenie na słuchaczach, więc Abrum ze względu na przyszłą pracę w szpitalu, zawołał:

— Co wy głupie baby gadacie? Trochę go zamroczyło i uderzył się lekko w głowę, a wy podnosicie taki gwałt. Nu zabierajcie się do młynka...

W tym czasie nadszedł Paweł, któremu Jan opo-

wiedział cały przypadek i odradzał zjazdu do szybu, dość głośno, że mogła posłyszeć i Kasia.

— Nu Pawle, ubieraj pas, i jazda! — zawołał Abrum.

— Zaraz, zaraz, — odpowiedział i nachylony nad jamą, łowił wężem ulatniające się gazy. — Jeszcze mocne, niech młynkują.

— Co ty taki tchórz? — zaśmiał się dozorca.

— Nie tchórz, ale ostrożny.

— Oj, Pawelku! — zawołała Kasia — nie jedź do tego szybu, zemrzesz nieboże, wyciągną trupa twego, — kończyła ze szlochaniem.

— Milcz, ty szelmo jakaś, — wrzasnął Abrum, — jemu przez ciebie rozwalono głowę, a teraz nie puszczasz go do roboty.

Kasia podniosła do oczu fartuszek i rzewnie zapłakała.

Słowa Abruma, płacz Kasi wzruszyły Pawła, przystąpił bliżej do dozorecy i krzyknął:

— Ty żydzie nie wycieraj sobie gęby moją dziewczyną, bo nie dorachujesz się zębów, a do szybu nie pójde, rozumiesz? Idź pierwszy, takie jest prawo, boś dozorca.

Abrum przed groźną miną Pawła usunął się trochę i rzekł drwiąco:

— Co ty mi grozisz?... Ja ciebie wypędzę razem z nią za nieposłuszeństwo... Ty musisz zjechać!

— Oj, Pawelku! Pawelku! — jęczała Kasia.

— Nie zjadę i koniec... A chcesz, to jeszcze cię tu zamaluję.

— Ot, z niego człowiek dzielny, — pochwalił Jan swego przyjaciela. — Nie daj się zamroczyć w jamie!

— Co to jest? To bunt! — krzyknął ostro pan Krausberg. — Ja ciebie oddam do policyi!

Paweł podniecony łkaniem Kasi, słowami Jana, rzekł hardo:

— Sam pójdziesz na policyę, bo tu ludzie giną, jak muchy jesienią.

— Ty stul głębę, kiedy mówi sam pan właściciel — krzyknął Abram.

— A psiajucho, dość mam was, przeklętych męczychrystów — i posunął się ku Abramowi.

Ten przestraszony umknął za szyb i krzyczał:

— Ja ciebie wypędzam, ty rozbójniku, ty leniu, nieponiu, razem z twoją dziewczką!

— Tak rozlicz i mnie — zawołał Jan.

— Wielki mi rarytas, taki głupi wierzchni, co ty wart? — drwił Abram.

Nie twoja rzecz, ty płac.

Kasia, Paweł i Jan zabrali swoje manatki i poszli do kancelaryi, aby pisarz ich obliczył i należność wypłacił.

Równocześnie z ich odejściem od jamy, podtrzymywali robotnicy wlokącego nogami Maksyma i ułożyli go na słomie, wypełniającej wóz po brzegi, który miał zawieźć rannego do Drohobycza.

Pan Krausberg, opuściwszy szyb Abruma zamknięty z braku jamarza, miał zamiar pójść do kancelaryi, lecz paliła go zazdrość i ciekawość, co się dzieje w sąsiedniej kopalni pana Bratkowskiego. Szedł od szybu

do szybu swego sąsiada, w jednych bolał go wydobywany wosk, w drugich uśmiechał się drwiąco na widok powolnej roboty. I w tej przechadzce spostrzegł idącego ku biurom kopalni faktora, Josła Reich. Zawołał na niego, i spotkali się już na gruncie kopalni spółki.

— Nu, co słyhać Josel?

— Bratkowski chce kupić zakopy w Truskawcu.

— To dla nas lepiej, że on taki głupi.

— Jakto?

— On chciałby wszystko połknąć, roztwiera pysk, a ryby bokiem uciekają — tłómaczył obrazowo pan Krausberg.

— A jednak u niego ładny wosk — rzekł po chwili faktor.

— Taki sobie — odpowiedział lekceważąco pan Krausberg.

Po dłuższej chwili milczenia odezwał się faktor Josel:

— Panie Lejzor, on może mieć „matkę“, ja taki sam kamień widział u „matki“ Weinberga.

— Ja nie myślę.

I szli dalej, wreszcie rzekł pan Krausberg:

— Josel, ja tobie coś powiem.

— Co takiego, panie Lejzor?

— Ty Josel możesz być bogaty... ja tobie dam czwartą część netto szybu, który sobie wybierzesz.

— Pan Lejzor mówi prawdę? — zawołał ucieszony faktor.

— Ja nigdy nie żartuję w interesach..... ja tobie

dam... ale ty mi pomóż kupić Bratkowskiego i jeden ze szybów ty sobie wybierzesz.

— Co ja mam zrobić? — spytał z gotowością.

— Powiedz mi, ile on ma długów?

— Ja wiem, że on winien 6400 guldenów, ale on ich wart.

— Nu, a w Drohobyczu?

— Tam drobne po kupcach, handlach, może jest 200 guldenów.

— Teraz uważaj Josel!... Ty zrób wielki krzyk, że on bankrut, ale pod sekretem każdemu o tem gadaj.

— Ja rozumiem, on i centa nie dostanie.

— To mało, niech oni się przelękną i żądają pieniędzy od niego.

— Nu, i co będzie?

— Resztę ja zrobię sam, tylko ty strasz drugich, i powiesz mi, co on myśli sobie.

— Dobrze, a moja czwarta część?

— Ja tobie dam na piśmie.

— Dziękuję, panie Lejzor — i gotował się do odejścia.

— Josel, a jaka jego żona?

— Ona nie chce kopalni, i chciałaby sprzedać.

— Nu, już wiem... Ty teraz idź Josel i zrób swoje.

Pan Krausberg zaszedł do kancelaryi, przejrzał rachunki i około południa udał się do Borysławia.

Z niewielkiej wyniosłości Wolanki zeszedł na drogę. Z jednej i drugiej strony w południowym słońcu rysowały się wyraźnie dachy deskowe nad licznymi szybami,

pomiędzy którymi wznosiły się hałdy, rodzaj kopców, z wyrzuconej gliny, szutru, łupku.

Co chwila, po wyboistej drodze, ciągnęły z trudem konie chłopskie to zaczerwione beczki z naftą surową, znów ścięte stożki wosku, albo z krzykiem, hałasem, nawoływaniem przejeżdżała furmanka żydowska, pełna pasażerów. Pan Krausberg nie zważał na otoczenie, na przechodniów, lecz szybko szedł po ścieżce, udeptanej obok drogi i dopiero odetchnął, rozglądając się wokół, za mostem, nad Tyśmienicą.

Tu dopiero ciągnęła się w kierunku od Drohobycza ku Schodnicy główna arterya Borysławia. Tu gromadzili się robotnicy, czekając zajęcia; tędy przebiegali rozliczni faktorzy, i kupcy poważni mieli swe miejsca zebrania. Z jednej i drugiej strony ulicy rozciągały się domki drewniane, tymczasowe, a w każdym był jeśli nie szynk, to sklepik z izbą tylną, w której można było dostać napitków, od wina do prostej wódki.

Czas był popołudniowy, i z różnych kopalń na główną ulicę wysunęli się robotnicy, żądni posiłku. Punktem zbornym był dla nich placyk przed wielką karczmą, tam stały przekupki ze strawą gorącą w żelaznych saganach, ogrzewanych żarzącymi węglami. Wśród przekupek nie było chrześcijanki, gdyż żydówki opanowały cały ten plac i rodzaj przemysłu.

Pan Krausberg spojrział niechęćco na jedzących i w duszy pozazdrościł im oszczędności na jedzeniu, gdyż na spodzie małej miseczki glinianej leżało kilkanaście ziarn fasoli, widnej po przez juskę ciepłąwą, niemal przezroczystą. Tę zupeę, wraz z czarnym, niedopieczonym

chlebem, zajadali robotnicy, jeśli nie ze smakiem, to z wielką chęcią. Nie wzruszyła go, ani zdziwiła ich nędza, głód, zachłanność w jedzeniu, on szukał Borucha Eisensteina, kuzyna żony, aby z nim zrobić mały interes.

Poznał go zdaleka, po jego żółtawej brodzie i ładnych, długich pejsach, które kręcił nieustannie, rozmawiając z innymi. Zbliżył się i w stosownej chwili kiwnął na niego.

— Boruch, ja mam do ciebie interes.

— Jaki interes, Lejzor?

— Ja mam weksel sąsiada mego, ale nie chcę sam skarżyć, ja na ciebie przepiszę, ty skarż, ja daję na koszta.

— Na, a co ja zarobię na tem?

— Ty mój krewny, ty zrób to dla mnie.

— Ja zrobię, a kto mi zapłaci mój czas?

— Ile ty chcesz?

— Ja dużo nie chcę... niech będzie dwa procent i koszta wyprocesowane.

— Boruch to dużo, niech już będą same koszta.

— A kto taki?

— Bratkowski.

— Lejzor, ja dla ciebie zrobię i wezmę tylko koszta od tego goja.

— To przyjdź Boruch wieczorem do mnie, tam przepiszę weksel.

— Ja przyjdę.

— Boruch, ale ty możesz gadać głośno, że on tobie winien, że ty go procesujesz, bo on już nic nie wart.

— Ja to zrobię bez zapłaty, bo ty Lejzor mój krewny.

Zadowolony pan Krausberg wracał na Wolankę, w drodze spostrzegł idących ku Boryslawowi wydalonych robotników. Przystanął i ze względu na jamarza, który mu był potrzebny, zawołał:

— Nie bądźże głupi, o robotę trudno, przeprosicie Abruma i będzie dobrze.

— A niedoczekanie wasze, abym przepraszał żyda, — odpowiedział Paweł.

— My stajemy jutro do szybu, — dorzucił Jan.

— U waszego sąsiada.. szlacheica!

VIII.

W kilka dni pan Bratkowski otrzymał dwa wezwania do sądu, o zapłacenie wekslowych długów. Schował je starannie przed żoną, i opłacił woźnego, by on wszelkie papiery sądowe wręczał mu do rąk własnych.

Zaniepokojony tem niespodziewanem zażądaniem, pojechał do głównego dłużnika pana Kernsteina do Borysławia.

Przyjął go w pokoju bawialnym, przesyconym wilgocią, w którym każdy sprzęt był nakryty brudną powłóczką. Niski, z brodą siwiejącą, okrągły, wprowadził spodziewanego gościa, a gdy usiedli, wpatrzył się milcząco okrągłemi oczyma w twarz przybyłego.

— Panie Kernstein, dlaczego pan mnie zaskarżyłeś? co się stało?

— Po co pan pyta? Pan zna swoje rachunki? Kernstein mówił, że będzie cicho, póki ma pewność, a czy teraz jest pewność?

— Nic się nie zmieniło, przeciwnie nawet, szyby pogłębiłem i lada dzień dojdę do wosku, panie dobrodzieju.

— To nie w tem interes, panie Bratkowski, szyby to rzecz pana, ale pan ma długi, pan naciągnął swój kredyt, skąd pan zapłaci tym ludziom? Ja muszę się bronić, mój kapitał, to wszystko moje.

— Ależ wszystkie moje długi nie przewyższają wartości gruntu samego, a gdzie szyby? gdzie wosk?

— Może być, ale ja potrzebuję pieniędzy; ja mam lepszą lokacyę. Dlaczego ja mam źle sypiać, mieć brzydkie sny? Dlaczego mają ludzie mi gadać, że ja utopiłem moje pieniądze? Nu, powiedz pan sam?

— Dlaczegoż pan mnie nie uprzedziłeś? było wpierw wymówić kapitał, byłbym dostał i zapłacił panie dobrodzieju.

— A czy pan zapłacił mi procent? Ja czekałem i powiem panu, że kredyt już przepadł, bo pan wdał się z lichwiarzami, a ja muszę odebrać moje pieniądze.

Pan Bratkowski pobladł, poprawił nerwowo okulary i rzekł z niedowierzaniem:

— Co pan mówi o kredycie?... Skąd pan wie, czy nie dostanę za godzinę pieniędzy?

— Nu, niech pan probuje, ja chciałbym, żeby się obeszło bez procesu, mnie żal pana.

Ta udana litość oburzyła go, wstał z krzesła i mówił z gniewem.

— Chcesz pan procesu, dobrze, zobaczymy kiedy pan otrzyma zapłatę i jakie procenta przyzna sąd, już ja się postaram o przedłużenie.

— Niech i tak będzie, — odpowiedział pan Kernstein ze spokojną ironią, — ja żądam tylko kapitału.

Podobną nieugiętość znalazł i u drugiego wierzy-

ciela. Pojechał na Wolankę do swej kopalni, a widok pracy około szybów i wydobywania wosku z głębi jam uspokoił rozstrojone nerwy i w swoją przyszłość zaczął jaśniej spoglądać. Przecież ma wosku w składzie około dwudziestu centnarów, dziś znów przybędzie nowy wosk ze szybów, a wkrótce dobije się w dwu szybach do pokładów woskonośnych, a może odkryje „matkę“... da sobie radę z dwoma wierzycielami, wszak proces trwa conajmniej kilka miesięcy, od tego są adwokaci, aby przewlekli sprawę.

O ile jednak pan Bratkowski starał się usilnie ukryć wytoczone mu procesy, miewał wobec kupców minę butną i pewną siebie; dość długo siedział w kasy- nie; znajomych zapraszał na wino do handelku; a żonie i dzieciom sprawił nowe ubrania; tem skwapliwiej pp. Krausberg, Eisenstein, z całą falangą znajomych rozprawiali głośno o jego bankructwie i ostrzegali kapitalistów i tak już ostrożnych w udzielaniu pożyczek.

Pan Bratkowski, domyślając się sprężyn działających, czuł jednak grożące mu niebezpieczeństwo, rozumiał doniosłość utraty kredytu, próbował zaciągnąć pożyczkę tu i owdzie nawet u osławionych lichwiarzy, i na każdym kroku spotykał się z odmową, która go coraz bardziej rozgoryczała i popychała do kroków kompromitujących jego kredyt i kopalnię, wosk bowiem jego miał stale niższą cenę i był niechętnie kupowany, a on sam, pragnąc uzyskać gotówkę, sprzedawał przyszły wosk, mający się dopiero dobyć za cenę znacznie niższą, aniżeli brał za gotowy. Od czasu do czasu miewał poczucie, że przed nim otwiera się przepaść, w którą on wraz

z rodziną nieodwołalnie wpadnie, i rozpacz go ogarniała na myśl nędzy żony i dzieci. A ta podwójna gra, pewności i swobody wobec żony i ludzi, a niepokoju i trwogi, gdy zostawał sam, wyczerpała jego siły nerwowe. Coraz rzadziej budował most złoty pomiędzy teraźniejszością a przyszłością bogatą i błyszczącą w kieliszku wina, w lekkim oszołomieniu zaczął znajdować ulgę zapomnienia i podniętę do złotych rojeń.

Pierwsza spostrzegła to żona, a gdy raz wieczorem wrócił podniecony, zaczęła mu robić wymówki z płaczem:

— Guciu, tyś pijany!... Ty się chwiejesz!... Teraz ciągle przesiadujesz w kasynie, w winiarni, tracisz zdrowie i pieniądze... O ja nieszczęśliwa, biedne dzieci, nie dość, że majątek zmarnowany... ale ty pijesz.

Chciał uspokoić uściskiem, dobrocią i zbliżył się:

— Daruj mi Stasiu, tak jakoś ze znajomymi wypilo się... może trochę za wiele...

Całował jej rękę, wyrwała mu ją:

— Czuć cię szynkiem, idź spać, niech choć dzieci nie widzą cię pijanym!

To usunięcie ręki, te słowa oburzyły go, z gniewem uderzył pięścią w stół, wołając:

— Cóż to pić mi nie wolno? ty mi zabronisz, czy kto? Będę pił, ile mi się podoba. Dosyć mam tej niewoli domowej, wieczne szlochy, płacze... a to można zwaryować!

— Cicho, cicho, dzieci posłyszają — uspakajala żona.

— Niech posłyszają! Jestem u siebie w domu i wolno mi krzyczeć, jeśli mi się podoba!

W tej chwili posłyszeli oboje cichy skrzyp drzwi

otwieranych i w progu stanęła najstarsza córka, Zosia, bardzo ładna, wysoka i zgrabna blondynka. Zbliżyła się do ojca i całując jego rękę, mówiła dźwięcznym, świeżym głosem:

— Posłyszałam, że tatuś wrócił i przyszedł na dobranoc.

— Jeszcze nie śpisz Zosieczko? — spytał tonem serdecznym, siląc się na spokój.

— Czytałam... — i siadając obok matki, zaczęła: — Jakże tatusiu te nowe szyby? Czy jest już воск?

Na te słowa rozjaśniła się twarz ojca, podniecenie winem minęło, została tylko pewna swoboda i pragnienie wypowiedzenia się:

— Lada dzień oczekuję, że wreszcie dobieję się do wosku. Obiecałem jamarzom po pięć guldenów nagrody za pierwszą żyłę wosku, i wiesz Zosiu, mam teraz doskonałego jamarza Pawła, ten aż drży do wosku.

— Daj Boże, abyś się dokopał, — szepnęła żona, odkładając szycie.

— Dokopię się, dokopię... muszę zresztą dostać się do wosku, bo przyznam się wam, że interesa nasze nie idą po mojej myśli. Żydzi spiknęli się na mnie, ale omyli się grubo, mam воск i nie dam się zjeść.

— Daj Boże, daj Boże — westchnęła żona z powątpiewaniem.

Ten ton jej głosu podburzył go, rozsiadł się wygodniej i zwrócił się do córki.

— Matka zawsze wątpi i odbiera mi odwagę. Wi-
dzi przecież, jak się borykam z żydami, jak pilnuję ko-

palni, jak mi ciężko i trudno, a ile razy przyjdę do domu, wieczne narzekania, pretensye, wymówki, żądania...

Córka podniosła na niego piękne, ciemno-niebieskie oczy i mówiła swobodnie:

— To już przesada tatusiu... jestem tydzień w domu i nie słyszałam nic podobnego. Zresztą, jeśli mama i robi jakieś uwagi, to ze względu na dom. Tatusz prowadzi interesa, a mama musi dbać o dzieci i gospodarstwo domowe.

— Spytajże się matki, czy nie daję pieniędzy? czy odmawiam?

— Moja Zosiu, — odezwała się matka ze słodyczą — to prawda, że robię ojcu wymówki, ale tu idzie o zdrowie jego, a naszą przyszłość...

— Zawsze ta sama śpiewka — mruknął niechętnie.

— To prawda, że tatusz źle wygląda, ale teraz obie z mamą dopilnujemy tatusia, nie pozwolimy na takie zmęczenia, trzeba wcześniej kłaść się spać, bo zdrowy sen dodaje sił, jak mawiała nasza przelozona.

Słowa te wywołały uśmiech na twarzy rodziców i już weselej odezwała się żona:

— Od dziś kuracya, chodźmy spać i śpijmy zdrowo. Wstali, a na odchodnem spytał mąż:

— Czy nie był kto do mnie?

— Był woźny z sądu, ale nie chciał zostawić papierów.

Na drugi dzień na wsiadanem, odebrał pan Bratkowski trzy nowe wezwania do sądu, a między niemi figurowało nazwisko nieznanego mu Borucha Eisensteina

o sumę 1100 fl., prócz kosztów. Domyślił się, że to dług Krausberga, który onegdaj upominał się o procent.

Zawołany Krausberg usprawiedliwiał się tem, że sam, nie mając na razie pieniędzy, wziął część do Eisensteina, byle wygodzić sąsiadowi, a teraz ten wspólnik, w obawie straty, zmusił go do wystąpienia w sądzie.

Zmartwiony i zaniepokojony temi skargami sądowymi, dziś wcześniej, aniżeli zazwyczaj pojechał do domu. Zastał żonę ze śladami łez, córkę zmartwioną, a dzieci chmurne i bojaźliwe.

— Co się stało? — spytał milczących.

— Co? — odezwała się z wymówką w głosie, — patrz!

I wskazała na papierki z orzelkiem, przyklejone do każdego z mebli, znak, że komornik zrobił zajęcie ruchomości.

Zmieształ się, pobladł i spytał głosem zduszonym:

— Kiedy? W czyjem imieniu?

Zamiast milczącej matki — odpowiedziała córka:

— Dziś przed południem był komornik... przestraszyliśmy się z mamą.

— Głupstwo panie dobrodzieju... jutro zdejmie się areшт... to zemsta żydów... Nie płacz Stasiu, nie martw się, wszystko będzie dobrze.

— Taki wstyd... a w domu panna dorosła, co, ludzie, co świat powie?

— Co za ludzie? co za świat? w takim Drohobyczu... z nikim tu nie żyjemy i nikt nas nie obchodzi... Zaraz pójdę do miasta i jakoś to będzie, panie dobrodzieju, znajdzie się jakaś rada.

Uśmiechał się, silił się na swobodę, na pewność zaradzenia, ale w głębi czuł, że pozycja jego finansowa była tak zachwiana, iż lada chwila mógł runąć.

W mieście mówiono już głośno o zajęciu ruchomości, złowrogie szepty o tem dochodziły do uszu pana Bratkowskiego, który szedł szukać ratunku, sam nie wiedząc, gdzie iść, z kim mówić, kogo się poradzić?

Poszedł do kasyna, chroniąc się przed uśmiechami żydów, ale i tu widocznie dobiegła nieszczęśliwa wieść, gdyż zdawało mu się, iż znajomi witają się z nim zimno, obojętnie, jak gdyby bali się zbliżenia.

Z goryczą wspominał, że ci sami ludzie tak niedawno winszowali mu dorobienia się tysięcy, kroci i wraz z nim zlorzeczyli konkurującym kupcom wosku.

Gdzie iść, gdzie uciec od ludzi, nie widzieć ich, nie słyszeć ich głosu? W domu płacz i narzekania, w kasynie mrozące ukłony, i przymusowe rozmowy, wstał i nie żegnając się z nikim, poszedł szukać zapomnienia, w ciemnym, brudnym pokoiku handlu Jabłońskiego, przy butelce wina. Lecz i ta dziś nie skutkowała, a szeregi cyfr długu nie chciały ustąpić, i niepokój ogarniał go coraz większy na myśl, że wosk jest naprzód sprzedany, a oczekuje go wypłata za materyał i robotnikom.

Czuł usuwający się grunt pod nogami, i te skręty, które coraz silniej się zaciskały, uniemożliwiały jego ruchy, paraliżowały wysiłki, gniotły go silnie aż do utraty tchu.

Nie dopiwszy butelki, wyszedł. Dusił go powietrze rynku; nie mógł znieść widoku żydów; palił go bruk miejski; chciał odetchnąć innem powietrzem; wyr-

wać się z murów; spojrzeć na szeroką płaszczyznę pól i zostać sam ze swemi myślami.

Bocznemi ulicami, unikając swego domu, dostał się na trakt Samborski wysadzony topolami. Przy wschodzącym księżycu podnosiły się zwolna opary z łąk, błyszczały, zroszone liście traw, huczały chrabąszcze, przelatywały ćmy białe, i cichym lotem przemykały się nietoperze. Ta cisza i spokój natury zwolna ukołysały jego nerwy, a wracając do domu, czuł rosnącą energię do walki z niepowodzeniami. Wszak to zajęcie, jest tylko ubezpieczeniem pretensyi żydów, do licytacji jeszcze daleko, a ma bądź co bądź wosk i nowe szachty może jutro natrafią na pokłady bogate.

Wszedł spokojnie do jadalnego pokoju, przywitał prawie wesoło żonę i córkę, mówiąc:

— To zajęcie mebli, to strachy na lachy; jest to zwykle ubezpieczenie pretensyi, którą dopiero sąd rozstrzygnie i uprawomocni.

Ton jego słów i spokój podziałały kojąco na żonę i córkę, odetchnęły swobodniej.

— Możebyś co zjadł, Guciu?

— Jestem istotnie wygłodzony, gdyż byłem na dalekim spacerze.

Córka szybko i zręcznie nakryła do stołu i poszła do kuchni po jedzenie.

— A gdzie byłeś, Guciu?

— Poszedłem w pole, bo ten Drohobycz z tymi zapachami nafty i garbarni staje się chwilami niemożliwy.

— Jeśli dla ciebie, który masz głowę zaprzątniętą

interesami jest on takim, pomyśl, co ja doznaję przykuta do tego miasta.

— Minie to, minie... niech tylko poprawią mi się interesa, wyszlę ciebie z dziećmi w góry.

Na te słowa weszła córka, i stawiając potrawę, spytała:

— Jakie to nowe projekta robi tatuś?

— Bardzo dalekie, — uśmiechnęła się matka, — jeśli to i owo się stanie, mamy wyjechać w góry.

— Byle razem z tatusiem...

— O nie ze mną! Ja muszę pilnować kopalni.

— W takim razie ja zostaję na gospodarstwie, a mama niech jedzie z chłopcami.

— Dobraliście się oboje, — zaśmiała się matka, — żyjecie fantazyą, i dopiero naga rzeczywistość przyprawia was do porządku. Nie dziwię się Zosi, ale ty Guciu, w tym wieku!?

— Wstydzę się, Stasiu przed tobą, ale naprawdę lżej mi żyć z mojami, jak ty nazywasz. fantazyami... I teraz tak mi dobrze pośród was, czuję jakieś bezpieczeństwo, jakby puklerz przeciw złościom tego świata.

— I ja byłabym prawie szczęśliwą, gdyby nie obawa o naszą przyszłość, mój Guciu, ale dziś, w tej chwili, i tej się pozbyłam, bo widzę cię tak spokojnym, zrównoważonym, że nowa otucha wstępuje we mnie.

— Dziwna rzecz, moja mamo, — mówiła dzwicznym głosem córka, — ale i ja mam wrażenie, że dziś nastąpił jakiś przełom w naszym życiu.

Po tych słowach niewiadomo skąd i dlaczego spochmurniały i zasępiły się twarze rodziców. Matka roz-

myślała nad przykrością i upokorzeniem dzisiejszego zajęcia ruchomości, kłuły ją aż do bólu fizycznego naklejane kartki, a fala żalu do męża zaczęła znów wzbierać. Jemu słowa córki przywołały na pamięć cały szereg niepowodzeń z ostatnich czasów i wzrosło uczucie bezsilności i bezradności. Zdawało się im obojgu, że gdzieś z zacienionych kątów pokoju wstaje mara nieszczęścia i otula ich czarną, nieprzenikliwą mgłą. Niespokojni, rozejrzeli się po pokoju, a w tej chwilowej ciszy dały się słyszeć kroki za oknem i skrzyp piasku pod naciskiem butów. Wzdrygnęli się i pełni obawy spojrzeli w tę stronę. Po chwili weszła służąca:

— Jakiś człowiek przyszedł do pana.

Wkrótce wrócił ze sieni pan Bratkowski, trzymając w ręku list starszego dozorca kopalni. Otworzył go z wolna, z pewnem ociąganiem i zbliżywszy się do lampy, odczytał wiadomość, że wosk znajdujący się na składzie został zajęty przez komornika, jak również iż jeden z woskonośnych szybów został zalany wodą.

Na czoło wystąpił mu pot kroplisty, wzdrygnął się widocznie, jak przy silnych dreszczach, a siląc się nadaremnie na spokój, rzekł do kobiet śledzących z trwogą wrażenie listu, drżącym wbrew woli głosem:

— Woda zalała jeden ze szybów... trzeba będzie wypompować... koszt bo koszt, ale niema nieszczęścia.

Smutni, rozstrojeni, pełni złowieszczych przeczuć, nie mogli i nie umieli zualesć przedmiotu do rozmowy tego wieczoru i wcześniej rozeszli się na spoczynek.

Na drugi dzień starszy dozorca wręczył panu Bratkowskiemu w biurze kopalni nietylko akt zajęcia wosku

dobytego, lecz zarazem położenie aresztu na wosk przyszyły, o ile będzie dobytą, a jako kontrolera tymczasowego wyznaczono kupca drohobyckiego Borucha Eisensteina.

Równocześnie zjawił się w biurze faktor Josel Reich, zginający się wpół na progu:

— Kłaniam wielmożnemu panu!

— To ty, Josel — rzekł bezdźwięcznym głosem.

— Aj, co za kłopoty ma wielmożny pan z tymi lichwiarzami... ja prosił, mówił, tłumaczył, ja buty zdarł, tak biegałem od jednego do drugiego, a oni ze strachu pobiegli do sądu... wielmożnemu panu nic nie będzie, a oni tracą procent i to dobry procent, bo to sami lichwiarze...

— Powiedz mi prawdę, Josel, czyja to machinacya, bo że to ktoś robi rozmyślnie i z planem, dałbym szyję.

— Po co wielmożny pan ma dawać szyję na taki głupi interes... to tak sobie, jeden krzyknął: gwałt, a wszyscy za nim... tu nie było zmowy.

— Hm... hm... kto to zrobił? — rozmyślał głośno właściciel, — Kernstein? nie, bo on handluje pieniędzmi; Wegman, nie, bo zajmuje się naftą; Apfelman, ma garbarnię... a może to Krausberg? Jak ty myślisz, Josel?

— Krausberg? Co też wielmożny pan takie rzeczy mówi? On mało nie płakał nad nieszczęściem pana! Jak inni żądali po 200 guldenów na miesiąc, on pożyczyl sam od drugiego, a dał wielmożnemu panu za sto... On sam traci głowę, dlaczego wielmożny pan stracił kredyt, on może i pożyczycy bo on ma serce.

Pan Bratkowski machnął ręką na znak, że nie chce próbować z Krausbergiem i po chwili spytał:

— Co to za jeden ten Boruch Eisenstein?

— To bardzo porządny kupiec, on handlował wołami, potem zbożem, a teraz robi tu interesa, ale całkiem pewne.

— Wiesz Josel, on jestznaczony kontrolerem w mojej kopalni.

Faktor obejrzał się w około, przysunął się bliżej i zaczął szeptem.

— Proszę wielmożnego pana, taki kontroler to nie, to *sobie taka figura*, aby ona stała na papierze... Wielmożny pan może powiedzieć dozorczy, aby on nie oddawał całego wosku do składu, po co to? na co?... on może schować z boku, a wielmożny pan może go sprzedać komu zechce i za ile zechce. Tak robią wszyscy, abym tak zdrów był, że moja prawda.

Pan Bratkowski poczerwieniał i oburzony zawołał:

— Z takimi radami idź do takich szachrajów, jak ty jesteś... wynoś się!

Josel odstąpił kilka kroków i pełen pokory, przemówił:

— Ja bardzo przepraszam łaski pana dobrodzieja, ja byłem głupi, co wielmożny pan, to pan, i nie robi, jak te łapserdaki żydzi... ja jeszcze raz mówię, że ja głupi.

Pan Bratkowski siedział posępny i zamyślony, po chwili rzekł:

Josel, słuchaj, jadę teraz do Drohobycza, do sądu, który musi mi przyznać część wosku na zapłatę

robotników i na materyał, bo inaczej zamknę całą kopalnię; a ty Josel szukaj pieniędzy, muszę dostać dzisiaj.

— Wielmożny panie, ja będę szukał, biegam, prosił... nu, a jak nie będzie?

— Daj warunki, jakie zechcą.

— Wielmożny panie, — mówił faktor z ociąganiem, — może trafi się wspólnik, co ja mam powiedzieć?

— Hm... wspólnik? To zależy od warunków, przyjąłbym, ale w połowie musi ponieść dotychczasowe koszty... A czy masz takiego?

— Ja nie mam nikogo, może jednak trafi się taki.

— No, moje warunki słyszałeś... idź i szukaj!

Pan Bratkowski, wyszedłszy na kopalnię, spotkał się ze swym sąsiadem, który uprzejmie zbliżył się do niego.

Po wstępnej rozmowie, pełnej współczucia nad zaszłymi wypadkami, rzucił pan Krausberg ślepy strzał:

— A możeby pan sprzedał ten cały kłopot, pan straci zdrowie z tymi lichwiarzami i nie będzie miał spokoju.

— Sprzedać? hm... hm... wie pan, gdyby mi kto dał gotówką 40.000 guldenów, plunąłbym na wszystko i wyjechał!

— Nu, takiej sumy nikt nie da, to za wielkie ryzyko....

— A ile, jak pan sądzi?

— Ja nie wiem... to nie mój interes... ja nie mam tyle pieniędzy...

— No, a gdyby to była własność pana, ile żądałby

pan za tę kopalnię? Pan zna ją przecież, bo pan sąsiad, panie dobrodzieju.

— Ja?... Ja nie sprzedalbym takiej kopalni, tu mogą być tysiące, a może i nic, ale ja wolałbym ryzykować na spółkę.

— Otóż, panie dobrodzieju, to i moja myśl panie Lejzor. Czuję, prawie jestem pewny, że tu są krocie.... miałem już żyły na pół metra grube... i widzę, że pan radzi mi uczciwie, po sąsiedzku i nie sprzedam kopalni.

— Pan dobrze zrobi — pochwalił pan Krausberg, a widząc przemykającego zdala Josła Reicha, faktora, pożegnał sąsiada.

Na swojej kopalni, za hałdami, spotkał się z faktorem:

— Josel, on będzie chował wosk?

— Nie! narobił takiego gwałtu, że ja musiałem go przeproszać.

— O! Jednak on ostrożny.

— Panie Lejzor, ja myślę, że on tylko głupi.

— I to być może... Co ty mi powiesz więcej?

— On teraz jedzie do sądu, aby mu dali wosk na robotników.

— Niech sobie jedzie.

— Panie Lejzor, są już kupcy na jego kopalnię...

— Kto taki?

— Kirschbaum i Seliger... Oni chcą kupić, a jak będzie licytacya, znajdzie się więcej.

Po namyśle rzekł pan Krausberg:

— Ty, Josel, kładź mu w głowę, że na licytacyi

kupią tanio cały grunt, co jest prawda... Ty możesz nawet tanich kupców sprowadzić do niego...

— A jak on sprzeda!? Co będzie z moją częścią?

— Ty nie potrzebujesz się bać, on nie sprzeda... ty możesz mu odradzać nawet, ale spokojnie.

— Nu, a jak na licytacji kto inny kupi? na taką kopalnię złakomi się dużo.

— To Josel nie twoja głowa, już ja zrobię dobrze.

— I ja będę miał czwartą część szybu?

— Ty będziesz miał.

IX.

Gdy Kasia wychodziła w niedzielę z nabożeństwa, oczekiwali już na nią niecierpliwie Paweł i Jan. I razem we troje szli drogą wiodącą przez Borysław na Wolankę.

Z początku z jednej i drugiej strony wyglądały z pomiędzy drzew chaty kryte słomą, z małemi okienkami. Na podwórzach bawiły się dzieci, gdały kury, słyhać było skrzyp drzwi otwieranych, nawoływania gospodyń, i widać było cały ład odświętny na wsi.

Paweł patrząc na te chaty, poczuł silną tęsknotę do swej wsi, do tego życia spokojnego, tak bardzo różnego od gorączki i niebezpieczeństw kopalni, zapragnął zobaczenia choć na chwilę pól obsianych, posłyszenia szumu lasu, szmeru czystej wody.

— Kasiu, pójdźmy dziś w pole, w las — prosił prawie pokornie, — obrzydła mi Wolanka i żydowskie karczmy. Chodź, kupię słodkiej wódki, coś na przekąskę i zobaczymy świat boży.

— Nie mogę, za gorąco mi w tej chustce...

— Wstąpimy na Wolankę i weźmiesz inną, posłuchaj mnie ten raz.

— Paweł ma rację, — dorzucił Jan — tu gdzie spojrzysz, to widzisz grób w tej mordowni, a w polu inaczej, tam Pan Bóg sam gospodarzy i aż człowiekowi weselej.

— Kiedy ja się wstydzę, — mówiła ciszej — będą mi dokuczać, że idę z tobą w las.

— Toż będzie Jan... Alboż my nie po słowie? Wolno nam, a ludziom zasie.

— Kupię kielbasy, słoniny i dopiero poświęcujemy dobrze, — zaśmiał się Jan...

— Ano pójdę, ale wpierw schowam tę chustkę.

— To i w sam raz dobrze, — rzekł Paweł wesoło, — ty chustkę włożysz do skrzynki, a my kupimy co należy.

Spotkali się w oznaczonym miejscu i ruszyli ku lasom Tustanowickim. Szli pełną drużyną, spotykając to tych, to owych znajomych z kopalni, których podobnie jak ich nostalgia za wsią ciągnęła w pole, a również chęć naocznego przekonania się, czy czas żniw, czas opuszczenia kopalni i zobaczenia swej wsi jest już blizki.

I tak rozmawiając o spotkanych znajomych, o plotkach obiegających, o kopalni, doszli do skraju lasu.

Usiedli w cieniu, i rozpoczęła się uczta, mieli aż dwie butelki słodkiej wódki, kielbasę i bochenek chleba białego.

— Hej, hej, miły Boże — odezwał się Paweł po ucieszeniu się ogólnikowej rozmowy, — u nas inaczej, las

szumi tak, że aż do snu ukołysz, a woda z gór gada po swojemu, orły hen w górze lecą i jak zakrzykną, tak każdy zwierz tuli się i chowa... Tam dopiero życie!

— Ano idź do swoich, ja ciebie nie trzymam — rzekła Kasia półzartem.

— Aj, trzymasz ty mnie trzymasz, ale ciebie wezmę jak swoją, aby tylko zarobić i spłacić dług.

Kasia z ciekawością spojrzała na niego, ale na razie umilkła i patrząc w las, zawołała:

— Ileż tu grzybów! oh, żeby nazbierać, uwarzyłabym wam albo upiekła.

— Ja rad, że legnę sobie, — odpowiedział Paweł, — bo w jamie ciężka robota, pot się leje, a dech zapiera.

— Kasiu, jak nam uwarzysz, to nazbieram całą kobiałkę, — rzekł Jan.

— Cóżbym nie miała? Umiem ja zgotować każdą strawę, bo służyłam u diaka przez dwa lata.

— To i pójdę, — dodał Jan, wstając i wkrótce znikł w głębi lasu.

Paweł przysunął się bliżej, objął ją ramieniem i prawie szeptał:

— Moje ty serce, moja gołąbko, ty nie wiesz, jak ja ciebie kocham.

— Pókim na oczach, — zaśmiała się dziewczyna.

— Nie mów ty tak, bo serce mi się kraje, ja w dzień i w nocy pamiętam o tobie.

— A gdzie moja chustka jedwabna? gdzie moje korale?

— Wpierw Kasiu muszę doskładać, aby się pozbyć

utrąpionego długu, a potem w mig zapracuję na chustkę i korale.

Kasia uśmiechając się słodko i tuląc się do niego, spytała:

— Pawełku, a dużo już masz?

— Uskładałem sto dwadzieścia papierków, jeszcze trzydzieści i skończy się męka moja.

— Bój się Boga, i tyle pieniędzy zostawiasz gdzieś na noclegu?

— Iii!... nie taki ja głupi, ja chowam je dobrze, nikt nie zgadnie...

— Oho! ja ci powiem zaraz.

— Takaś skora!? Ano, jak zgadniesz, zapłacę muzykę i poczęstunek...

— No dobrze...

— Ba, zaczekaj, moje ty serduszko, jak nie zgadniesz, wycaluję cię do woli...

— Eeee, nie chcę tego, — uśmiechnęła się z załotnością.

— Oj, gołąbkoż ty moja, toż całowanie nie jest grzechem.

— Ni, nie chcę — drażniła się.

— Ano, choć dwa razy...

— Tylko raz.

— Niechaj, ano mów!

Patrzała badawczo na niego i po dobrej chwili rzekła:

— Nosisz przy sobie.

— To nie sztuka, bo każdy nosi przy sobie, ale gdzie?

— Gdzie? Hm... hm... Zaszyte.

— Otóż nie, no dajże pyska.

Wykręcała się, niby to się broniąc, póki on nie pochwyciłszy jej, zmusił do pocałunku.

— Jeszcze obaczy kto! — wołała, wreszcie się odsunęła i spytała z przymileniem.

— Powiedz-że, Pawełku, gdzie chowasz?

— Ano, widzisz moje buty, niby nic i pięć sztuk trudno by dostać za nie, a tam druga zylówka w środku, i papierki zawinięte leżą sobie.

— Ty, Pawełku, przemyślny — i spojrzała z szacunkiem, ale i pożądlivością na buty.

Ten jej wzrok rozbudził w nim wrodzone chłopom niedowierzenie, i rzekł tonem surowym:

— Słuchaj, Kasiu, powiedziałem ci moją tajemnicę, ale przysięgnij mi tu zaraz, na twoje zbawienie i Przechystą, że nikomu nie powiesz, choćby cię bito i kutowano.

Kasia bez wahania zawołała:

— Jak mi Boga przy skonaniu, jak pragnę umrzeć po chrześcijańsku, i żeby mi Przechysta Matka Boska odjęła język i nogi, jeśli komu powiem, gdzie chowasz pieniądze.

Ta przysięga uspokoiła go i mówił tonem zwierzenia:

— Bo wiesz, Kasiu, nikt tego nie wie, ani się domyśla, nawet mój towarzysz serdeczny, Jan, bo to zaszywają w koszulę, w serdak, w spodnie, ludzie wiedzą, to i kradną, mnie samemu odcięto pół koszuli i zabrano

kamizelę, a o butach nikt nie pomyśli; tak ty nie gadaj nikomu.

— Toż ci przysięgłam... i jeszcze ci mało?

— Prawda, już ja ci wierzę — i znów zaczął całować.

Z głębi lasu odezwało się hukanie Jana, odpowiedziała mu, Kasia, odsuwając się od Pawła.

Przyniósł tylko kilka grzybów.

— Ot znalazłem kilka lisków, ale to marny grzyb, — i rzucił w krzaki, — ja powiem wam inną rzecz... w Tu-stanowicach, przy drodze jest karczma, dobra tam wódka i miara sprawiedliwa. Muzyka, jak się patrzy i zabawa dobra; tak, chodźmy tam, a przy miesiączku wrócimy do domu, na utrapioną Wolankę.

— A ty Kasiu z nami? — spytał Paweł.

— Dalekoż ta karczma?

— Eee, nie, pójdziemy trochę krajem lasu, potem trochę w las, tam trzy drogi, lewa do karczmy, prawa na Wolankę, a prosto do Urycza.

— To i chodźmy, bo wkrótce zajdzie słońce, — mówił Paweł wstając.

Szli rozweseleni i rozbawieni, obydwaj hukali w las, ciesząc się echem, aż Kasia przerwała tę zabawę, mówiąc:

— Pomyślą ludzie, że idą pijani... i możecie jeszcze wywołać jakieś лихо.

Obydwaj umilkli, a ona widząc wrażenie swych słów, dodała:

— Opowiadała mi babka, że jeden chłop hukał w lesie dla zabawy. ot jak my. a było to nad jarem pełnym paproci i krzaków, aż tu szum słyszy i wylazi

do niego, ot, tyla dziwo, — pokazując ręką na łokieć od ziemi, — z ogromną głową i mówi: wołałeś mnie, to i masz, bierz mnie i nieś do chaty.

— No i co? No, dalej... dopraszał się Jan.

— Cóż miał robić, wziął i niesie, a to odjada wszystkich, takie nienasycone, kropili wodą święconą, dyaka sprowadzali, a potem szczeszło bez śladu.

— Tak, tak, i w naszych lasach są dziwy wszelakie, a o nieszczęście nie trudno, — rzekł zamysłony Paweł.

— Ba, to wiadoma rzecz, nieszczęście kręci się ciągle koło człowieka, a ma on grzech śmiertelny, to już i przepadł.

Wkrótce mieli wejść w las, spojrzeli jeszcze raz na pola uprawne oświetlone czerwonawo zachodzącym słońcem, i na wyżynie oddzielonej od nich dość szerokim parowem, ujrzeli wysoką postać chłopca, który przesłoniwszy oczy od słońca, patrzył w ich stronę.

— Ten kogoś szuka, — rzekł Paweł.

— Chodźmy, bo zmrok zapada, — nagliła Kasia.

Szum lasu, gonne jodły podszyte młodą drzewiną, czarne swą zielenią, krakanie wron i kruków sadowiących się na drzewach, nastroiły ich poważnie, i szli w milezeniu ku Tustanowicom, skręciwszy na rozstajnych drogach na lewo.

Maksym, który z drugiego wzgórza widział ich wchodzących w las, zbiegł do parowu i drapał się w górę, pragnąc się zemścić na Pawle i Kasi.

Dziś z południa wrócił ze szpitala, zaszedł do kancelaryi kopalni, wyprosił u Efeta guldena zaliczki i po-

szedł do karczmy Seemana. Przy kieliszku spotkał się z tym i owym znajomym, a dowiedziawszy się, że widziano Kasię i Pawła pod lasem, poczuł zazdrość, a gdy mu powiedziano, że porzucili kopalnię żydowską i pracują razem u szlachezca, że nie rozstają się ze sobą, razem idą i schodzą z roboty, a dziś byli na nabożeństwie, porwał go szal zemsty. Wybiegł w pole, dojrzał ich przed lasem, poznał Kasię po czerwonej chustce, jej darowanej, a Pawła i Jana po ruchach, i wzburzony, niesiony zajadłą zemstą, biegł za nimi na przelaj, gotując do napadu długi, składany nóż. Stał na rozstajnych drogach, nie mogąc się zdecydować na kierunek. Wiedział, że na prawo ma Wolankę i szybko pogonił tą drogą. Wyszedł z lasu, napróżno jednak wyteżał wzrok w zmroku, nikogo nie dojrzał. Zaklął, a czując się zmęczony, legł na trawie, rozmyślając w samotności nad sposobem zemszczenia się na szczęśliwszym rywalu, Pawle.

Odpczawszy, poszedł znów do karczmy. Wśród ciżby robotników łatwo odszukał towarzysza Pawła z kopalni Bratkowskiego.

Usiedli w końcu wielkiego stołu, i Maksym nie tylko kazał dać wódki, ale poczęstował nowego znajomego tytoniem.

— Daj Boże zdrowie!

— Daj Boże i wam, — odpowiedział robotnik, wypił podany kieliszek, i rzekł:

— Coś mizernie wyglądacie, czy zamroczyło was?

— Ba, nie tylko zamroczyło, ale o cembrzyny potłukłem się, że ledwo mnie doktorzy pomogli.

— To wy ze szpitala?

— Toż widać po mnie, no i radbym znaleźć robotę, może do was stanę.

— Ee, nasz ledwie zipie, płacić to płaci, ale urwie się i to.

— No, a jamarzy macie?

— Jest ich tam trochę.

— I dobrzy oni? rozumieją robotę?

— Ano chwałą tam sobie jednego Pawła.

— Tak?... Ano wypijmy jeszcze!

— Bóg zapłać, upiję się, a jutro robota.

— Iii, jeden nie zawadzi.

Po wypiciu spytał Maksym:

— A gdzie robi ten Paweł?

— Dawniej w kamieniu, a teraz poszedł do wosku.

— To ten pierwszy szyb od żyda?

— Nie, ten drugi.

— Może się i zgodzę, a jaki dozorca?

— Póki pan jest to krzyczy, a pojedzie pan, to śpi.

— Ten to dobry, ale pewno was kradną po nocach.

— Pewno, bo stróż śpi w sieni, zagwiżdże i uśnie, takiemu to dobrze... ot, żeby człowiekowi takie miejsce, a może słyszeliście, co?

Następnie dowiedział się Maksym, że Paweł jutro pierwszy zjeżdża do jamy, że Kasia i Jan pracują przy tym samym szybie, co i Paweł, aż wreszcie jego przygodny towarzysz usnął, oparłszy się o stół.

Wyszedł tedy z karczmy. Owionął go chłód nocny; spojrzął na niebo, po którym przesuwały się leniwo chmury, przysłaniając i odsłaniając światło księżyca.

Oświetlone okna karczem rzucały małe smugi światła, i tylko w nich huczały głosy ludzkie, a po za nimi panowała cisza nocna, ciężka oparami i nadchodzącym deszczem.

Skradał się cicho, wyszukując głębszych cieni, posuwając się jak kot ostrożnie, aby nie poruszyć kamieni, nie plusnąć wodą w kałużach. Minął kopalnię żydowską i na granicy stał dobrą chwilę, nasłuchując, ale prócz urwanych głosów z karczem, dalekiego naszczekiwania psów i szmeru płynącej wody nic nie posłyszał. Minął pierwszy szyb i przystanął przy drugim. Z za chmur wyjrzał księżyc i oświetlił okolicę i stojącego Maksyma. Błady, drżący, z rozszerzonymi powiekami, z ustami otwartymi wpatrywał się przerażony w hałdy, białawe w świetle księżyca. Zdawało mu się, że to groby i z nich powstaną jakieś duchy, potwory. Szybko się przeżegnał, usunął się w cień i wlaź pod dach szybu. Zbyt długo i dobrze znał rozkład przyrządów nadszybowych, aby wątpił o ich odnalezieniu, posuwając się, potknął się o coś miękkiego. Wzdrygnął się, a może to człowiek, może pies, albo zły czai się w ciemności; siłą woli schylił się i ręką namacał szmaty, potrzebne czasami w szybie. Natknął ręką wał windujący kubły; był już okręcony liną, aby nie tracić czasu w poniedziałek rano, cicho zaczął rozwijać wierzchnie skręty, przystawał co chwila, nasłuchując, a gdy węzeł liny uderzał o cembrzynę, przebiegały go dreszcze, zdawało mu się, że z głębi jamy ktoś przemawia do niego.

Doszedł wreszcie do trzeciego skrętu, obliczył ilość poszczególnych i szósty z rzędu nadciął głęboko nożem.

Zwinął linę i przeszedł do wału przytrzymującego pas bezpieczeństwa. Wał w swych osiach zaczął piszczeć przy tarcu. Zaklął raz i drugi raz, ale nie ustawał w rozkręcaniu. Wtem stróż zagwizdał, zdawało mu się, że tuż przy szybie. Przykucnął drżący i gotował się do ucieczki. Tak leżąc na ziemi, zaczął przeklinać chwilę przyjscia tutaj, a zastanawiając się nad przyczyną, znalazł jedną i to Pawła. Przez niego porzucił izbę karczenną i biegł do lasu; przez niego stracił pieniądze na dowiedzenie się o szybie w cudzej kopalni; skradał się jak złodziej do tej budy; przechodziły go dreszcze strachu i bojaźni przed stróżem, i porwała go taka złość, że zapomniawszy o gwizdzie, szybko rozkręcił linę, nadciął znów skręt szósty, zakręcił i odetchnął głęboko po skończonej pracy.

Śmiało przeszedł kopalnię jedną i drugą, uśmiechnął się na widok oświetlonych okien karczmy Seemana, wszedł z hałasem, zażądał wódki i pił, aż póki bezwładny nie zwałił się pod stół.

Nazajutrz rano tak wielki krzyk i gwałt podniósł się w kopalni pana Bratkowskiego w szybie drugim, że aż przybiegli robotnicy kopalni pana Krausberga, by dowiedzieć się o przyczynie.

Jan oparty o słup, stał niemy i blady, Kasia zanosiła się od płaczu, jęcząc bardzo głośno, a wtórowały jej inne kobiety.

Paweł runął w głąb 50-metrowego szybu.

Dozorca pospiesznie nawijał nowe liny, a gdy były gotowe, tylko jeden Jan puścił się w głąb szybu i po pewnym czasie wyjechał ze zmiażdżonym ciałem Pawła

Ułożono je na tymczasowych noszach i zaniesiono do pustej komórki. Kasia jednak swym płaczem, jękiem i rozpaczą tyle wymogła, że pozwolono jej obmyć ciało kochanka.

Gdy nosze wyszły z pod dachu, zobaczył Jan szpiegującego Maksyma, a jego złośliwy uśmiech i drwiące spojrzenie rozświetliły błyskawicą rozżalałe i zbolące myśli jego, dobadujące przyczyny katastrofy; drgnął i syknął przez zęby:

— Tyś go zabił!

Kasia nietylko obmyła ciało i ubrała w czystą bieliznę, ale poprosiła swą towarzyszkę pracy, by poszła kupić chodaki na nogi nieboszczyka, a sama zdjęła mu buty z nóg pogruchotanych.

Abrum i Efet wobec tego wypadku porozumieli się z sobą, wybrano jednego żyda na policję z doniesieniem, a drugiego do Drohobycza, do pana Krausberga.

W południe zjechał na miejsce komisarz, pan Winter; wzburzony, nie słuchał usprawiedliwień pana Bratkowskiego, przerażonego tą nagłą śmiercią, lecz zamknął kopalnię do chwili zbadania przyczyny.

Wsiadającego do powozu komisarza jeszcze raz prosił pan Bratkowski o pewne ulgi w zastosowaniu rozporządzenia, mówiąc:

— Przecież takie wypadki wszędzie się tu zdarzają i częściej aniżeli u mnie.

— Już ja was wszystkich nauczę, — odgrażał się surowo komisarz.

- Dlaczegoż ja pierwszy zostaję ukarany?
 - Bo pan pilnuje się najmniej.
 - A są lepsi w Boryslawiu lub na Wolance?
- Komisarz rozsiadając się w powozie, rzekł:
- Sąsiad pana pierwszy, Krausberg!
-

X.

W powrocie do domu pan Bratkowski rozmyślał tylko nad dwoma przedmiotami, w jaki sposób zażegnać grożącą mu bliską ruinę i jak uwiadomić żonę o zaszłych wypadkach i zmianie majątkowej pozycji.

W sprawie kopalni liczył, że sami wierzycieli zechcą i muszą mu pomóc do usunięcia rozporządzenia komisarza i umożliwienia roboty około szybów, rozumował bowiem, że przewlekła procedura licytacji narazi ich na stratę, a przy niskiej cenie licytacyjnej mogą utracić nawet część kapitału. Następnie Josel obiecał mu kupców napewne, a przecież współnika, gdy złagodzi swe warunki znajdzie łatwo wśród nafciarzy.

Jednak, mimo tych logicznych wywodów, zdejmował go niewytłómaczony lęk przed przyszłością; czuł się słabym, bezsilnym wobec nieznanej siły, która, jak gdyby kierowana rozumną ręką, unicestwiała najlepiej obmyślane plany; stawiała mu nieprzebyte zapory; zepsuła mu doszczętnie posiadany kredyt; poddała go czujnemu dozorowi władzy wykonawczej; czyniła mu ludzi wro-

gimi, i niemal czuwała nad każdą jego myślą, słowami, zabijając w zarodku każdy pomyślany ratunek.

Przesądny, jak każdy gracz hazardowny, uznawał w swem niepowodzeniu działanie siły wyższej, przemożnej; ścigający go fatalizm, któremu się oprzeć niepodobna, a przeciwdziałać próżna praca i trud!

— Taki los, cóż robić? — szepnął zmartwiony.

Wobec żony miał dwa wyjścia, powiedzieć prawdę, albo też ukrywać stan rzeczy w dalszym ciągu.

Zamłczenie i odgrywanie komedyi powodzenia przed żoną wymaga wprawdzie wysiłku nerwowego; pilnowania słów, ruchów, wyrazu twarzy; ukrywania się ze stosunkami lichwiarskimi i żydowskimi; natomiast ma się względny spokój; nie martwi się żony, unika się tłómaczeń, wymówek, narzekań, płaczu i widoku posepnej, zmartwionej i zgnębioj twarzy.

Ale znów żyć kłamstwem, drzeć przy każdym zjawieniu się żyda lub woźnego, bać się każdego świstka papieru, prowadzić podwójne rachunki i wiecznie kłamać, to przechodziło jego obecne siły nerwowe.

Postanowił odsłonić przed żoną całą prawdę. Przyjechawszy do domu skorzystał z pierwszej sposobności i wyjaśnił stan interesów. Wbrew oczekiwaniu, bez płaczu i wymówek przyjęła żona spokojnie tę wiadomość, tylko twarz pobladła, zmarszczki na czole, częste przesłanianie ocz powiekami nabrzmiałemi i drgające usta zdradzały ból skryty.

— Wiedziałam, Guciu, że całe przedsiębiorstwo prędzej czy później musi źle się skończyć... Czy jest

jaka nadzieja ratunku, a przynajmniej wycofania się z honorem, bez zarwania ludzi i zostawienia długów?

— Ależ o bankructwie niema mowy! — zawołał z żywością, — dość mi wyjść na rynek i powiedzieć, że sprzedaję grunt, a kupcy się znajdą, panie dobrodzieju.

— Więc zrób tak, mój Guciu.

— Nie mogę sprzedać... Przecież nasza męka, troski, walki nie powinny iść na marne. Przy sprzedaży straciłbym może część włożonego kapitału, prócz mej pracy... Nie, Stasiu, nie wymagaj tego, to byłaby ostateczność, a na to zawsze czas.

— Niepoprawny jesteś, Guciu. Zastanów się tylko: z kapitału nie mamy centa, w sklepach długi, całe srebro i biżuterya zastawione na wypłatę robotników, w domu płacze się kilka guldenów... i co nas czeka?

— Ty zapatrujesz się tak na tę sprawę, — odpowiedział gorączkowo, — a ja wolę przecierpieć przemęczyć się czas jakiś, panie dobrodzieju, żyć z dziećmi skromnie, a nie rzucać kopalni. Stasiu, to przecież cel mego życia, moich starań i pracy, cała przyszłość w tej kopalni, a gdybym ją stracił, to pozostaje mi tylko grób.

— Guciu, Guciu, opamiętaj się, — zawołała głosem, w którym drżały łzy.

— Sam Krausberg, najbliższy sąsiad, — mówił dalej, nie zważając na jej słowa, — powiada, że nie sprzedałby nigdy mojej kopalni, bo tam mogą być krocie; co najwyżej przyjąłby współnika; a ty chcesz, abym, panie dobrodzieju, sam dobrowolnie zniszczył majątek

i przyszłość dzieci; abym dla chwilowego niepowodzenia skazał siebie i dzieci na żebraków.

Patrzała na niego z przerażeniem, była przekonana, że wobec faktów z ostatnich kilku tygodni, wobec tego, że sam uważa pozycję swoją jako zachwianą i trudną, on się opamięta, wytrzeźwieje z gorączki złota i hazardu, ureguluje interesa i wróci do spokojnej pracy, do skromnego bytu. Siedząc naprzeciw w jadalnym pokoju, widziała dokładnie rysy jego twarzy, w tej chwili wzburzone i zacięte, oczy błyszczące z po za okularów i pomarszczone czoło wskazujące na upór nieugięty.

Ogarnęła ją rozpacz, żal, gniew, i wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Patrzył na nią przez chwilę zdziwiony i zgorzony, nie rozumiejąc przyczyny jej płaczu, zirytowany, iż żona nietylko nie uznaje jego zapatrywań, ale nawet nie pojmuje istoty interesu kopalni. Zły, wstał z krzesła i idąc do swego pokoju, rzekł:

— Jeśli nasze narady mają się kończyć twoim szlochem, panie dobrodzieju, lepiej nie rozmawiajmy wcale.

— Zaczekaj! — zawołała surowo i energicznie.

Stał w drzwiach, zdziwiony tonem jej głosu, którego nie znał dotychczas.

— Przyrzeknij mi, że zanim zdecydujesz się na cokolwiek bądź, w pierw poradzisz się ze mną.

Widok żony zmartwionej i zbolalej rozczulił go i odpowiedział łagodnie:

— Przyrzekam, przecież tylko tego pragnę, abyśmy szli zgodnie i wspólnie się starali o przyszłość dzieci.

Zakryła oczy chusteczką, płacząc cicho, zbliżył się do niej, mówiąc głosem miękkim i szczerym:

— Nie płacz, Stasiu... nic straconego, panie dobrodzieju... no nie płacz... odzyskamy kapitał z ogromnym procentem...

— Może, — szepnęła wśród łez, — ale tyś dla mnie stracony i niema sposobu wyratowania ciebie.

— Znajdzie się i ten, — uśmiechnął się, — byle mi powiodło się z kopalnią... nie płacz...

— Idź, idź, — mówiła z powstrzymanem łkaniem, — uspokoję się sama.

Wzruszył ramionami i wyszedł. W samotnym pokoju opadły go jednak rojem posępne myśli, rozpaczliwe przypuszczenia, strach przed utratą kopalni, że chwycił za kapelusz i laskę, by iść między ludzi, szukać ratunku, pociechy, zachęty do wytrwania.

Na rynku kupcy i giełda zbywali go półsłówkami, unikali wyraźnie, prawie lekceważąco, dla nich bowiem był łupiną, z której wyjęto całą zawartość.

W kasynie spodziewał się podobnego przyjęcia, czuł wstręt do spotkania komisarza i fałszywej litości swych dawnych znajomych i bez chęci, raczej z przyzwyczajenia, wstąpił na wino do handelku, gdzie spotkał kilku nafciarzy z Borysławia.

Wrócił do domu późną nocą, cicho otworzył drzwi swego pokoju i usnął twardo.

Na drugi dzień rano pani Bratkowska, nie chcąc budzić męża, poszła do ogródka kwiatowego przed domem i zajęła się kwiatami. Dzień był pogodny, rozświetlony promieniami słońca, a lekki powiew ze wschodu,

z gór i lasów, oczyścił tę część miasta z nafcarskich i fabrycznych zapachów. Odetchnęła głęboko świeżością poranku i spojrzała na ulicę Samborską, ciągnącą się w prostej linii niemal do rynku. Z jednej i drugiej strony szerokiej ulicy były porozrzucane dworki parterowe, ozdobione drzewami, na lewo tylko wznosiło się piętrowe, obszerne gimnazjum. Ulica w promieniach słońca wydawała się czystą, białą, a wszystkie domy schludne, otulone zielenią i kwiatami, wydawały się przybytkami cnót, szczęścia i spokoju.

W tej rannej porze roila się ulica od przedmieszczan, spieszących z produktami na rynek. Jechały ładowne wozy z ogrodowizną, i z nabiałem; głośno rozprawiały kobiety w jaskrawych spódnicach i fartuchach, mając na głowie chustki zawiązane w kształcie turbana, z długimi końcami, zwieszającymi się na plecy. I świat i ludzie w świetle jasnego poranku zdawali się piękni, dobrzy, szczęśliwi, a pani Bratkowska, mając w pamięci rozmowę z mężem, w sercu troskę i obawę, z pewną zazdrością patrzyła na ich swobodę, słuchała głośnych słów i śmiechów. Zapragnęła być tak szczęśliwą i spokojną, jak one, zamarzyła o cichej, dalekiej od gwaru miasta i wszelkich interesów nafcarskich zagrodzie; sama doglądałaby krów, gospodarstwa domowego, ogrodu warzywnego, i byłoby tak dobrze, cicho, spokojnie...

Zbudził ją z marzeń głos Josła faktora:

— Kłaniam wielmożnej pani.

Wzdrygnęła się, odstąpiła krok od sztachet, na których się opierała, wyprostowała się i odpowiedziała po chwili:

— Dzień dobry, Josel, a czego?

— Czy wielmożny pan w domu? Ja mam interes. Spojrzała w okno pokoju męża, a widząc je zasłonięte, rzekła:

— Pan jeszcze śpi, położył się późno w nocy.

— Szkoda, no ja przyjdę za godzinę, powiem kupcom, niech zaczekają...

— Jeśli interes ważny i pilny, zbudzę pana...

— Ja nie wiem, czy on ważny i pilny, — odparł z pewnem wahaniem, — wielmożny pan kazał mi szukać pieniędzy, ale teraz o pieniądze ciężko, ja jednak mam kupców na kopalnię...

— Kupców!?!... Ile dają? — spytała drżącym ze wzruszenia głosem.

— Oni dają mało, — mówił zwolna, przypatrując się bacznie pani Bratkowskiej, — może ja coś jeszcze wytarguję na nich, od tego ja faktor wielmożnego pana...

— Ileż dają? — spytała niecierpliwie.

— Oni mówią, że dadzą ośm tysięcy gotówką, — odpowiedział z westchnieniem.

— Ośm tysięcy!?! Za całą kopalnię!?! Za grunt i szyby!?! Ależ to niemożliwe!

— I ja to im mówiłem, — usprawiedliwiał się faktor, — same szyby są więcej warte... no, ale co robić? Teraz takie ciężkie czasy, taki pieniądz drogi, — wzdychał co chwila.

— Nie, to niepodobna, za ośm tysięcy! — mówiła z żalem i rozczarowaniem.

— Ja może coś utarguję, — dodał Josel z uśmie-

chem przyjaznym. — Co ja mam im powiedzieć? tym kupcom?

— Proszę przyjść za godzinę, pan wstanie i da odpowiedź.

— Kłaniam, kłaniam wielmożnej pani — wołał faktor, oddalając się z wolna.

Została sama. Uczuła się tak osłabioną, że musiała usiąść na ławeczce ogrodowej. Rachowała długi: zaciągnięte na kopalnię 6400, tu po sklepach, za mieszkanie i drobne 300, zastawione srebro i biżuterie 200, razem 6900 guldenów, a z nadzwyczajnymi wydatkami, co najmniej 7000 guldenów, więc zostaje tysiąc. Co robić z tyśiącem, mając troje dzieci, przyzwyczajonych do wygod, potrzebujących kształcenia, prócz córki dorosłej, jak żyć, do czego się wziąć? Tyłu jednak ludzi radzi sobie w życiu, utrzymują się, wychowują dzieci, chociaż nie mają nawet takiego kapitaliku, jak owych tysiąc guldenów...

Każdy z ojców bierze się do pracy, wyszukuje jakieś obowiązki, zostaje urzędnikiem, rządcą...

I jej mąż powinien, musi się wystarać o jakieś miejsce popłatne, aby wyżywić rodzinę, dać wykształcenie dzieciom...

— Mamo, tatuś już wstał i szuka mamy, — zawołała córka, — i myśmy szukali w ogrodzie... Co się stało, że mama taka zmieniona, czy zaszło coś nowego?

— Nowego? Nie, nic nowego, — mówiła, wstając, — jesteśmy, Zosiu, zrujnowani, i ja to przeczuwałam... Ojciec jeszcze się ludzi, że sprzeda dobrze kopalnię, ale i tu spotka go rozczarowanie.

Poszły obie do domu. Pan Bratkowski dowiedziaw-

szy się o bytności i propozycjach faktora, oburzył się na niego i na kupców. Podobnie niskiej ceny nie spodziewał się i natychmiast po śniadaniu poszedł do miasta na zwiady.

— Co mam powiedzieć Josłowi? — spytała żona.

— Niech się wynosi razem z kupcami, — oburzył się gniewnie.

W biurze komisarza odesłano go do śledztwa sądowego, gdzie mu powiedziano, iż zachodzi tu rozmyślnie zabójstwo robotnika i dochodzenie jest w toku. Wrócił więc do domu i wszyscy zmartwieni, powarzeni, nie umieli na razie znaleźć przedmiotu do wspólnej rozmowy, unikając się wzajem, nie patrząc na siebie.

Po obiedzie pierwsza matka zdobyła się na odwagę rozpoczęcia rozmowy, gdy oboje znaleźli się sami w pokoju męża:

— Co myślisz, Guciu, robić?

— Hm... co?... Czekam na ukończenie dochodzenia sądowego, zacznę worki dobrać, no i zobaczymy.

— Mój Guciu, trzeba brać rzeczy, jak są, teraz nie jest czas na złudzenia, — mówiła spokojnie, — na prowadzenie kopalni pieniędzy nie mamy i nie dostaniemy, długi nas cisną, mieszkanie nieopłacone, meble zajęte, srebro zastawione... teraz trzeba się zdecydować i obmyśleć sposób do życia.

— Zapewne ciężko, bo ciężko, ale jakoś sobie poradzimy, gwałtu niema, — odpowiedział głosem niepewnym.

— Guciu, dotychczas nie wtrącałam się prawie do twojej kopalni, — zaczęła tonem ostrym, — pozwalałam

na wszystko, ale nie mogę skazywać dzieci na nędzę i głód, nie będę czekała tej chwili, gdy nas zlicytują i wyrzucą na bruk, dosyć mam tej zabawy w krocie i miliony, chcę chleba dla dzieci.

Spojrzał na nią złem okiem, wstał, przeszedł się po pokoju i po chwili rzekł:

— I ty i dzieci nie zaznałyście głodu dotychczas, i póki ja żyję nie doznacie nędzy... Kopalnia jest moją własnością i zrobię co mi się spodoba.

Żona widząc jego irytację, podeszła do niego i głaszcząc twarz jego, mówiła z dobrym uśmiechem:

— Zaraz gniewy! Wstydz się, Guciu! Usiądźmy tu na sofce i pogadajmy rozsądnie.

Te słowa, uśmiech i dobroć kobiety, którą dotychczas kochał, rozbroiły go, spojrzał na jej zawsze mu miłą i kochaną twarz i posłuszny jak dziecko, usiadł.

— Mój Guciu, powiedz sam, czy do naszego szczęścia majątek jest koniecznie potrzebny?... Ot, aby dzieci wychować, wydać zamąż Zosię i samym przeżyć, to i dosyć. Czy nie tak?

Skinął głową, pieszcząc jej rękę.

— Póki nie znaleźmy kopalni, było nam tak dobrze ze sobą, mimo kłopotów i braków różnych, wrócmy, Guciu, do tego życia... będę cię kochała, pieściła, czuwała nad tobą... będziemy spokojni, zgodni...

— Pragnę i ja tego, moja Stasiu, ale jak? Wszystkie pieniądze włożyłem w kopalnię, mam długi, zobowiązania...

— Wszystko uregulujemy... Przypuścmy, że zgodzisz się na sprzedaż, długi są splacone, mieszkanie

opłacone, srebro wykupione i zostaje nam niewielka sumka...

— Aby mrzeć głodem przez krótki czas!

— Nie bądźże takim pesymistą! — zaśmiała się swobodnie. — Posłuchaj dalej. Otóż ty, jako człowiek zdolny, znający języki, starasz się o miejsce w mieście, bo chłopcy muszą iść do gimnazjum, dostaniesz pensję, regulujemy nasze rozchody do dochodów, a na czarną godzinę mamy zawsze kilka guldenów. Dobrze, mój Guciu, zgadzasz się?

— Są to ładne marzenia, nic więcej, — mówił, odsuwając się, — o miejsce jakiegokolwiek bardzo trudno, bez protekcji niepodobna dostać, i gdzie? u kogo?

— Ach, mój Boże! gdybyś zechciał tylko, postarał się, a zawsze znajdziesz w Radzie powiatowej, w magistracie, na kolei żelaznej... tylu ludzi znajduje, a jeśli ktoś nie chce nawet się postarać, zapytać, to naturalnie nigdy nie otrzyma posady.

— Moja Stasiu, — przemówił z lekką goryczą, — już mi robisz wymówki, a nie wiesz, czy nie będę się starał?... Otóż, przypuśćmy, że dostanę posadę, naturalnie mało płatną, bo trzeba przecież wykazać swoje zdolności, no i w najlepszym razie mam trzydzieści guldenów na miesiąc.... Z czego żyć, ubrać się, kształcić chłopców?

— Dostaniesz podwyżkę...

— Za rok, za dwa... a przez ten czas?

— Zawsze lepsze 30 guldenów, aniżeli nic.

— I zważ, że całe życie zajmowałem się czem in-

nem, aniżeli pracą biurową, poprostu nie umiem nic, czego wymagają...

— Jesteś zdolny i potrafiysz przy dobrych chęciach. Są gorsi od ciebie i biorą pensye wysokie.

— No, zapewne, ale oni mają rutynę.

— Przywykniesz i ty, a rutynę można nabyć.

— Nie, Stasiu, to niemożliwe...

— Dla ciebie, bo nie chcesz... bo kopalnia ci w głowie, — rzekła złośliwie.

— Niech i tak będzie, — westchnął. — Wiesz, Stasiu, zdecydowałbym się prędeż na dzierżawę, na rządztwo wielkiego majątku, ale na to potrzebny jest kapitał większy.

— A, weź dzierżawę, bądź rządca... tylko porzuć, sprzedaj kopalnię.

Gniewny ton jej głosu podburzył go i rzekł ostrzej:

— Mówilem ci, że kopalni nie sprzedam, i nie sprzedam. Znajdę sposób wydobycia się z tych opalów i przynajmniej muszę odzyskać włożony kapitał!

— Więc dla twego urojenia, dla twego kaprysu my mamy ginąć?.. Tobie nie chce się pracować, przysiąść faldów; żyłeś dotychczas lekko bez pracy, i tak myślisz przejść przez życie... ale co z dziećmi będzie?

Fala krwi i gniewu uderzyła mu do twarzy, zaciśkał ręce nerwowo i wyteżał siły, by nie wybuchnąć, gdy posłyszał pukanie do drzwi.

— Kto tam? — zawołał ostro.

— Tatusiu, przyszedł faktor z ważnym interesem, — odezwał się nieśmiały głos córki.

Podszedł do drzwi i otwierając szeroko, zobaczył Josła stojącego w sieni.

— Chodź tu, co mi powiesz?

Żyd po przywitaniu pokornem zaczął swobodnie.

— Te kupcy, wielmożny panie, to oni nie nie warte, oni chcieli oszukać wielmożnego pana, ja im już nagadałem... Takie szyby, tyle wosku, taki grunt, oni chcieli kupić tak tanio!

— Dobrze, już dobrze, z czem przychodzisz? — spytał zniecierpliwiony.

— Proszę wielmożnego pana, ja spotkałem młodego Krausberga, ja go zaczępiłem i tak sobie gadu, gadu, aż on pyta o wielmożnego pana, i on mówi, abym tak zdrów był, że jego ojciec, Lejzor Krausberg, chce wejść do spółki z wielmożnym panem.

— Lejzor? Hm... to człowiek porządny...

— Mało porządny! On rarytny, bogaty i zna się na kopalni.

— Cóż dalej?

— Ja poszedłem do jego żony, ona powiedziała, że to prawda... Co ja mam teraz zrobić i mówić?

Pan Bratkowski spojrział na milczącą żonę, która odezwała się po francusku:

— Nie dowierzaj faktorowi, idź sam do żyda, albo niech on tu przyjdzie.

— Jeśli to prawda Josel, to Krausberg wie gdzie mieszkam i może przyjść do mnie.

— Ja przypilnuję — zawołał z żywością, — jak tylko przyjedzie z Wolanki, ja go przyprowadzę tutaj.

— Dobrze.

— Wielmożny pan sam widzi i wielmożna pani, jak ja się staram, chodzę, biegam, szukam... Ja dla siebie nie robiłbym tego, co dla wielmożnych państwa.

— No, no, dostaniesz faktorne, ale wpieryw interes.

— Ja dziś nic w ustach nie miałem, może wielmożny pan ma co drobných...

Pan Bratkowski wyjął guldena i wręczył żydowi, który błogosławiąc, dziękując, wycofał się z pokoju.

— Cóż Stasiu, czy zginiemy? — spytał z uśmiechem wesółym.

— Zobaczymy, co powie Krausberg, jakie warunki?... Czy mogę cię prosić, abym była obecną przy rozmowie?

— Ależ i owszem.

— I mój Guciu od jednego warunku nie odstępój.

— ? ? ?

— Długi muszą być zapłacone.

— Naturalnie.

Przed zachodem słońca pan Bratkowski, paląc cygaro, co chwila wpatrywał się przez otwarte okno w ulicę Samborską, wyczekując zjawienia się oczekiwanego spółnika.

Wreszcie dostrzegł z daleka idącego pana Krausberga z faktorem i natychmiast zawiadomił żonę.

Tamci szli zwolna, rozmawiając z ożywieniem.

— Panie Lejzor, ile pan da jemu?

— Zacznę od 1200, a skończę na 2000, a ty Josel powinienes zarobić na tem.

— Ja to rozumiem... Ale panie Lejzor, możeby dać jemu mniej, on bardzo chce, tylko ona niepewna.

— Josel, ty żaden kupiec, ty faktor, ty nie rozumiesz interesu... dam mu mniej, on się uprze, dowiedzą się i inni o mnie, i zaraz konkurencja... Ja tobie to gadam, bo ty masz czwartą część szybu.

— Panie Lejzor, ja ich znam dobrze: on jest łatwy, ale ona twarda.

— Już ona zmięknie, — uśmiechnął się kapitalista. — Co ona mówiła na twoich kupców?

— Ona się przestraszyła tych 8000 guldenów.

— To dobrze, ona rachunkowa i zrozumie cały interes.

— Oni czekają na nas, — rzekł faktor, spostrzegłszy sylwetkę pani w oknie.

— Nie nie szkodzi, im pilno do pieniędzy.

Zaproszeni do pokoju jadalnego, zasiedli przy stole, z wyjątkiem faktora, któremu dano krzesło przy drzwiach.

Po krótkich omówieniach, wyrażeniu współczucia nad zamknięciem kopalni, rzekł pan Krausberg.

— Ja odradzałem panu sprzedaż i teraz odradzam, jeśli my obok mamy wosk, on jest i u pana, to panu proponuję spółkę... Ja będę kopał co roku dziesięć szybów, głębokość oznaczymy w kontrakcie, pan nie ponosi żadnych kosztów, ja kopię sam, a będzie wosk, to pan przychodzi do swojej części.

— Do jakiej?

— My pogadamy... Pan wydał na grunt 5500 guldenów, osiem szybów powinno pana kosztować 14400, no za postawienie domu 500 guldenów, razem 20400 fl. Wziął pan za wosk około 5000 fl., to pana kosztuje cały interes 15400 guldenów... ja dam połowę?

— Ależ, panie Lejzor, wydałem na kopalnię znacznie więcej, — zawołał pan Bratkowski — mam dokładne rachunki.

— To pana interes... ja liczę zwykle nasze ceny...

— Mów pan dalej — dorzuciła pani Bratkowska.

— Z tych pieniędzy trzeba oczyścić kopalnię z długów, bo procenta zjadają wosk, a resztę ja dopłacę do całego interesu.

— Jakto pan rozumie, — spytała — przecież tych ośm rozpoczętych szybów nie należą chyba do interesu?

— Nie należą? Pani nie uważała na mój rachunek, ja już liczyłem, że szyby kosztują 14400, i ja daję połowę.

— A druga połowa moja — odezwał się pan Bratkowski.

— Jakto połowa, a czy ja sam nie będę kopał, nie będę wydawał, nie będę ryzykował, pan przychodzi do gotowego interesu. Proszę pani, to byłoby niesprawiedliwie, ja przecież muszę mieć pokrycie wydatków.

— To słuszne, zatem w jakiej części?

— Ja nie lubię targów, ja dam piątą część czystego wosku.

— Za taką spółkę dziękuję, — zawołał z gniewem pan Bratkowski, — znajdę lepszych współników.

Teraz wystąpił faktor, przedstawił korzyści spółki, wspomniał tajemniczo o kupcach dzisiejszych, i tyle wymógł na panu Krausbergu, że zgodził się na oddanie czwartej części czystego zysku.

Zachodziła kwestya dopłaty, i stopniowo pan Krausberg, ulegając wymowie faktora, postąpił do 2000 fl.,

prócz długów 6400 fl., ciężących na kopalni. Mimo tych ustępstw, pan Bratkowski zżymał się i nie chciał kończyć interesu, wówczas zwrócił się pan Krausberg do pani:

— To jest taki interes... Niech pani sama osądzi i wysłucha... Dziś z tą kopalnią jest źle, tam jest komisarz, sąd, policya i brak gotówki, a dużo długów. Ja sam załatwię wszystko, czy to źle?... Ja daję czwartą część netto, pan Bratkowski przyjedzie codziennie, przejrzę rachunki, zobaczy i zważy wosk, zapisze, no i dobrze... Co roku kopię dziesięć szybów, to wielkie ryzyko, a kto zyska? tylko mąż pani...

— A jeśli pan nie dotrzyma umowy?

— To cały grunt jest własnością męża pani.

— Tak pan napisze w umowie?

— Dlaczego nie, ja podpiszę u notaryusza.... No a pani nie liczy, że prócz długów, daję 2000 guldenów, to pieniądz... i co pan ma do roboty... tylko kontrolować, przyjechać i odjechać.

— To jest dobry interes — dorzucił faktor.

Pani Bratkowska nie zwróciła na niego uwagi, lecz spytała przyszedłego spółnika:

— Ile dochodu może mieć mąż?

— To bardzo łatwe. Dziesięć szybów da trzy centnary dziennie, po 2 fl., to część pana jest 15 fl. na jeden dzień, i to bez ryzyka żadnego.

— A na drugi rok będzie 30 fl., na trzeci 45 fl. każdego dnia — wołał zachwycony faktor.

Pan Krausberg był na tyle wyrozumiały, że rzekł wstając:

— My sobie zaczekamy przed domem, niech mąż poradzi się z żoną.

Zostawiając żydów w jadalnym, przeszli oboje do dalszego pokoju. I teraz jeszcze upierał się mąż, że wyszuka innego spółnika, że nie chce czwartej części, gdyż rozchody są w ręku niepewnego człowieka, ale żona pamiętna dzisiejszych kupców, uradowana pozbyciem się długów, otrzymaniem 2000 fl., namawiała męża do przyjęcia spółki:

— Dochód nasz zależy tylko od twego pilnowania, od uwagi, od staranności, a ty poznawszy i doświadczywszy na sobie, na czym polegają koszta kopalni, będziesz wybornym kontrolerem.

— Wolałbym zostać spółnikiem do wydatków i dochodów...

— Po co to ryzyko? Nie dokopie się wosku — jego strata, a będzie wosk — bierzesz spokojnie swoją część.

— Ciężko mi będzie z tym żydem...

— Zawsze lżej, aniżeli teraz.

— Hm... to prawda.

— Proszę cię Guciu, zgódź się; wierz mi, że będzie nam lepiej.

— Ano, niech i tak będzie.

Weszli oboje do jadalnego pokoju, a pan Krausberg, chociaż poznał po minie przyjęcie układu, rzekł:

— No, jakże będzie?... Ja wiem, że pani rachunkowa, to pewno dobrze skończymy.

— Przyjmuję warunki pana — westchnął pan Bratkowski, podając rękę.

— Ja dziękuję panu i pani, nam będzie dobrze ze sobą.

— Daj Boże, — dorzuciła pani.

— A kiedy do notaryusza?

— Ja mogę i jutro, jak pan chce.

— Dobrze, ale dziś zadatek.

Pan Krausberg wyjął z pugilaresu dwieście guldenów i położył na stole, prosząc o kwit, z wyszczególnieniem głównych punktów umowy.

Pan Bratkowski, odczytując żonie spisana punktację, odłożył pióro i spytał głosem zwątpiałym:

— Podpisać Stasiu, czy nie?

— Jeszcze się wahasz? — uśmiechnęła się.

— Mam dziwną obawę przed podpisaniem tej umowy.

— Podpisz, oni tam czekają...

Wziął pióro, a żona spytała w chwili, gdy podpisywał:

— Jaką masz obawę?

— Podpisuję wyrok na siebie.

— Wyrok szczęścia i spokoju — dodała żartobliwie.

— Albo śmierci.

XI.

Pod jesień kopalnia pana Bratkowskiego wrzała pracą i ruchem, gdyż stosownie do umowy pan Krausberg bił dziesięć nowych szybów. Dawniejsze ośm dawały wprawdzie dochody i to dość znaczne, ale nowe pochłaniały nietylko wosk z ośmiu nowych jam, ale w książce głównej szereg rozchodów ciągle wzrastał i przerastał dochody.

Na razie pisarz Efet Roger pokazywał p. Bratkowskiemu dość uprzejmie swoje buchalteryjne książki, stopniowo grzeczność jego stawała się zimną, wreszcie lekceważącą, a następnie pan Bratkowski musiał pilnować chwili, gdy książki były wolne od nieustannego zajęcia to pisarza, znów jego pomocników. Podobny stosunek wytworzył się między magazynierem przyjmującym i wazącym wosk dobytej, a byłym właścicielem. Rozpoczęły się zwłoki w przyjmowaniu wosku ze szybów, w jednym zabrakło ludzi do niesienia, w drugim kończono oczyszczanie, w trzecim wymyty z łupku wosk był zbyt mokry, tak, że często dopiero późną nocą przystępował magazynier, krewny pana Krausberga, do odważania nabytku dnia.

Dozorcy szybów wszelkie uwagi, nawet najsluszniejsze przyjmowali z początku dość chętnie, bez stosowania się do słów jego, następnie lekceważąco, wreszcie oświadczył mu Abrug, że robota około szybów nie powinna go wcale obchodzić, niech pilnuje wagi wosku i książek. Skarga na dozorcę wywołała ironiczny uśmiech u pana Krausberga:

— Panie Bratkowski, Abrug panu powiedział prawdę, on odpowiada za szyb, nie trzeba mu było dokuczać.

Kupcy, faktorzy, przedsiębiorcy i nafcjarze unikali go, nie chcieli rozmawiać, nie interesowali się bowiem jego czwartą częścią, którą rządził dowolnie pan Krausberg.

W tym świecie gorączki poszukiwań wosku i nafty, pogoni za zyskami loteryjnymi, bezwzględności w wyborze środków wzbogacenia się, wśród całej tej zgrai ludzi, nadbiegłych z różnych stron świata, roznamiętnionych, żyjących i oddychających zyskiem i wyzyskiem, on po sprzedaniu kopalni, chodził osamotniony, zaniebdany, zeszedł do kategorii licznych poszukiwaczy, którym los nie sprzyjał, a jednak kręcili się na złotodajnych kopalniach martwi, nieużyteczni, pogardzani i potracani przez falę szczęśliwców.

Ten nagły przeskok z pozycji niezależnego przedsiębiorcy do roli biernego kontrolera, odczuł pan Bratkowski bardzo dotkliwie, stracił humor, pewność siebie, unikał ludzi, bo wszędzie wszystko przypominało mu minione czasy samodzielności.

Po wielkich wysiłkach nerwowych i podnieceniu gorączkowego poszukiwacza wosku, ogarnęła go apatya,

brak woli, brak energii, gdy przekonał się, iż wszelkie usiłowania osiągnięcia wpływu i znaczenia na bieg kopalni nie osiągnęły skutku.

— Mój Guciu, jedź na Wolankę, trzeba przypilnować wagi wosku, rozchodów...

— W jakim celu? Każdy rozchód oni usprawiedliwią, zapiszą i porachują. Wosku nie chcą ważyć przy mnie, przynoszą częściowo do magazynu, od rana do późnej nocy, co ja pomogę?

— Ależ Guciu, my żyjemy ciągle z gotówki otrzymanej, a gdy ona się wyczerpie, co będzie?

— Da Krausberg, — odpowiedział z ironią — przecież sama zgodziłaś się na umowę.

— Więc pilnuj, staraj się dowiedzieć prawdy, nie odstępuj od kopalni... No, jedź Guciu, jeśli już nie dbasz o siebie, to pamiętaj o dzieciach.

I wyjeżdżał, by znów wrócić zniechęconym, rozgoryczonym i zwątpiałym.

Nareszcie w połowie lutego pojawił się wosk w nowych szybach. To podnieciło jego stępsiałe nerwy, nie czekając zachęty żony, pospieszył na Wolankę, postanawiając dopilnować wagi i szczegółowo zbadać rachunki rozchodów.

Jadąc, zdawało mu się nawet, że kupcy i pisarze patrzą na niego innym okiem, gdyż teraz i on zaważył ze swą czwartą częścią na szali handlu, a dojeżdżając do kopalni, czuł powrót energii, ochoty, zapału!

Z dawną butą i pewnością siebie kazał sobie podać księgę główną.

— Zaraz... zaraz... ona mi będzie potrzebna — odpowiedział Efet spokojnie.

— Żadne zaraz, — krzyknął, — książka i koniec... mam w kontrakcie prawo kontroli kopalni.

Efet spojrział na niego zdziwiony, i nic nie mówiąc, podał żadaną książkę.

Pan Bratkowski otworzył i zmienił kolor twarzy, widząc w rachunkach 22.400 fl., a w dochodach 8.600 fl.

— Co to znaczy!?! — mówił poirytowany, — tak olbrzymie rozchody, a dochód tak mały!?! To jakaś pomyłka, to nie może być!

Efet wzruszył ramionami i rzekł obojętnie:

— Niech pan liczy, książki są w porządku.

— Ależ to chyba jakieś szachrajstwo siedzi!

— Co w książce to prawda, niech pan liczy.

Zatrzasnął gwałtownie książkę, rzucił na stół i biorąc czapkę, zawołał na odchodem:

— Już ja was skontroluję! Bez kwitu nie przyjmę żadnego wydatku.

— Będą i kwity — odezwał się Efet, a po jego wyjściu, dodał: — *a dummer Goy!*

Poszedł wprost do składu, zastał go jednak zamkniętym, magazynier zaś wyszedł za interesami.

Przechodził od szybu do szybu, ciesząc się wydobytym woskiem, nie pomijał i sitarzy, przyglądając się bacznie ich robocie i łupkom, noszonym w kubłach przez lepiarzy. Wosk był wszędzie i ładny i obfity. Fala wielkiego żalu, dotkliwego bólu ogarnęła go na myśl, że dobrowolnie zrzekł się tego złota, które teraz płynęło taką szeroką strugą. Tyle pracy, energii, życia, tyle sta-

rań, kłopotów i walk włożył w tę kopalnię, i wszystko poszło na marne, dziś korzysta z owoców jego pracy inny. Zazdrość szybko kielkowała i rozwieliżniła się w jego uczuciach, zazdrość szczęścia, powodzenia, bogactwa, i ona wzmogła jego energię w dopilnowaniu czwartej części zysków.

Usiadł przy jednym z bogatszych szybów, spoglądając na pracujących. Jeden z rybotników przywitał go pokornie.

Na razie sądził, że to który z chłopów z jego dawnej wsi, i patrzył na niego uporczywie, chcąc przypomnieć sobie jego nazwisko.

— Pan mnie pewno zapomniał, — odezwał się robotnik, — a ja pracowałem u pana w roku zeszłym... Byliśmy razem z Pawłem, który zginął w jamie.

— A ten jamarz, co to spadł, bo ktoś podciął liny — objaśnił Jan.

— Pamiętam, pamiętam... — rzekł były właściciel. — Szkoda człowieka, on był dobry.

— Oj dobry, bo dobry, niema drugiego — westchnął Jan.

Po chwili jeden z robotników rzucił pytanie:

— Ciekawa rzecz, kto podciął liny?

— Hm... hm... kto podciął? — rzekł Jan po dłuższym namyśle, — Pan Bóg wie kto i pomści krew niewinną.

Pan Bratkowski, patrząc na rosnącą kupę wosku, zwrócił się do dozorczy:

— Czy codziennie szyb tyle daje?

— To tylko dzisiaj — odpowiedział szybko — przez ostatnie czasy ledwie, nieledwie coś kapnęło.

— A teraz tak dużo? — zdziwił się.

— Może pan mi nie wierzy?... Niech pan pyta robotników... Co nieprawda? — spytał pracujących.

Ci odmruknęli głucho:

— Aboż my wiemy?

— A może i tak.

— Ileż tu wosku na kupie, jak sądzisz? — rzekł do dozorca.

— Może 30 funtów, może trochę więcej.

— Tu? Co najmniej 80 albo 90 funtów — zawołał, — to przecież wielka kupa.

— Może... Dowiemy się wieczorem w magazynie.

Robotnicy, słuchając tej rozmowy, uśmiechali się nieznacznie, mogliby bowiem objaśnić pana Bratkowskiego co do ilości wosku, ale milczeli nietylko z obawy przed żydem, lecz z wrodzonej niechęci do pana, do szlachcica.

Jeszcze chwilę przypatrywał się pracy i poszedł dalej.

— A i pan tutaj, panie Bratkowski! — zawołał p. Krausberg, podając rękę.

— Cóż robić? Pilnuję panie dobrodzieju.

— To dobrze, pan może mi pomódz.

— Swojej części pilnuję — rzekł ostro.

— Nu, jedno przy drugim musi iść — zaśmiał się kupiec.

— A ten szyb, panie dobrodzieju, daje dużo — i wskazał ręką.

— Ten? To Jojny szyb, on sobie niczego.

— Ależ doskonały, ledwie południe, a jest już bez mała centnar.

— Tak? Nu, chwała Bogu, że jest, bo ja wsadziłem dużo pieniędzy.

— Ale, ale, widziałem książki... Wydatki są szalone, nieprawdopodobne, a dochody bardzo małe panie dobrodzieju... Wejrzyj no pan w rachunki, tam muszą być nadużycia, panie Krausberg.

— Jakie nadużycia? — uśmiechnął się, — przecież przed samym sobą nie potrzebuję kłamać, co jest, jest prawda.

— Sprawdzę to, panie dobrodzieju, sprawdzę.

— Ja nawet proszę pana, niech pan to zrobi, co dwóch, to nie jeden, a ja mam dużo na głowie.

— Jeszcze prosiłbym, abyś pan kazał ważyć wosk wieczorem, panie dobrodzieju, a nie po nocy.

— Ja każę... ale czy pan nie miał sam kopalni, czy pan nie rozumie, że jeden szyb się spóźni, w drugim niema ludzi, w innym kończą, pan to zna przecież.

— Bywa tak czasem, bywa, ale nie w dzień panie dobrodzieju. Dziś dopilnuję wagi, bo wszędzie wosk dobry.

— I ja tego chcę, niech pan dopilnuje... nu ja muszę iść... a pan zostanie?

— Zostaję, w południe zjem obiad w Borysławiu, jak pilnować, to pilnować.

— Niech pan pilnuje — mówił pan Krausberg, oddalając się.

— Już ja cię przypilnuję — mruknął pan Bratkowski z zawziętością.

Wieczorem rozpoczęło się odważanie wosku.

Z ośmnastu szybów oddano siedm centnarów z nadwyżką, a w tem szyb Jojny dał zaledwie centnar z trzema funtami.

Pan Bratkowski zawzjął się i po całych dniach do późnej nocy przesiadywał w kopalni, i przez ten wysiłek w nadzorowaniu, nabył przekonania, że niemal każdą grudkę wosku widział, odważył i zapisał w notatniku.

Pieniądze jednak nie wpływały, zawsze rozchody przewyższały rubrykę dochodów, i zrównoważenie było dalekiem.

— Mój Guciu, wydatkujemy z ostatniej setki — skarżyła się żona.

— Cóż poradzę? Widzisz sama, że nie dośpię, nie dojem, a pilnuję... Muszą mnie kraść żydzi, ale złapię ja ich, panie dobrodzieju i wtedy zagramy...

— To będzie, mój Guciu, ale strach mnie bierze, co zrobimy po wydaniu gotówki?

— Sprzedam konie, bryczkę... raz musi się to skończyć i dojdziemy do dochodów.

— Jakże będziesz jeździł na Wolankę?

— A furmankami, jak trzeba, to trzeba.

— Tak się boję o ciebie... Zmizerniałeś, zeszczuplaleś i ten kaszel częsty...

— Minie i to... a wiesz, szyb Jojny daje teraz półtora centnara...

I potoczyła się rozmowa o stanie kopalni, o wpływach, rozchodach, spodziewanych zyskach i przygodach dnia.

W jakiś czas pan Bratkowski zaproponował panu Krausbergerowi kupno koni z uprzężą i bryczką.

— Nu, a pan jak będzie jeździł?

— Alboż to mało wozów, panie dobrodzieju?

— Ja powiem panu, że to żaden interes dla mnie kupować konie, to dobre dla pana.

— Przecież pan bogaty, ma pan różne interesa, to tu, to tam...

I Panie Bratkowski, ja płacę żydkom po 10 centów, oni mają w tem swój zarobek, a co zje koń na dzień? Jabym zbankrutował, nie mogę kupić. Szkoda koni, po co pan sprzedaje?

— Potrzebuję pieniędzy.

— Nu, a moje 2.000? — zdziwił się szczerze pan Krausberg.

— Były długi, dawne zobowiązania... Et, co tam gadać, panie dobrodzieju, poszły już i kwita.

Konie, sprzedane na jarmarku, przyniosły tyle, że znów jakiś czas rodzina pana Bratkowskiego mogła przeżyć.

Dochody z wosku wraźtały wprawdzie dość szybko, ale podnosiły się też i rozchody, gdyż szyby wymagały pogłębienia, reperacyi, odnowienia cembrzyn, i napróżno wyczekiwał pan Bratkowski chwili, gdy czwarta część będzie wolną od ciężarów kopalni.

Tymczasem w domu wyczerpały się zapasy pieniężne, zwolna przechodziło i srebro w ręce zastawników.

Pan Bratkowski nie ustawał w pracy, wyjeżdżał codziennie na Wolankę furmanką żydowską, zaniedbał się w ubraniu, a zmuszony do oszczędności, nie jadał

już obiadów w Borysławiu, lecz zachodził do karczmy, wypijał kieliszek wódki i zjadał przywiezione zapasy.

Teraz już nie zważał na drwiące spojrzenia i słowa dozorców, nie obchodziło go lekceważenie pisarza i pana Krausberga, podniecony biedą żony i dzieci, roznamięt-niony zazdrością i pożądaniem dochodów, zobojętniał na ukłucia, żył jedynie myślą dostania w swe ręce czystej czwartej części.

Pan Krausberg, widząc go takim zaniedbanym w ubraniu, mizernym, nieogolonym, odezwał się tonem współczucia:

— Panie Bratkowski, czy pan nie przekonał się, że Krausberg uczciwy i rzetelny?

— Nietylko, że się nie przekonałem, ale mam prawie pewność, że dzieje się tu jakieś łajdactwo, panie dobrodziej, i muszę to zbadać.

— Nu, niech pan szuka, zaśmiał się z ironią, — mnie żal było pana, na co tak się męczyć?

— Sam wiem na co i raz was złapię, a wtedy pogadamy.

— Dobrze, dobrze, tylko trzeba znaleźć i udowodnić.

— Zobaczymy — odmruknął tonem groźby.

— Szukaj pan, ja mam czas, ja mogę czekać.

XII

Na kopalni, z powodu zbliżających się siewów wiosennych i robót polowych, w obawie rozejścia się części robotników, panował ruch gorączkowy. Przy pospiesznej robocie, niebezpiecznej i groźnej nawet w zwykłym czasie, mnożyły się wypadki kalectwa, odurzenia gazami, uduszenia i śmierci, które jednak pan Krausberg umiał zręcznie ukryć lub wytłómaczyć przypadkowość przed policją i komisarzem, a robota szła dalej.

Lecz sami robotnicy zbliżali się do szybów z nieufnością, odmawiali zjazdu, narzekali na niedozór, i dopiero wódka dodawała im odwagi i zachęty. Z jamarzy tylko jeden Maksym nigdy się nie wzdragał zajrzeć śmierci w oczy i bez wielkiego namysłu stawał w kuble i zjeżdżał w szyb.

Dozorcy i pan Krausberg stawiali go za wzór innym, chępli się nim, dogadzali mu, płacili dobrze i nie szczydzili wódki.

A on pił na umór. Pomizerniał, zeszczupłał, twarz miał pofałdowaną, bystre i podejrzliwe oczyma rzu-

cał w około, z nikim się nie przyjaźnił, lecz chmurny siedział za stołem, pykając lulkę, i popijał wódkę.

Z dawnego chłopca, chętnego do bitki, do tańca, do zabawy, pozostała tylko siła dawna i odwaga straceńca.

Nikt z robotników nie śledził tak Maksyma, jak Jan; patrząc na jego pierwszeństwo i przywileje u dozorców, rosła w nim zawiść i gorycz; widząc, jak wychodzi całym i zdrowym z niepewnych szybów, wzdychał pełen żalu i zawiedzionych nadziei, pomrukując:

— Pan Bóg obmyślił mu inną karę...

W karczmie miewał częste pokuszenia rozpocząć z nim bójkę, ale wobec siły Maksyma, ustępował z westchnieniem.

I milczący, zamknięty w sobie, snuł dalej plany zemsty za niewinną śmierć Pawła; każda karczma, droga, las szumiący przypominały mu przyjaciela, cierpliwie czekał zesłania kary na zabójcę, lecz ta nie przychodziła, i Maksym chwalony, opłacany dobrze, żył i pił spokojnie, bez troski i obawy.

Wreszcie postanowił przyspieszyć chwilę zasłużonej karni. Pracując, jako ciągnacz, w tej samej kopalni, wiedział o dniu i godzinie zjazdu Maksyma i korzystając z nadarzonej sposobności, zatkał rurę, prowadzącą od młynka świeże powietrze w głąb jamy, a wypędzającą odurzające gazy.

Sam pierwszy, tuż przed Maksymem, zjechał w głąb, z pasem bezpieczeństwa, nie dosięgł jednak dwudziestu metrów, gdy zadzwonił trzy razy, by go wyciągnięto na powierzchnię. Tylko dzięki pasowi bezpieczeństwa utrzy-

mał się w kuble, a wylazłszy chwiał się i bardzo zwołna rozpinał pas.

— Co tam? — spytał dozorca.

— Odurzyło mnie.

— Ot głupie chuchro! — krzyknął Maksym, wietrząc gazy, nachylony nad jamą — pojedę teraz ja, ano dalej, — kończył, stając w kuble.

— Weź pas! — zawołał dozorca.

— li, niepotrzebny!

Po chwili dał się słyszeć jeden dzwonek, kręcący wał wstrzymali się, nagle lina się zakolysała, poczuli brak oporu, i z głębi jamy dobył się wrzask ludzki i łomot upadającego ciała.

Bładzi i nieruchomi stali robotnicy, pierwszy Jan zdjął czapkę, przeżegnał się, mrużąc:

— Panie Boże, zlituj się nad nami!

Te słowa otrzeźwiły innych, drżącemi usty zaszepotali westchnienia pobożne za umarłych i odstąpili od szybu.

— Kto pojedzie? — zawołał dozorca.

Nikt się nie odezwał.

— Dam dwie kwaterki wódki.... dam trzy.... dam kwartę mocnej!

— Pojadę — rzekł jeden z młodszych.

— Zamroczy cię — zawołał Jan szybko.

— Eee! spróbuję.

— Nie jedź, szkoda krwi chrześcijańskiej, niech jedzie żyd, on dozorca — upominał Jan.

— Ty jesteś głupi tchórz! — krzyknął dozorca

z gniewem. — Nu, jedź, dam kwartę wódki mocnej... słodkiej... ja tobie dodam paczkę tytoniu.

Nie oparł się młody robotnik tej pokusie, i obwiązany pasem, zjechał. Oczekiwano w naprężeniu rezultatu. Zabrzmiały trzy uderzenia dzwonka, wyciągnięto go odrapanego, z podartem ubraniem na pasie bezpieczeństwa.

Jan, widząc, że nikt już nie zjedzie, powlókł się do karczmy Seemana, kazał dać pół kwarty wódki i zadowolony, spokojny, kurzył lulkę.

Zbliżało się południe, i pan Bratkowski, chcąc uniknąć tłoku robotników, wcześniej zaszedł do karczmy na śniadanie.

Jan, spostrzegłszy go, zbliżył się z pokorą i ucałował rękę.

— A, to ty Janie! Nie robisz dzisiaj?

Ciągacz opowiedział całą historję szybu z gazami i śmierci Maksyma, kończąc:

— Już on tam przed sądem Boskim odpowiada za swe ciężkie grzechy.

Na pół pijany, znów ucałował rękę pana Bratkowskiego, mówiąc:

— Ot, podziękuję panu, za sprawiedliwe słowo.... Powiedział pan o Pawle, że był dobry, to prawda, on był najlepszy... a pan go pożałował... I za to powiem panu prawdę... żydzi kradną wosk pana.

Na te słowa pan Bratkowski zbliżył się do mówiącego i spytał skwapliwie:

— Kradną powiadasz? Domyślałem się tego... Hej, daj tu słodkiej a mocnej, — zawołał na karczmarza.

Ten przyniósł, spojrzal podejrzliwie na robotnika i zaostrzył swój słuch.

— Kradną... co sprawiedliwie, to sprawiedliwie... pan mówił dobry Paweł... tak i ja dobry dla pana...

— Ale w jaki sposób? — mówił przepijając.

— Hm.. po żydowsku.. kładą do beczki, pod kadzie, noszą do wagi później, chowają w komórkach... już ja ich podpatrywałem...

— I ty widziałeś?

— Ot, na własne te oczy, i nietylko ja, ale dużo innych...

— A w sądzie powiesz?

— Pod przysięgą zeznam.

Pan Bratkowski z wielkiej radości omal, że nie wyściskał chłopca, lecz wstrzymywał się i kazał podać cygara.

— Co pan wierzy pijanemu? — szepnęła szynkarz z niechęcią.

— Nie twój interes, — krzyknął pan Bratkowski z gniewem.

— Przysięgnę na Święty Krzyż, na Przczystą, że moja prawda — mówił Jan.

— No, a Krausberg wie o tem? — rzekł po chwili pan Bratkowski.

— Toż on pierwszy do tego.

Wódka zaczęła go coraz więcej rozbierać, mówił z płaczem o Pawle, śmiał się z Maksyma, przeklinał kopalnię, bełkotał niewyraźnie, i pan Bratkowski, widząc go nieprzytomnym, polecił go opiece nadeszłych robotników, a sam wyszedł rozpromieniony, uradowany, pe-

wny, że teraz Krausberga ma w ręku i prawdopodobnie odzyska nie tylko straty poniesione, ale może i kopalnię.

Na razie chciał iść do biura kopalni i powiedzieć słowa prawdy panu Krausbergowi, lecz namyślił się, po co i w jakim celu rzucać postrach, jutro weźmie Jana i innych świadków do wójta, tam złożą pierwsze zeznanie, i wówczas on wystąpi sądownie.

Pospieszył do domu, by podzielić się z rodziną szczęśliwym odkryciem.

Karczmarz Seeman, usłyszawszy zeznanie Jana, pospieszył do kopalni, a nie znalazłszy samego właściciela, uwiadomił zaufanego Abruma, który zaraz przedsięwziął środki bezpieczeństwa.

Wracającego z Borysławia pana Krausberga spotkał na drodze Abrum i pochwalił się swoją przezornością usunięcia wosku z kryjówek.

— To na jeden raz, — westchnął właściciel.

— Czy niema innych miejsc? Aby tyle kłopotu co schować?

— To wasza wina, że goje widzieli... do takiej delikatnej roboty było brać naszych...

— Byli tylko swoi, ale ten łajdak, denuncyant, on szpiegował... Mówił, że stanie w sądzie, i przysięgnie...

— To źle... to bardzo źle... — mówił zmartwiony pan Krausberg, szarpiąc pejsy z niecierpliwości.

— Jemu trzeba dać wódki — radził Abrum — podstawić naszych i niech on się wyprze, niech powie, że gadał tak sobie.

— Wszystko mało... czy ty nie znasz to bydło...

jak tylko na żyda, on gotów przysięgać... im nie można wierzyć...

— Nu, a co pan Lejzor myśli?

— Niech on już nie gada, — rzekł po chwili prawie szeptem.

— Nie gada?... Ja nie wiem, może on i nie zechce gadać...

— Abrum! — rzekł pan Krausberg tonem wdzięczności.

— Nu, co znaczy jeden goj!?

— On nic nie znaczy, — potwierdził właściciel.

— I co będzie panie Lejzor? — spytał Abrum.

— Będzie dobrze, ty mnie znasz..

Na drugi dzień napróżno szukał pan Bratkowski Jana. Zapytywani robotnicy, widzieli go w nocy pijącego z lepiarzami, ale dlaczego nie przyszedł na robotę, nie wiedzieli. Pan Bratkowski zapytywał innych robotników kupił im wódki, byle mu powiedzieli, czy żydzi nie chowają wosku, ale każdy z nich odpowiadał stereotypową formułką:

— Alboż ja wiem, może tak, a może nie, kto ich tam wie.

Nie pomagały namowy, wódka, cygara, zawsze odpowiadali, przyjąwszy poczęstunek:

— Alboż ja wiem?

Licząc na to, że Jan pije gdzieś w karczmie, czekał go do wieczora, przeważył wosk i pojechał do domu.

Następnego dnia znów nie było Jana, a na dopytywania odpowiadano mu:

— Ot, mówią, że on zatkał rury i uciekł przed sądem do domu.

Dopiero wieczorem rozeszła się pogłoska, iż w opuszczonej jamie, napelnionej wodą po brzegi, widać zwłoki jakiegoś człowieka. Ciekawsi poszli zobaczyć, a za nimi pociągnął pan Bratkowski.

Niedaleko jamy z wodą leżał wyciągnięty topielec, z obrzękłą twarzą, siny, z otwartymi, szklanymi oczyma.

Obecni zmówili pacierz, a pan Bratkowski, zbliżywszy się, poznał w topielcu Jana.

Poznali i inni towarzysze, a jeden z nich tłómaczył:

— Ot, spił się z lepiarzami, wyszedł w nocy, źle stąpił i po nim, bo to z jam wylażą po nocy złe duchy, wodzą ludzi po wertepach, a grzeszników do topieli.

— Tak, tak, — potwierdzili inni, kierując się ku karczmie, aby oblać pamięć zmarłego i tej gwałtownej śmierci.

Tę nagłą śmierć Jana odczuł może najgłębiej i najboleśniej pan Bratkowski. Przez trzy dni karmił się i żył marzeniami i nadziejami szczęśliwego, bogatego w złoto zwycięztwa nad wyzyskującym go panem Krausbergiem. Rojenia, świetne, piękne, błyszczące, w tej jednej chwili zmieniły się w czarną, brudną, nędzną, rzeczywistość. Przeskok był tak gwałtowny i niespodziewany, że w bezradnej rozpaczynie nie umiał znaleźć żadnej pociechy, nadziei, ratunku. Być tak blizkim wyzwolenia się z nędzy, biedy, długów, czuć już szczęście ukochanych i swoje, mieć w ręku broń na wyzyskującego go wroga, otrzymać zadośćuczynienie za krzywdy pieniężne i moralne...

I nagle śmierć jedynego człowieka, jednego świadka, rzuciła go znów, a nawet głębiej, w ten sam odmęt walki bez zwycięstwa, smutku bez pociechy, pracy bez owoców, starań bez skutku.

Prawie pijany żalem i rozpaczą, dobiegł wozu, jadącego z pasażerami do Drohobycza, i zmęczony, zgrzany, usiadł na ławce. Dopiero mroźny dreszcz i klucie w boku opamiętało go, zapiał palto, i wstrząsany dreszczami, ociężały, z dotkliwym bólem głowy, dojechał do domu.

— Co ci jest, Guciu? — spytała żona, widząc zmianę w twarzy i ruchach.

— Zziąblem, ale to głupstwo, gorsza rzecz, że Jan, wiesz ten świadek, pił się i utonął w jamie.

— A to nieszczęście! I co będzie teraz?

— Alboż ja wiem?... Trzeba będzie szukać innego świadka, znaleźć muszę... Ziębi mnie, położę się do łóżka.

— Zaraz ci pościelę i przyniosę gorącą herbatę.

W nocy gorączka się wzmogła, klucia w boku zaczęły być częstsze, i nad ranem żona, czuwająca noc całą przy chorym, posłała po doktora, który zdecydował, że nastąpiło zapalenie płuc.

Przerażona chorobą męża, przeliczyła pieniądze, w domu było zaledwie kilka guldenów. Załamała ręce z rozpaczą, bo skąd wziąć na doktora, aptekę, życie? Błądą, znękaną i zmartwioną zastała córka w pokoju.

— Mamy cztery guldeny 60 centów, a tu choroba ojca, co ja zrobię, co zrobię?

— Tatusia musimy ratować... mam dwa pierścionki, sprzedamy, mam, dobrze? Zawsze coś dadzą.

— Dwa, trzy, może pięć guldenów, a sam doktor, apteka... — i zalała się łzami.

— A gdyby mama poszła do Krausberga?

— Do niego?... Czyż on da cokolwiek?

— Spróbować mammo.

— A może?

I szybko się ubrała, idąc spiesźnie do mieszkania pana Krausberga.

Przyjął niespodziewanego gościa w jadalnym pokoju i wysłuchawszy spokojnie propozycji pożyczki, rzekł:

— Ja nie jestem lichwiarz, ja nie pożyczam nigdy... ale ja widzę smutne położenie pani, to ja dam, bo ja mam serce. Niech mi pani przyniesie upoważnienie, podpisane przez męża, że on przyjmując rachunki, bierze na przysły wosk. Ja dam coś na rachunek czwartej części, może doczekamy się kiedyś dochodów.

— Ależ on słaby, ma gorączkę...

— To nie szkodzi, zawsze podpisać on może...

— On bredzi w malignie...

— Nic nie znaczy... Pani napisze kwit na dawne rachunki i upoważniający panią do odbioru pieniędzy na rachunek czwartej części, mąż podpisze... i koniec. Inaczej, ja nie mogę dać.

Pani Bratkowska, widząc, że żadne prośby nie pomogą, spytała:

— Jakiegoż kwitu pan żąda?

— Ja mówiłem... Pan Bratkowski przyjmuje rachunki i bierze zaliczkę na przysłość.

— Jakie rachunki?

— Nu, przecież jemu nic się nie należy, ja dużo, bardzo dużo pieniędzy wydałem... My teraz nowy interes robimy, to stare rachunki muszą być zakończone... Czy pani tego nie rozumie?

— Więc pan żąda pokwitowania z rachunków?

— Co pani mówi, jakie pokwitowanie? Jemu nic się nie należy, a rachunki, to znaczy, że ja jemu nic nie winien z dawnych pieniędzy... To takie proste.

— Więc to się odnosi, do owych 2000 fl., które pan płacił ratami?

— Nu, tak, a pani co myślała?

— Nie zrozumiałam na razie... Zobaczę, może mąż się zgodzi na ten kwit. Kiedy pana zastanę w domu.

— Wieczorem ja zawsze w domu.

Po naradzeniu się z córką, wobec położenia materialnego bez wyjścia, zgodziły się obie na wydostanie kwitu.

Weszły do pokoju chorego, leżał spokojnie w łóżku, oddychając cichutko, z wielką ostrożnością, by nie wzmacić klucia w płucach. Wypieki na wynędzniałej twarzy, błyszczące oczy, świadczyły o gorączce.

— Mój kochany Guciu, przysłał Krausberg z zapytaniem, czy nie trzeba ci pieniędzy? Chce dać na rachunek należności.

Po zmarszczeniu czoła i utkwionym wzroku widać było usiłowanie skupienia myśli, uderzyły go słowa poszczególne i zaczął szeptać:

— Nic, od tego złodzieja, nic nie chcę... To moja kopalnia, widzisz, ile wosku... i cały wosk nasz...

— Niechże tatuś sprzeda część wosku, — przemówiła córka, przelękając Izy, — jest kupiec.

— Sprzedać... sprzedać... a dobrze sprzedam.

— Może tatuś podpisze z nim umowę?

— Nie podpiszę... raz podpisałem i zaprzedałem was wszystkich...

— Ale wosk, Guciu, — odezwała się żona.

— Wosku nie mam, on skradł mi wszystko.

— Jest jednak kupiec, — dorzuciła córka.

— Temu sprzedam, — usiadł i bez wahania podpisał kwit podstawiony.

Pan Krausberg dotrzymał przyrzeczenia i dał pięćdziesiąt guldenów na rachunek czwartej części.

Choroba jednak długa i przewlekła wkrótce wyczerpała ten fundusz, i znów poszła pani Bratkowska z prośbą o nową zaliczkę.

— Proszę pani, ja nie znalazłem pieniędzy, ja muszę ciężko pracować, a pani myśli, że ja zawsze dam i rzucam na prawo i na lewo.

— Ale, panie Krausberg, mąż chory, dzieci w domu, życie kosztuje — tłumaczyła się zmieszana.

— To nie mój interes... Ja dam ostatni raz dwadzieścia guldenów...

— Dwadzieścia! Cóż ja z nimi zrobię? Niechże pan uwzględni moje położenie, ja muszę koniecznie mieć pięćdziesiąt.

— Nie mogę.

Pani Krausberg, która z boku przysłuchiwała się rozmowie, wzruszona wyglądem pani Bratkowskiej, odezwała się:

— Lejzor, ty sobie odbierzesz z czwartej części, ty pożycz na procent, co zrobi taka biedna kobieta?

Wprawdzie zarumieniła się pani Bratkowska, słysząc te słowa, ale konieczność zmusiła ją do milczenia.

— Nu ja dam, co mam robić.

Wyjął kwit, pani Bratkowska stwierdziła odbiór i uradowana pośpieszyła do domu.

Zwolna, bardzo zwolna przychodził chory do sił wreszcie wzmógł się o tyle, że przechadzał się po domu. Wówczas osądziła żona, że przyszedł czas zawiadomienia męża o źródłach dochodów.

— Wiesz, Guciu, w domu nie było nic pieniędzy, więc wzięłam od Krausberga na rachunek czwartej części.

— I on dał tobie!

— Podpisałeś mi kwit upoważniający i dał.

— Ja podpisałem? Kiedy?

— W czasie choroby.

— Jaki kwit?

— Upoważniający mnie do odbioru pieniędzy.

— Ależ, ja nie wiedziałem, co robię, mogłem Bóg wie co podpisać...

— Zwykły kwit, ułożyliśmy z Zosią.

— Wy?

— On żądał koniecznie, i nie było innego sposobu otrzymania.

— Ja muszę widzieć ten kwit, gdzie on jest?

— U niego.

— Nie pamiętasz, co napisałaś w tym kwicie?

— Dosłownie nie mogę ci powtórzyć, ale wiem, że brałam tylko na rachunek twej czwartej części.

— I nic więcej?

— Zdaje mi się, że nie.

— Nie masz kopii?

— Była, ale szukałam teraz napróżno, gdzieś zginęła w tym rozgardyaszu.

Chciał iść natychmiast do pana Krausberga, zaledwie wspólnym usiłowaniu żony i córki udało się wstrzymać go pod warunkiem, że żona poprosi Krausberga, aby wraz z kwitem przyszedł do nich do mieszkania.

Poszła przed wieczorem i zastała kupca.

— Co pani Bratkowska powie? — spytał na wstępie.

— Mąż mój bardzo prosi pana do siebie, chce pogadać o kwicie.

— Ja nie mam czasu chodzić po wizytach... Jak miałem interes, ja przyszedłem do państwa, teraz ja nie mam interesu.

— Mąż przyszedłby sam, ale jest osłabiony i doktor mu zabronił wychodzenia.

— Jak on chory, niech lóżka pilnuje, co jemu z kwitu? — zaśmiał się ironicznie.

— Chciałby odczytać formę kwitu, — mówiła z prośbą w głosie.

— On powinien wierzyć żonie, pani sama pisała kwit, pani przecież pamięta, co pani wypisała.

— Tak, tak, pamiętam, — odparła zmieszana.

— Niechże pani mu powie, ja nie mam czasu.

Wracając do domu, niepokoila się, w jaki sposób zawiadomi męża o odpowiedzi Krausberga. Obawiała się, że prawda zbyt rozdrażni męża i może spowodzić pogorszenie stanu zdrowia. Postanowiła powiedzieć, że nie zastała Krausberga w domu. Mąż oczekiwał jej niecierpliwie, z wypiekami na bladej twarzy i nie spuszcza-
jąc oczu z jej twarzy, spytał wehodzącej:

— Dlaczego niema Krausberga? Kiedy przyjdzie?

— Nie zastałam go w domu — odpowiedziała, rzucając okrywkę i odwracając twarz.

Patrzył na nią podejrzliwie i rzekł po chwili:

— Dlaczego ukrywasz przedemną? Krausberg nie chce przyjść...

— Ależ, Guciu, naprawdę nie zastałam i powiedziałam jego żonie, aby przyszedł do nas, gdy przyjedzie.

— Tak?... dowiem się prawdy od niego.

— Jeżeli mu żona powie, on potwierdzi moje słowa.

Chmurny przeszedł do swego pokoju, dręczony niepokojem, jak ów kwit w ręku Krausberga brzmi dosłownie.

W czasie choroby i bezczynności rekonwalescenta, osnuł cały plan postępowania w sprawie kopalni. Postanowił, bądź co bądź, zdobyć świadków ukrywania wosku przez Krausberga. Przecież ci robotnicy dadzą się ująć pieniędzmi, napitkami, obiecaniem nagrody, a mając raz dowody w ręku, zażąda od Krausberga znaczniejszej sumy i wymusi na nim korzystniejszą umowę. Nadzieją urzeczywistnienia tego planu żył i cieszył się w czasie swej choroby, na tej podstawie budował po-

wodzenie i przyszłość swej rodziny. Tylko ten kwit zagadkowy?!!

Ten kwit on musi zobaczyć. Postanowił usnąć troskliwość i nadzór żony, a czuł się dość już silnym, by samemu pójść do Krausberga.

To chorobliwe zachcenie przyprowadził do skutku, i raniutko wymknął się z domu niepostrzeżony.

Owionęło go chłodne powietrze poranka wiosennego, poczuł lekkie ukłócie w boku, ale nie zważając na to, szedł szybko, jak gdyby się bał pogoni.

Zmęczony, zdyszany, wszedł do mieszkania spółnika, którego zastał na wychodnem.

— Dzień dobry, panie Lejzor.

— To pan?... Żona pana mówiła mi wczoraj, że pan chory... no i pan mizerny, blade, po co było wylażać z łóżka.

— Chcę zobaczyć ten kwit.

— Jaki kwit?

— Ten napisany przez żonę.

— Ja żadnego kwitu żony pana nie mam, ja mam tylko kwit pana.

— Więc proszę o ten kwit.

— Czy pan go nie zna? nie pamięta?

— Chcę go teraz odczytać.

— Po co to panu?... Kwit jest w szufladzie, a klucze u żony.

— Ja nie ustąpię z miejsca, muszę widzieć ten kwit.

— Nu, ja panu go przeczytam... Pan bardzo niewierny, nie wierzy pan Krausbergowi, nie wierzy pan żonie, no i komu pan wierzy?

Mówiąc te słowa, zbliżył się do drzwi sypialni, wołając:

— Suro, daj kluczyk od szuflady.

— Ty go weź sam, ja nie ubrana, Lejzor.

Przyniósł klucz odemknął szufladę, poszukał między papierami, i czytał:

„Ja niżej podpisany, przyjmując rachunki, prowadzone przez pana Lejzora Krausberga...

— To kłamstwo! Pan wyludził podstępem taki kwit od żony...

— Niech pan nie krzyczy, tu nie karczma, pan rozbudzi moje dzieci...

— Tu stoi podpis pana, kto go sfalszował? Ja nie, chyba żona pana.

— Milcz pan.

— Co to jest za grubijaństwo! — zawołał pan Krausberg, — ja tu w moim domu, pan idź hałasować do karczmy, na ulicę, ja nie pozwalam na krzyki.

Z purpurowego zrobił się pan Bratkowski bladym i rzekł spokojnie:

— Byłeś pan złodziejem, a teraz jesteś oszustem i fałszerzem.

— Co to jest? Ja zawołam stróża!

Na ten hałas dzieci w przyległym pokoju zaczęły płakać, w progu pokazała się pani Krausberg w białym kaftaniku, w kolorowym czepcu na wygolonej głowie, w brudnej halce i wołała piskliwie:

— Co pan sobie myśli, myśmy się zlitowali nad panem, dali pieniądze, pan byłbyś z głodu umarł, a teraz takie hałasy... Idź pan!

Pan Bratkowski zachwiał się, schwycił się stołu, aby nie upaść, spojrział na gospodarza domu i rzekł na odchodnem:

— Złodziej!

Przeprowadzony gniewliwymi okrzykami małżonków, wyszedł. Na rynku musiał się oprzeć o mur kamienicy z powodu zawrotu głowy i dotkliwego bólu w boku. Z trudnością doszedł do ławeczki skweru, otaczającego ładny i starożytny kościół drohobycki.

Usiadł, a wśród myśli pogmatwanych i chorobliwych jedna wypisaną była ognistemi literami, owo zdanie się pretensyi do dawnych rachunków. Teraz położenie było już bez wyjścia, cały plan osnuty tak troskliwie i pracowicie w czasie choroby, po tym kwiecie runął i nie miał żadnej wartości.

Ogarnęło go uczucie wielkiego żalu, smutku i beznadziejności. Przez zwykły egoizm chorego człowieka, pragnął i pożądał w tej chwili tylko spokoju bezwzględ- nego, tylko śmierci, aby uniknąć dalszych walk, cierpień, przykrości, widoku nędzy i głodu rodziny.

Ale śmierć, chociaż tak pewna i nieunikniona, nie przychodzi na zawołanie i nie stawiała się tym razem.

Po dłuższym odpoczynku, wstał i z trudnością do-
włókł się do domu. Przeżona żona zawołała:

— Guciu, gdzie byłeś?

Po chwili powiedział urywanym głosem:

— Skłamałaś... byłem u Krausberga...

Nastąpiła groźna recydywa, a z chorobą, nieod-
łączne zwiększenie wydatków i brak pieniędzy.

Pan Krausberg odmówił stanowczo i z oburzeniem

wszelkiej zaliczki, a ze znajomych tylko jeden notaryusz, dowiedziawszy się o nędzy w domu państwa Bratkowskich, przyszedł z pomocą.

Chorego pilnowały troskliwie żona i córka, uważając na każde westchnienie, na każdy ruch i słowo. A chory, mającąc w gorączce, wołał z twarzą rozjaśnioną:

— Moja kopalnia!... Moja!

W kilka dni później, w jasny, pogodny dzień, ubogi karawan wiózł ciało p. Bratkowskiego na cmentarz. Za trumną prócz rodziny szła tylko mała garstka pobożnych.

Usiłowaniem notaryusza powiodło się wydobyć od pana Krausberga, za cenę sprzedaży czwartej części, trzysta guldenów, które miały być podstawą bytu rodziny pana Bratkowskiego, pozostałej bez środków do życia.

XIII.

W jesieni tegoż roku zapanowała nadzwyczajna radość w domu p. Krausberga. Ziściły się wreszcie przeczucia i oczekiwania właściciela kopalni, znalazła się „matka!“

Uwiadomiony p. Krausberg w domu, blade, drżący, prawie wystraszony, pobiegł na plac furmanek. Na razie nie odjeżdżała żadna; chociaż ta i owa posiadała pewną ilość pasażerów, brakło jednak do kompletu i furmani zwlekali z odjazdem. Pan Krausberg, rozgorączkowany, zaproponował furmanowi dopłatę, byle jechał do Borysławia, lecz żądanie 80 centów wydały mu się tak wygórowaną ceną, że po bezskutecznych targach uzbroidł się w cierpliwość i przegryzając wargi, wąsy, miętosząc brodę i pejsy, siedział na wozie, oczekując innych pasażerów zwolna nadciągających z miasta.

Furman ulegając groźbom porzucenia wozu, ruszył zwolna w drogę bez dwóch pasażerów dopełniających. Za mostkiem nad cuchnącą rzeczulką przystanął i wziął za połowę ceny idącą już pieszo kupcową z Borysławia i nareszcie pojechał.

Pan Krausberg zeskoczywszy z wozu w Borysławiu, już nie szedł, lecz prawie biegł na Wolankę z rozwianym chałatem, z kapeluszem zsuniętym na oczy, czerwony niemal do siności. Zziajany, ze spływającymi kroplami potu, biegł do szybu Abruma, do „matki“. Zwarty około szybu tłum ciekawych na wiadomość i widok rozstąpił się. On przeszedł, nie zważając na szepty zebranych, nie słysząc wykrzykniku podziwu, i spojrział w otwór. Mimo ciemności, można było dojrzeć powierzchnię wosku o kilkanaście metrów od otworu jamy. Od czasu do czasu dał się słyszeć głośny trzask zdruzgotanych desek oprawy szybowej i głuchy huk gazów przedzierających się przez zapory. Tak, to „matka!“ i w dodatku tak blizka, a więc tania, bo w 26 metrze głębokości.

Zwrócił się do Abruma rozpromienionego:

— Ty masz u mnie nagrodę.

— Ile, panie Lejzor?

— Ja się namyślę, ty nie będziesz miał krzywdy.

Zbliżył się Efet ze słowami powinszowania.

— Nu, Efet, ja będę pamiętał o tobie.

— Pan Lejzor sobie przypomina swoje słowa, ja mam już obiecane...

— Co? Kiedy?

-- Jak była „matka“ u Weinsteina.

— Ja ci dam moją część, a resztę weź u Brat-kowskich, oni ci zapłacą — zadrwił rozmysłnie.

— Co takie biedne kobiety mają?

— To ty się kontentuj tem, co ja tobie dam.

— Pan Lejzor nie zechce mojej straty.

— Ty idź do roboty, my już pogadamy.

W imieniu robotników zbliżył się jeden, zlekka uchylił czapki i rzekł:

— I nam się należy, panie gospodarzu.

— Za co wam?

— Pracowaliśmy, i ciężko, a jamarz co był w szybie zginął od wosku.

— Jakto zginął? Abrum? co to jest?

— Jamarz Mikołaj był w szybie... no i „matka“ nie pozwoliła mu uciec, on już tam został, ale my go odkopujemy.

— Jakże będzie, panie gospodarzu? — dopytywał się robotnik.

— Abrum, ja chcę mieć spokój, ty im daj po kwaterce wódki.

— To mało — mruknął chłop.

— Wam zawsze za mało, — krzyknął Abrum, — zamiast podziękować, wy jeszcze targujecie się z panem właścicielem.

Skrzyczany robotnik usunął się, a uradowany p. Krausberg dawał Abrumowi rozporządzenia, by natychmiast przystąpiono do wybierania wosku z jamy.

Pan Krausberg teraz dniował i nocował na Wolance, nie odstępując bogatego szybu. Tu przyjmował liczne odwiedziny znajomych kupców, poszukiwaczy, nacierzy, składających mu nieszczere powinszowania za prawione zazdrością i goryczą.

A on, nieumyty, brudny od wosku i pyłu, z rękami czarnymi, z bielejącymi zlekka końcami palców, mytymi według obrządku przed modlitwą; w ciepłym chałacie zabłoconym, ze strzępami na dole, z obwisłą

podszewką, siedział dumny, przyjmując lekceważąco dobre słowa i nienawistne spojrzenia. On miał wosk, który płynąc szeroką strugą do jego kasy, zamieniał się na złoto, pomnażając jego bogactwo, i z tego wosku, złota, ze swego szczęścia był nietylko dumny i szczęśliwy, ale czuł podziw ludzi i śmiał się drwiąco z zazdrości i gniewu współzawodników. Właśnie rozmyślał nad swem wielkiem szczęściem, nad widocznym błogosławieństwem Boga, gdy odezwały się trzy uderzenia dzwonka, i po chwili wyjechał ze szybu poblady jamarz.

— Czy gazy? — spytał pośpiesznie właściciel.

— Ii, nie...

— Ny, czemu wylazłeś, dlaczego nie kopiesz?

— Ot, dlaczego, — wyjął z kubła bryłę wosku, na której znaczyła się wyraźnie krew.

— Nu, co to znaczy?

— Ja tam nie hycel żaden, abym się w krwi ba-brał, szukajcie sobie innego! — wołał rozdrażniony. — To krew Mikoły, chrześcijańska, nie pójdę do jamy.

— Ty głupi, ty nie chcesz zarobku... Może kto z was pójdzie?

— Nie, — zawołali robotnicy prawie jednogłośnie.

Pan Krausberg porozumiał się z Abrumem, który wyszukał wreszcie lepiarza żyda, zdecydowanego zjechać na dół.

Zaledwie pierwszy kubel wosku dobyto na wierzch, gdy robotnik zadzwonił, aby go wyciągnięto ze szybu.

— Nu, co się stało, Nuchim? — spytał właściciel.

— On tam siedzi przyduszony — wybelkotał zmieszany.

— Co za on?

— Nu, Mikoła... ja uderzyłem, a wosk odpadł od niego, i ja zobaczyłem jego oczy na wierzchu.

Abrum znalazł innych lepiarzy, mniej wrażliwych na widok trupa, i ci po pewnym czasie wydobyli na wierzch ciało Mikoły, spłaszczone, z pogruchotanymi kośćmi. Pan Krausberg zawiadomił policję, która zabrała zmarłego do pogrzebowego domu i pogrzebała we wspólnym dole z innymi ofiarami kopalń.

Wreszcie wyczerpała się „matka“, i p. Krausberg mógł wyjechać do domu, a chcąc dzieciom sprawić niespodziankę, kupił na podsieniu cukierków za kilka centów i każdemu po makagidze z maku. Gdy wszedł do kuchni, uderzył go zapach gęsiny i smażonych jabłek.

— Sura, — zawołał, — czy ty we środę przygotowujesz na szabas?

Żona, zajęta przy kuchni, zaśmiała się uradowana, mówiąc:

— Lejzor, tobie się to należy za „matkę“.

Wszedł do pokoju jadalnego, zrzucił chałat i zmęczony, usiadł wygodnie na sofie. Do wchodzącej żony rzekł:

— Sura, zawołaj tu dzieci.

Przybiegły i z wielkimi okrzykami radości otrzymały przyniesione łakocie.

— Sura, ty bardzo rozrzutna, po co ta gęś, jabłka?

— Lejzor, ja tobie dam gęś, strudel z jabłkami i rodzynkami, bo ty się napracowałeś!

— Po co te wydatki? To rozrzutność...

— Lejzor, ja to zrobiłam z moich oszczędności, ja tobie nie policzę tego... Jakże „matka?”

— Ona była dobra, ale już minęła — westchnął.

— Ty, Lejzor, znajdziesz drugą.

— Może... Sura, daj mi kawę, ja pójdę na rynek, do kupców...

— Ja zaraz tobie dam...

Przyniósłszy kawę, a widząc go opalonym od wiatrów, zakurzonym od pyłu, brudnym od wosku i zmęczonym, dodała z współczuciem:

— Lejzor, ty potrzebujesz odpocząć... tobie się to należy za „matkę”...

— Ty nie gadaj. Suro, ja mam interes.

Na rynku przed apteką spotkał syna, Mojżesza, który mu opowiadał gorączkowo:

— Już są wiadomości pewne o cerezynie, ona idzie w górę, a za wosk dawali wczoraj 22 guldenów, Niemcy zarabiają na naszym wosku 51 procent *netto*. Ja już słyszałem, że tu nasi chcą założyć fabrykę, ale bez nas. Teraz jest czas, trzeba to zrobić, bo nas wyprzedzą.

— Ty nigdy nie będziesz robił dobrych interesów, — mówił ojciec z goryczą, — tobie brakuje spokoju, ty zaraz gwałt robisz.

— Ja taki tylko z ojcem, z innymi ja spokojny i zimny.

— Ty głupi jesteś, każdy pozna po oczach twoich, co w tobie siedzi.

Zbliżyli się do giełdy. Szczęśliwego pana Krausberga otoczyli kupcy, wieszowano, ściskano ręce, a bliżsi

przymawiali się, aby wyprawił ucztę, bo „matka“ zasługuje na to. Uśmiechał się, dziękował za powinszowania, a dowiedziawszy się, że dziś za wosk gotowy dają 22.50 i chętnie tak płacą za przyszły, skinął na swego dawnego spółnika, pana Lindemana, i obaj odsunawszy się na stronę zaczęli rozmawiać o tej szybkiej zwyżce wosku.

— Słuchaj, Lejzor, ta cerezyna to musi być dobry interes. Niemcy kupują na gwałt nasz wosk, a oni nie są głupi. Nam trzeba coś zrobić...

— I ja tak myślę...

— Ja mam list, że oni mają 51 procent na wosku i to *netto*, a ich kosztuje transport... My będziemy mieli większy zysk na tutejszej cerezynie... Lejzor, co ty powiesz na fabrykę?

— A kto będzie należał?

— Nu, ja i mój syn Moritz... a ty Lejzor?

— Ja nie wiem, trzeba rzecz obgadać, ja wziąłbym Stillbacha.

— Może i on być... Na taką fabrykę trzeba gotówki ze trzydzieści tysięcy, reszta pójdzie na kredyt! ale ty Lejzor dobrze mówisz, to trzeba obgadać, tylko prędko, bo szkoda każdego centnara wosku, który damy Niemcom.

— Lejzor, — uśmiechnął się p. Lindeman, — nam będzie najlepiej u ciebie, przy tobie szczęście teraz, nam potrzeba z tego korzystać.

Pan Krausberg przypomniawszy sobie gęś pieczoną i strudel, był zadowolniony, że przy wydatku żony załatwi może interes, i rzekł z pewną chęlnością:

— Ja Lindeman proszę ciebie, i twego syna Moritza, i Stillbacha dziś do mnie na gęś gorącą i jabłka w cieście.

— Lejzor, ty zrobiłeś dobrze, nasz interes obgadamy dzisiaj, może on będzie dla nas „matką“!

Zgromadzili się wszyscy zaproszeni wieczorem w pokoju jadalnym, przy nakrytym już stole, gdyż ambitny syn Mojżesz uprzedził matkę o przyjściu gości.

Pan Krausberg, zobaczywszy butelkę wina rodzynkowego i przygotowane małe kieliszki, zmarszczył się, on nie chciał tego wydatku, dopiero rozjaśnił twarz, gdy się dowiedział, że i to wino idzie na rachunek żony, której dawał dziesięć guldenów tygodniowo na utrzymanie domu.

Zasiedli, zając z głośnym cmokaniem gęś natartą czosnkiem, gryzając kosteczki, rozkoszując się każdym kawałeczkiem strudla, przyjmując obojętnie usługowanie gospodyni, która zadowolniona, z wypiekami od ognia kuchennego, rozszerzając swe usta w uśmiechu, zapraszała gości dość umiarkowanie do spożywania i picia.

Wśród rozmowy ogólnej o wosku, nafcie, rozmaitych interesach, rzekł pan Stillbach:

— Lejzor, ty pewno znasz te Bratkowskie?

— A tobie na co?

— Tę młodą zgodziła moja żona do mojej córki, ona ją uczy.

— Czego ona uczy? — spytał pan Lejzor.

— Nu, czytać, pisać, rachować...

— Czy nie mamy szkoły?

— Ona bardzo kapryśna, bo chora, i dlatego wzią-
łem do niej guwernantkę.

— Ile ty jej płacisz?

— Ona bierze za godzinę 25 krajcarów.

— Ty dobrze płacisz, — uśmiechnął się pan Lin-
deman, — ona brała u mnie 20 krajcarów.

— Byłaby wzięła 15 — dorzucił Lindeman syn.

— Lejzor, możeby ją wziąć do naszej Rózi? —
wmieszała się pani Krausberg.

— Mamy czas, Suro, my pogadamy...

— Jak ona bierze 15, może u nas weźmie taniej,
a im potrzeba, bo one biedne.

— To później, Suro, teraz idzie o interes.

Zaczęli się umawiać o warunki, a młody Lindeman
tak jasno i wymownie przedstawił wielkie korzyści fa-
bryki cerezyny, tak udowodnił cyframi swe słowa, że
zgodzono się na budowę fabryki w jak najkrótszym
czasie.

Pan Krausberg przystąpił wraz z synem Mojże-
szem ze sumą 20.000 guldenów; panowie Lindeman we-
szli obaj, wnosząc każdy po 5.000, a pan Stillbach zde-
cydował się również na 5.000 florenów.

— Ja myślę, że najlepiej wysłać mego syna, niech
zobaczy fabrykę i przywiezie technika — rzekł pan Lin-
deman.

— Po co technik? — zakrzyknął pan Krausberg —
czy u nas ich mało i tanich? Niech on jedzie, wyдоста-
nie plan fabryki, przywiezie tutaj, a nasi technicy zbudują.

— Ty Lejzor mądry — rzekł z uznaniem pan
Lindeman, — zawsze plan tańszy od przyjazdu Niemca;

ty Moritz zrób to zρέcznie, weź sobie kopię planu, a my wybudujemy.

— Ja sobie już poradę, — odparł młody z dumą, — ale co będzie z dyrektorem?

— My sprowadzimy na rok, na dwa, pomocnika dyrektora... on poprowadzi, a ktoś z naszych poduczy się przy nim przez ten czas, — odpowiedział pan Krausberg. — Nu, a my dajemy Moritzowi tylko na kosztą podróży i plan.

— Jaktó? a na życie? — zawołał stary Lindeman.

— Czy on ciebie w domu nie kosztuje, on przecież je i pije.

— Lejzor, ty za oszczędny, w domu on się pożywi przy nas, ale w drodze jemu potrzeba jeść i pić, to on dostanie guldena dziennie.

Po długich sporach zgodzono się wreszcie na centów sześćdziesiąt na dobę, a na nocleg osobno po trzydzieści.

Po wyjściu gości rzekł mąż z uśmiechem wdzięczności:

— Suro, ja tobie dziękuję za gęś i wino, ono było dobre!

XV.

Szczęście, które tak stale towarzyszyło panu Krausbergowi w jego operacjach dotychczasowych, w niczem nie zaznaczyło się w jego zwyczajach i stroju. Tak samo, jak dawniej, wypijał z pośpiechem ranną kawę i szybko szedł na placyk Bazylianów, aby furmanką za dziesięć centów pojechać do Borysławia. Chałat ten sam brudny, z plamami nafty, zabłocony; kapelusz kastorowy, świecący z użycia; jarmułka wytarta, buty zrudziałe, stanowiły strój jego; tylko w ruchach pewniejszych; w śmiałym i ostrem spojrzeniu ciemnych oczu; w dźwięku jego głosu widoczne było samopoczucie gracza szczęśliwego, który każdą stawkę wygrywał. To swoje szczęście cenił on wysoko i bardzo szanował, uważając je za oddzielną istotę, która go zaszczycała swoją łaską i stale mu towarzyszyła; nie wdawał się teraz w drobne interesa spółkowe, mimo korzystnych propozycji, bo i dlaczego miało wzbogacać jego szczęście innych graczy? niech ono jemu służy i pomaga w zagarnięciu dobrych interesów i kapitałów.

Napróżno starali się inni nafciarze i poszukiwacze

wosku wciągnąć go do siebie, cokolwiek pożyczycie od niego, kierując się zabobonem hazardu, że pożyczka od szczęśliwego przynosi szczęście. On pilnował się starannie, aby nic nie uronić ze swego szczęścia, stał się jeszcze twardszym w interesach, zimnym i nieprzystępnym dla współwyznawców, którzy, mimo zazdrości, niezadowolenia, zawiedzionych nadziei, cmokając ustami, szeptali z uznaniem gorącym:

— Mądry człowiek! Bardzo mądry!

I pan Krausberg rósł w znaczenie, szacunek i chwałę, a ten blask jego spadał w części i na liczną rodzinę.

Na kopalni, niegdyś Bratkowskiego, praca gorączkowa wydobywania wosku ustawała z powodu zbliżających się żniw, które zmuszały robotników do opuszczenia kopalni; odetchnęli dozorecy, a pisarz Efet Roger, pochylony, w lejbiku watowanym, miał dosyć czasu na wygrzewanie się w słońcu lipcowem. Z dumą, właściwą wszystkim robotnikom, zajęтым przy kopalni, dającej wielką ilość produktu, patrzył wokoło, czując się współuczestnikiem szczęścia i powodzenia swego pryncypała.

— Nu, Efet, co słyhać?

— Wszystko dobrze, panie Lejzor... Tu był Steiner po wosk do parafiny.

— Ile daje?

— Dwadzieścia pięć pięćdziesiąt.

— To mało, niech da siedmdziesiąt pięć! Czy widziałeś Abruma?

— Ja mu już mówiłem, niech pilnuje kindybału, aby zmieszać dla Steinera.

— To dobrze, Efet, — pochwalił pan Krausberg,

siadając na ławeczce pod domem kancelaryi kopalni. —
A ile wosku chce Steiner?

— On bierze cały wosk, 230 centnarów, który jest
na składzie.

— Niech da 25 fl. 75 centów.

— On może i da...

Do siedzących zbliżyło się dwóch żydów, pochylo-
nych wiekiem i zmęczeniem. Ubrani ubogo, w łatanych
chałatach, z łaskami w rękę, powłócząc nogami, stanęli
przed panem Krausbergiem, który na ich widok sięgnął
do kieszeni po jałmużnę i, wyjąwszy kilka centów, wrę-
czył starszemu.

Ten, mruknawszy zwykle podziękowanie, zatrzymał
datek w rękę i spojrział z wymówką niemą na pana
Krausberga.

Ten jasny wzrok zmieszał właściciela kopalni
i w odpowiedzi mówił zgryźliwie:

— Czego chcesz więcej?

— Ty sam, Lejzor, rzekłeś, — zaczął jałmużnik
poważnie, — przez ciebie mówi twoja sprawiedliwość,
ty słuchaj jej głosu, bo jej głos to głos Boga.

— Czy ci nie dałem?

— Kto daje braciom od serca, ten nie liczy okru-
szyn, — odezwał się głośniejszy, i na jego błądą, znękaną
twarz wystąpiły rumieńce, oczy zabłysły gorączkowo, —
ty, Lejzor, masz łaskę u Boga. On doświadcza ciebie
szczęściem i patrzy co ty robisz z tym Jego darem? Łzy
twoich braci ty otrzyj chustką jedwabną, głód ich prze-
mień ty w obfitość jadła i napoju, nędzę ich zamień na
bogactwo, tak mówi Pan przez usta moje.

Pod wpływem jego słów, a bardziej jeszcze płomiennych oczu, obaj powstali z ławeczki, i pan Krausberg uśmiechając się, z przymusem odpowiedział:

— Ty, Jankiel, myślisz tylko o twoich biednych i chorych, ale i nam zdrowym trzeba żyć i bronić się przed wrogami.

— Lejzor, ja wiem co mówię i do kogo zwracam moje słowa. Ty nie szanujesz twoich braci, ty ich poddawiasz do złego, ja dużo wiem, ale milczę, bo my wygnańcy i wszyscy nieszczęśliwi. Ale Lejzor, ty z braćmi walcz sercem, a zwyciężysz, i będą cię miłowali i szanowali wszyscy bracia.

Pan Krausberg przypomniał sobie Abruma, lepiarzy i innych pośredników i wykonawców swoich planów. Zaniepokojony słowami jałmużnika, znów sięgnął do kieszeni po kilka centów, i wręczając, rzekł:

— Nu, dosyć Jankiel...

— Lejzor, jeśli to przeważy twoje winy, niech będzie dosyć... tylko pamiętaj, Bóg ma sprawiedliwą miarę w rękę i On ci odmierzy według zasługi.

— Jankiel, ty idź dalej... od mego progu nikt nie odszedł bez jałmużny, ja zachowuję zakon i przepisy.

— To twój interes, ale ty, Lejzor, sumienia nie przywalisz kamieniem, ani skałą. Bóg jednym palcem podniesie ciężar, i sumienie przed tobą stanie nagie, pokaleczone i ciebie przerazi w chwili kary i smutku.

— Jankiel, ja nie boję się mego sumienia, ono jest czyste.

— Bóg osądzi, nie ty, Lejzor.

Podrażniony, pan Krausberg, zaczął szybko mówić

z Efetem o sprawach kopalni, odwróciwszy się od jałmużników, którzy po chwili poszli dalej, zmęczeni, uznajeni, powłócząc nogami, podtrzymując nadwątlone siły nadzieją, że dla swych biednych i chorych współbraci zbiorą środki ulgi i ratunku.

Pan Krausberg, patrząc na oddalających się, rzekł do pisarza:

— Efet, ten Jankiel jest zwaryowany, on miał majątek i mógł być bogaty, a teraz co z niego?... On ma na głowie tylko chorych i zbiednieje jego rodzina.

— On ma jednak zasługę przed Bogiem, -- zauważył pisarz, który sam biedny, miał szacunek dla jałmużników.

— Każdy z nas, pracując, pomnaża chwałę Boga, — westchnął sentencyonalnie pan Krausberg i szedł do biura, by przejrzeć książki rachunkowe.

Wyprawiwszy Efeta na obiad, zasiadł przy stole i zagłębił się w rachunkach, porównywając co chwila cyfry wypisane z notatkami osobistymi. Tę robotę przewalało mu wejście p. Borucha Eisensteina, który, ocierając kraciatą chustką pot perlisty z czoła, usiadłszy na krześle, mówił zwolna, kręcąc długie, starannie utrzymane blond pejsy:

— Lejzor, ty mój krewny, to ja tobie coś powiem...

— Co ty mi, Boruch, powiesz? — spytał obojętnie.

— To jest taki interes... Hamerstein bardzo się droży z gruntami w Schodnicy, a komisya z banku anglo-austryackiego nie chce od niego kupować, ona chce grunta chłopskie...

Pan Krausberg spojrział z zainteresowaniem i szybko rzucił:

— Boruch, czy to pewne?

— Ja tobie mówię prawdę, Lejzor... Ty posłuchaj dalej... Jak Lindeman dowiedział się o tem, on zaraz pojechał do Schodnicy i kupuje grunta chłopskie...

— Lindeman? Mój wspólnik kupuje, a nic mi nie powiedział — oburzył się właściciel kopalni.

— To może być złoty interes, po co miał mówić tobie? On ma pieniądze i sam kupi.

— I co ty Boruch myślisz?

— Ja mam trochę zakopów w Schodnicy, ale to mało wszystko, ja chcę mieć dużo i dlatego przyszedłem do ciebie, Lejzor, bo ty mój krewny.

— Boruch, ty dobrze zrobiłeś, ja pomyślę o tem i dam ci znać.

Pan Eisenstein spojrział mu w oczy, lekko się uśmiechnął, rzekł tonem ostrzeżenia:

— Ten interes trzeba robić zaraz, albo nie robić wcale. Nie zrobisz ty, Lejzor, ja znajdę innego spółnika, a na naszej konkurencyi zarobią chłopci, czy to się opłaci?

— Ty, Boruch, ostrożny, — uśmiechnął się pan Krausberg z przymusem, — ale ja nie wiem, czego ty chcesz?

— Ja włożyłem moje pieniądze w interesa, ja nie mam gotówki, a z chłopami tylko za gotówkę jest dobry interes; to ja tobie proponuję spółkę, ty mi pożyczysz na ten interes, a ja ci pokażę dobre grunta, bo ja znam Schodnicę.

Pan Krausberg jakiś czas milczał, wreszcie spytał:

— Boruch, jak idą twoje interesy?

— One były niezłe, ale teraz mam kłopoty, mnie pozarywali ludzie.

— Dlaczego ty na to pozwoliłeś? — uśmiechnął się z ironią.

— Co ja miałem pozwalać? — obruszył się pan Eisenstein, — tak Bóg chciał.

— Ileż ty masz?

— Ja mam u ludzi 2000 fl.

— A ile chcesz teraz?

— To zależy, może pięćset, a może tysiąc.

— Ja tobie dam trzysta, — rzekł po namyśle.

— Lejzor, to dobry interes, ty nie bądź skąpy, bo ja twój krewny.

— Boruch, ja ryzykuję tylko trzysta, — odpowiedział stanowczo.

Po kilku nieudanych próbach zwiększenia pożyczki, zdecydowali obaj jechać zaraz do Schodnicy. Jednokonnym wózkiem zaprzęgniętym w lichego konia ruszyli w drogę, a minawszy Borysław, jęli się piąć na wyniosłą, stromą górę, porośniętą starym lasem. Słaby koń z trudnością ciągnął wózek, popędzany przez idącego obok furmana żyda. Dwaj pasażerowie, rozsiadłszy się wygodnie, omawiali interes.

— Boruch, ja ci coś powiem, z chłopami ty rób interes, kup na swoje imię, a potem ty mi ustąpisz u notaryusza.

— Dlaczego, Lejzor?

— Ja mam w tem mój interes... Lindeman jest mój spółnik, ja chcę być czysty wobec niego.

— Nu, a on przecież kupuje grunta.

— Ty, Boruch, nie rozumiesz tego... Ja mam z nim fabrykę, to ja chcę mieć wolne ręce, i zrobił on teraz interes z boku, może się i mnie trafić coś z fabryką.

— Ty, Lejzor, bardzo ostrożny, — podziwiał szczerze towarzysza.

— Ja zawsze robię rachunek, — odparł poważnie i rozmyślał w milczeniu nad swymi interesami.

Jechali zwolna pod górę. W około szumiał las czarnych gonnych jodeł, przynosząc ze sobą zapachy żywiczne i wonie leśnych kwiatów. Od czasu do czasu, z pomiędzy pni drzew wznosiła się naga skała, wyrzucona i pogięta kataklizmem przed wiekami, zwolna kruszyło ją powietrze, rozsadzały rudawe porosty i siwe mchy. Czasem gdzieś, z głębi lasu zalkała kania, zagruchały gołębie, zakwilił w górze jastrząb i ciężko ze szumem przefrunęła wrona kracząca. W południowym słońcu lśniły się igły jodeł, mieniły barwne kwiaty, kołysały się cienie przerwane smugami światła, a ten przepych starego lasu oddziałał na pana Krausberga, który rozglądając się w około rzekł:

— Boruch, taki las to dobry interes.

W odpowiedzi towarzysz cmoknął z zachwytem, mówiąc:

— A Lejzor, taki las przy kopalni i kolei to milion! Żeby on był szlachecki, możnaby coś zrobić, ale to rządowy — westchnął z żalnością.

— Ty, Boruch, masz rację. Rząd tylko nakłada

podatki, a nie uruchomi takiego kapitału wielkiego — wskazał na las.

— On musi zbankrutować z taką gospodarką — dorzucił Boruch z ironią.

— To jego interes, — zakończył pan Krausberg.

Wjechali na szczyt góry, i furman wskoczył na wózek, nagłąc konia do pośpiechu. Przed jadącymi rozciągała się wieś Schodnica, rozrzuciona po jarach i pagórkach uprawnych. I tu, podobnie jak w Borysławiu, wznosiły się wieże kanadyjskie, zrobione z grubych belek drewnych, przytrzymujących świder wiertniczy. Na zielonem tle lasów i pól te wieże białawe robiły wrażenie jakichś przyrządów mąk i kar dla ludzi olbrzymów, wyrwały się z otoczenia i sterczały nagie, białe, jak szkielety olbrzymich szubienic.

Wózek toczył się szybko po spadzistej drodze, a gdy dojeżdżali do wsi, spytał się furman o zajazd.

— Ty jedź prosto, a potem na prawo od figury, — rzekł pan Eisenstein, i zwróciwszy się do towarzysza, dodał: — My pojedziemy na moje zakopy.

— Po co mi twoje zakopy, — zawołał pan Krausberg, — najpierw zajedziemy do Arona i dowiemy się, co zrobił Lindeman i jak się zabrać do chłopów.

— Lejzor, ty zawsze masz rację.

Zajechali przed niską, wydłużoną karczmę i wyszukawszy gospodarza, zasiedli we trzech w alkierzu, zajętych do połowy łóżkiem wysłanem wysoko piernatami w kolorowych powłoczkach.

— Aron, my przyjechaliśmy do ciebie, jak do

swego, — przemówił pan Krausberg, — my dawni znajomi.

— To prawda, a jaki macie interes?

— Boruch chciał wziąć zakopy...

— Przecież ty masz u nas, — zawołał szynkarz, patrząc bystro niebieskimi oczyma w twarz Borucha.

— Ja chcę mieć więcej, — odpowiedział obojętnie, kręcąc pejsy.

— Tu jest jakiś interes, bo i Lindeman kupuje, — zastanawiał się Aron, rozczesując palcami rudawą brodę.

— Ile on kupił? — podchwycił pan Krausberg.

— Ja dobrze nie wiem, on robi przez Seliga, ale mówili mi chłopci, że Selig ich ciągnie.

— Aron, my nie zajechaliśmy do Seliga, ale do ciebie, ty nam poradź i pomóż.

— Dobrze, Lejzor, a co ja zarobię?

— Aron, ty pamiętaj, że goje u ciebie będą pili mohorycz, ty sprzedaż dużo wódki...

— Ja to wiem, ale co ja zarobię?

— To nie mój interes, to Borucha, niech on gada.

— Ja, Aron, dam tobie guldena z każdego chłopca.

— Boruch, ty żartujesz, co to gulden jeden za chłopca, a gdzie mój czas?

W ciągu tej rozmowy, przez otwarte drzwi alkierza, dolatywały głosy pijących w izbie szynkownianej i piskliwe odpowiedzi Aronowej, zastępującej męża przy szynkwasiu, która w tej chwili wsuwając głowę do alkierza, zawołała:

— Aron, czy można pokredytować Mykicie?

Wezwany wstał szybko i poszedł do szynkwasu.

— Ile jemu dać? — spytał cicho pan Eisenstein.

— Jemu można dać pięć, — a do wchodzącego Arona rzekł: — Nu, szkoda czasu, ile ty chcesz?

— Od każdego zakupu guldena.

— Co ty gadasz, Aron, — obruszył się pan Krausberg, — my nie wiemy ile będzie zakupów, a dla ciebie nie sprowadzimy geometry. Ty powiedz, ile chcesz od interesu?

— Po dziesięć guldenów z każdego chłopca.

Wreszcie, po długich targach, ułożono cenę sześć guldenów 50 centów, i Aron spytał:

— Gdzie chcecie kupować?

— Ja już mam grunt Hrycia, — odpowiedział pan Eisenstein, — i chciałbym kupić pograniczne.

— Hrycia?... Ten na pagórku, koło gruszy? — i na potwierdzające skinienie mówił dalej: — Z lewej strony ma pole Łukasz, ten droży się, i jemu trzeba dać pod sekretem więcej, aniżeli innym, on się na to złąkomi; a dalej jest już żar i pastwisko gromadzkie z drogą... Z prawej strony od Hrycia siedzi Maciej, ten, jak się napije, zrobi to, co sąsiedzi, a potem ma dwie morgi Bazyli, on wchodzi w grunta dworskie, z nim niema co gadać, tam rządzi druga żona i ona sprzedaje na złość pasierbom; nu, dalej jest grunt Jana...

— Ten ja już kupiłem, -- objaśnił pan Eisenstein.

— Jako kupiłeś? Kiedy? — zawołał zgorszony arendarz.

— Na wiosnę.

— Ile dałeś?

— Zadatku na pierwszeństwo zakupów dałem pięćdziesiąt guldenów.

— To wielki lotr z tego Jana, on mi nic nie powiedział o sprzedaży, — westchnął szynkarz, — ale on musi mi zapłacić i ty Boruch także.

— Za co ja? — oburzył się pan Eisenstein.

— Jan należy do mnie, taka umowa jest z Seli-
giem, ty musisz zapłacić.

— No, no, nie kłóćcie się — uspokajał pan Kraus-
berg, — ty Boruch za grunt Jana zapłać Aronowi, a ty
Aron zgódź się na dwa guldeny.

— Za Jana tak, jak za innych, inaczej nie chcę
mówić i robić interesu.

Wszczęła się kłótnia, zrywali się z krzesel, już wy-
chodzili, znów wracali, grozili, prosili, ale że Aron miał
przewagę znajomości chłopów i ich stosunków, musiał
pan Eisenstein zapłacić za kupno gruntu Jana.

— Aron, ty rób interes z chłopami, dzisiaj trzeba
kończyć, — doradzał pan Krausberg.

— Ile chcecie kupić?

— Wszystkie trzy grunta kupuje Boruch.

— Nu, ja poślę po chłopów, a możebyście co zjedli.

— My po interesie przy mohoryczu coś przekąsimy.

— Niech i tak będzie.

Wstał i poszedł do szynkwasu, po krótkiej chwili
wrócił, mówiąc:

— Łukasz, ten chłop z lewej strony Hrycia jest
u mnie... Wy idźcie tędy do sieni i wejdziecie za chwilę
do izby, ja go uprzedzę i przygotuję.

Aron wrócił do szynkwasu i z uśmiechem przy-

jaźni mówił do chłopu przygarbionego, z twarzą szeroką, pomarszczoną, z wąsem krótkim, przyciętym.

— Łukaszu, a możebyście się napili coś dobrego.. mam rarytyny arak, akurat dla was, takiego gospodarza.

— Ee, nie... a drogi?

— Ja dla was, Łukaszu, spuszczę, spróbujcie, sam pan takiego nie pije; — i nalał czerwonego płynu w kieliszek, podając chłopu.

Wziął i wypił, i odrzucając ręką włosy spadające mu na oczy, rzekł:

— Nu, dobry... a po ile?

— Dla was cztery centy, dla innych sześć.

— Dajże jeszcze.

Nalał i podał usłużnie, mówiąc cicho:

— Wiecie, Łukaszu, przyjechali tu kupcy na zakupy i pytali u kogo kupić, ja myślałem o was, bo wy mądrzy i zrobicie cenę. Inni patrzą tylko, aby grosz schwycić, a u was chwała Bogu jest wszystko, co wy na to?

— Iii, nie potrzebuję sprzedawać, zaczekam jeszcze.

— Jak pieniąż sam włązi do ręki, trzeba brać, dziś chcą kupować, a jutro ani się pokażą. Co o tem mówić, wy to lepiej wiecie odemnie.

— Nie chcę.

— Nu, jak nie, to nie, ale ja sobie myślę, co wam szkodzi wziąć stówkę, albo i więcej, a potem od każdego zakupu, kiedy dają, to trzeba brać. Grunt zawsze możecie uprawiać, i on swoje przyniesie.

— Hm... to niby prawda.

— To cała prawda, może oni zaczną kopać za pięć,

za dziesięć lat... i co znaczy jedna dziura w gruncie, to jest sobie nic, to nie żadne kalectwo, broń Boże.

— Ano zobaczę... posłucham...

— Te kupcy myślą, że ja z nimi będę trzymał, ale ja z wami, bo ja swój. Oni sobie pojedą, jak przyjechali, a ja tu żyję z wami, ja muszę dbać o wasz interes, a nie trzymać z nimi.

— Ty, Aron, niczego sobie i prawdę mówisz, bo co swój, to swój.

— Łukasz, z was mądry człowiek.

Do izby wsunęli się dwaj kupcy.

— Nu, Aron, — zawołał pan Krausberg, podchodząc do szynkwasu, jak długo będziemy czekali?...

— Jeśli chcecie robić interes pewny, to tylko z tym gospodarzem. Łukasz jest u nas najpierwszy i najmądrzejszy, o tem wiedzą wszyscy.

I kupcy i chłop spojrzeli na siebie badawczo, a pan Krausberg rzekł:

— Nu, Łukasz, chodźmy do alkierza, tam pogadamy spokojnie.

— Ee, nie, kradzionego nie sprzedaję, mnie i tu dobrze.

— Wy, Łukasz, mówicie sprawiedliwie, po co sekretu robić? — dodał szynkarz.

— Nu, niech i tu będzie... My chcemy kupić prawo na wasz grunt, ile chcecie?

-- A co dacie?

— Mówcie wy najpierw. Ten grunt zostanie w uży-

waniu waszem, tylko, że nam wolno na nim kopać i nikomu innemu.

— Ja to wiem, — rzekł chłop z wolna, — tak zapłacicie za prawo od morgi po 500 guldenów, a od każdego zakupu przy rozpoczęciu po 200 papierków i połowa nafty moja.

— Słyszysz? — zawołał drwiąco kupiec, — to coś nowego! Co nam zostanie?

— A to nie kupujcie, czy was siłuję?

Po długich rozmowach, namowach, piciu wódki, Boruch pochwyił prawą rękę chłopca i uderzając dłonią, mówił szybko:

— Nu, Łukasz, niech będzie raz zgoda: za prawo dam wam 200 guldenów, a od każdego zakupu 100, za pierwszy płacę z góry. Co, dobrze?

Chłop w milczeniu słuchał, pozwalał uderzać w swą dłoń, ale w nastawioną dłoń kupca nie chciał położyć swej ręki, wyczekując zwyczajki.

Świadkiem tych targów byli i inni gospodarze, spoglądając z zazdrością na szczęśliwego Łukasza. Po między nimi był i Maciej, a wypiwszy już czwarty kieliszek wódki, zbliżył się do pana Eisensteina, mówiąc:

— Dacie mi tyle co Łukaszowi, ja odstąpię prawo na swój grunt!

Zgorszony Łukasz splunął i zawołał głośno:

— Ot durny!

— Durny, nie durny, a swoje zrobię, czy to nie mój grunt? czy ja nie gospodarz?

Z Maciejem przyszło łatwo do zgody, a wówczas

pan Eisenstein wziął na bok Łukasza i w tajemnicy dodał mu do ceny kupna dwadzieścia pięć guldenów, co tak pochlebilo chłopu, że zgodził się na inne warunki.

Dano zaliczkę przy świadkach, umawiając się o termin przyjazdu do Drohobycza aby zrobić umowę notaryalną.

Do izby karczemnej, napełnionej dymem taniego tytoniu, wyziewów wódki, potu ludzkiego i ostrego zapachu butów, wysmarowanych naftą, wszedł Bazyli ze swoją żoną, kobietą młodą, uśmiechniętą, ubraną odświętnie mimo dnia powszedniego.

Z Bazylim, mimo jego niechęci, przyszło łatwo do zgody, dzięki żonie, która za obiecaną chusteczkę jedwabną i sznur koralii nakłoniła męża do sprzedaży.

Kupcy po ukończeniu interesu, postawili flaszkę wódki, jako mohorycz. Karczma rozbrzmiała wesolnością, okrzykami, poczęstunkiem. Aron zacierał ręce, dziękując kupcom i zobowiązując się do dostawienia chłopów do notaryusza.

Usiedli na wózek i zdala dolatywały ich odgłosy krzyków pijących; zgorzony tem, pan Eisenstein odezwał się do milczącego towarzysza:

— Lejzor, oni są bydło pyskate.

— Niech sobie będą, co nam to szkodzi, oni pracują na nas.

Po dłuższem milczeniu rzekł pan Eisenstein:

— Lejzor, ja mam całą spółkę, ja ci dopłacę u notaryusza całą połowę.

— Niech i tak będzie, tylko kontrakty z nimi na twoje nazwisko.

— To już umówione.

— Boruch, ale to sekret.

— Ja wiem!

XVI.

Jesienią pewnego dnia rozeszła się wiadomość, że delegacya banku anglo-austryackiego zajechała do hotelu pod „Czarnym Orłem“ i zamierza kupować grunta w Schodnicy. Cały Drohobycz handlujący został tą nowiną zelektryzowany i wysoce zaniepokojony. Faktorzy i kupcy na wyścigi rozmawiali na ten temat i skwapliwie podglądali czynności przybyszów. Tylko kilku poważnych kupców, pomiędzy nimi pp. Lindeman, Krausberg i Eisenstein, którzy swoją sekretną pocztą byli już dość dawno uprzedzeni o przybyciu delegatów, oczekiwali na pozór spokojnie, lecz wstrząsani dreszczem spodziewanych zysków, pierwszych kroków zakupna gruntów włościańskich w Schodnicy.

Nareszcie dotarli faktorzy do przybyłych i nagle gruchnęła wieść, że bank chce kupować grunta chłopskie. Ruszyli się natychmiast więksi i mniejsi kapitaliści, furmanka za furmanką wiozła kupców żądnych nabycia zakopów do Schodnicy. Cena gruntów szła szybko w górę, chłopci pili bez miary, zawierali umowy i wnet zrywali w kilka nieraz godzin, łakomiąc się na wyższą

cenę. Aron i Selig, szynkarze w Schodnicy, stali się chwilowo bohaterami dnia, do ich karczem, jak do miejsc cudownych, spieszyli wszyscy żydzi i chłopci, żądni łatwego zarobku, podnieceni nadzieją szybkiego wzbogacenia.

Po kilku dniach otrzymali faktorzy upoważnienie wyszukania i sprowadzenia kilku właścicieli gruntów włościańskich w Schodnicy, którzy przezornie kupili na kilka miesięcy naprzód prawo poszukiwania plodów kopalnianych.

Pan Lindeman na tej operacyi zarobił sto na sto, a przyjmując powinszowania p. Krausberga, uśmiechnął się z ironiczną pobłażliwością i rzekł:

— Nu Lejzor, chociaż ty szczęśliwy, ale mój rozum wyprzedził twoje szczęście w tym interesie.

Pan Krausberg przyjął w milczeniu tę uwagę, a skinąwszy na przechodzącego p. Eisensteina, wszedł z nim do swego mieszkania.

— Nu Boruch, — zaczął gdy obaj usiedli na wygniezionej sofie, w jadalnym pokoju, teraz przyszedł czas na nasze żniwo.

— Nam trzeba skorzystać z tego, co ty Lejzor myślisz?

— A ty byłeś już na gruncie w Schodnicy?

— Ja byłem i widziałem, nasze grunta wchodzą klinem w ich zakopy.

— Wszystkie?

— Nie. Pole Macieja przecięło trochę grunta Lindemana zakupione przez bank.

— To nasze szczęście, — uśmiechnął się gospo-

darz, — oni muszą kupić ten kawałek, ale ty Boruch kawałka nie sprzedawaj, tylko cały grunt.

— A jak nie zechcą Lejzor, co ja zrobię? Ja potrzebuję pieniędzy...

— Nu, ja odkupię część twoją.

— Po ich cenie? — spytał z żywością.

— Boruch ja nie taki głupi, — zaśmiał się pan Krausberg, — ty dałeś za cały grunt 500 guldenów do naszej spółki, ja tobie dam za połowę twojej części całych 500 florenów. Co ty powiesz?

— Nie Lejzor, to za mało, ja wpierw pójde do nich, ich faktor był u mnie dwa razy.

— Ty Boruch dobrze mówisz, idź teraz do nich pod „Czarnego Orła“ i żądaj 5000 fl. po 2000 fl. za morgę.

— Oni Lindemanowi dali tylko po tysiąc.

— On nie miał klinu, a my mamy. Jak pogadasz z nimi, przyjdź dzisiaj do mnie, ja będę czekał na ciebie.

Zaledwie zamknęły się drzwi za odchodzącym, weszła żona:

— Lejzor, ty robisz interes z Boruchem?

— Ja nie wiem, może i zrobię.

— On nasz krewny, ty pamiętaj o tem.

— Ja nie zrobię mu krzywdy, ty Suro możesz być przy interesie.

Późnym wieczorem przyszedł oczekiwany i zaraz z progu mówił:

— Oni dają cztery tysiące.

— A ty Boruch co myślisz?

— Ja potrzebuję pieniędzy, ja radzę sprzedać.

— Ty chcesz, a ja nie chcę, nu my się pogodzimy, ty siadaj.

Po dość długich pertraktacyach p. Krausberg wypłacił tysiąc guldenów za połowę części p. Eisensteina i wziął od niego kwit odpowiedni.

— Lejzor, na co tobie ta część — spytała żona, gdy zostali sami.

— Ja już wiem.

— Lejzor, ty powiedz swojej żonie.

— Ja byłem dziś w Schodnicy i przez nasz grunt musi iść ich droga, oni zapłacą dobrze.

— Lejzor, ty bardzo mądry.

— Co mi z tego, — westchnął, — kiedy mam mało pieniędzy.

— Ty będziesz miał krocie! — zawołała rozczulona.

— To za mało, ja muszę mieć milion!

Gdy delegaci wyjechali z Drohobycza, i gorączka zakupna gruntów w Schodnicy minęła, p. Krausberg zawezwał p. Eisensteina do siebie.

— Słuchaj Boruch, ty jedź do Lwowa i sprzedaj bankowi nasz grunt.

— Ja pojedę, a za ile?

— Ty żądaj teraz więcej, powiedz 9000 guldenów, a oddaj za osiem.

— A jak oni nie zechcą, kto mi zwróci kosztą?

— Ja tobie zapłacę, ale ty weź paszport z policyi, weź świadectwo z magistratu i zabierz plany ze sobą.

Przewidywania p. Krausberga sprawdziły się, bank wypłacił żadaną sumę osiem tysięcy i uradowany p. Ei-

senstein wprost z kolei przywiózł p. Krausbergowi należne 6000 guldenów, wytargowawszy na nim trzy czwarte kosztów podróży do Lwowa.

W zapale i uniesieniu radości, zapomniał na razie o odebraniu umowy notaryalnej, w której odstępował połowę nabytych gruntów p. Krausbergowi, następnie zajęty gorączkową czynnością odzyskania zaryzykowanych pieniędzy, nie miał czasu na wydobycie dokumentu i rzecz poszła w odwłokę, zwłaszcza, iż obecnie od czasu przyjazdu córki p. Krausberga, czuł się tam obcym, natrętnym i niemiłym gościem.

Wkrótce po przyjeździe panna Esterka Krausberg, ładna, smukła brunetka, stała się ulubienicą ojca i matki, oboje widzieli w niej skończoną doskonałość piękności, wykształcenia i wychowania. Korzystając z tego usposobienia ojca, zdołały jej prośby i namowy matki skłonić go do zmiany ciasnego mieszkania na inne większe, frontowe od rynku.

— Mamo, u nas we Lwowie, nawet biedniejsi mają ładniejsze meble w salonie, nasze są okropne.

— I ja to widzę Esterko, ale ojciec nie da pieniędzy.

— Trzeba spróbować!...

I tak ugłaskała ojca, że zezwolił na nowe pokrycie mebli.

Zwolna starała się wyrugować żargon z domu, zastępując go językiem niemieckim, a entuzjazmując się na zimno do literatury, kupiła małe gipsowe biusty Goethego i Schillera, ustawiwszy je na komodzie w saloniku. Był to pokój frontowy, z dwoma oknami, dość

obszerny, umeblowany szablonowo, z krzesłami pod sznur ustawionemi, z kanapą i dwoma fotelami w rogu, obok okrągłego stolika z lampą nakrytą abażurem, z nieodzownem lustrem między oknami i komodą w miejsce konsoli. Sam jego widok wywoływał uczucia znudzenia i smutku. Jednak ten tak zwany salon był chlubą i dumą całego domu, i tylko wyjątkowi goście byli tam dopuszczani.

— Mamo, ja się tutaj nudzę w Drohobyczu.

— Ty przecież u rodziców...

— U nas we Lwowie ja chodziłam na Wały, do Ogrodu Jezuickiego, tam są ludzie, a tu kogo ja widzę?

— Ty patrz przez okno na rynek, to zabawi ciebie.

— Ja chcę ludzi, spacerów, zabawy; a mama marnuje mnie tu w domu.

— Co ja zrobię z tobą? Esterko, mnie już ciężko chodzić, ale ja pójdę z tobą na spacer.

Wieczorem, gdy małżonkowie układali się do snu — rzekła pani Sura z westchnieniem:

— Lejzor, naszej Esterze nudzi się tutaj w Drohobyczu.

— Ja nie mam czasu jej bawić!

— A co ja z nią zrobię? — skarżyła się żona.

— Ty ucz ją gotować, robić konfitury, makagigi, pierniki...

— Ona na to za delikatna, myśmy jej nie edukowali do kuchni.

— To czego ty chcesz?

— Jej czas iść za męża.

— Zaczekajmy, niech się ucieszą nią nasze oczy.

— Lejzor, — zawołała po chwili, — ją potrzeba zabawić, ona jeszcze rozchoruje się, co nie daj Boże.

— Ty Sura, nie gadaj takich rzeczy pod noc, — upomniał mąż, — ja mogę mieć brzydkie sny. Ty chcesz zabawy, to zaproś.

— Ja poproszę Lindemanową z córką i Stillbachową, niech one przyjdą.

— Ty możesz to zrobić.

XVII.

Przy ulicy Żupnej, wiodącej z rynku drohobyckiego, ku zabudowaniom żupy solnej, stał przy ulicy mały, ubogi domek parterowy, zbudowany z drzewa, przytulony jednym bokiem do ściany murowanej kamienicy.

Dworek ten, odrapany, z łatanym dachem, znany był wszystkim żydom w Drohobyczu, był bowiem własnością i mieszkaniem Jankła jałmużnika, który po stracie żony, cały swój czas poświęcał zbieraniu jałmużny dla swych chorych i biednych współwyznawców.

Z uciążliwej wędrówki wrócił właśnie do domu, zasiadł w niskiej, dość obszernej, belkowanej izbie, umeblowanej nieodzownymi sprzętami: stołem, krzesłami, ubogim tapczanem, lichą szafą i pięknym, świecącym siedmioramiennym świecznikiem. Czekał na spóźniony obiad, przeliczając starannie otrzymaną jałmużnę. Westchnął z żalnością, gdyż cała suma nie wyniosła jednego guldena, a przed oczyma jego przesunęły się szeregi biednych i chorych, ograniczonych w swych środkach

niemał tylko do jego jałmużny. W zaułkach pełnych śmieci, błota i cuchnących wyziewów; w izbach wilgotnych, ciemnowych, brudnych gnieździły się całe rodziny nędzarzy z licznem potomstwem, skarłalem, schorowaniem od urodzenia, chowaniem w zaduchu i w braku światła. Każda cięższa choroba była tam wyrokiem śmierci, każdy grosz majątkiem, każdy kęs chleba uczcią. Dorywczosć ich tak zwanej pracy: pośrednictwa w sprawach bez wyboru etycznego; wyzysku w handlu bez oglądania się na środki; ofiarowania usług bez względu na cel i sposoby; taka praca, wkorzeniana przez całe pokolenia, nie zapewniała im bytu, a w zmienionych warunkach życia społecznego stawała się przeszkodą i wzmagala ucisk nędzy.

Jałmużnik Jankiel, przełożony towarzystwa wspomagania biednych i chorych, nie chciał znać i nie znał przyczyn, dla niego byli to tylko biedni, zgłodniiali, opuszczeni i chorzy bracia, cierpiący na wygnaniu, wśród obcego, wrogiego narodu. Inne skargi, prócz swych współwyznawców, nie dochodziły uszu jego; tylko ich łzy rozczulały go, tylko ich głód, upokorzenie, choroby bolały go, tylko ich nędzę miał przed oczyma.

A tu do tego kraju nagłych bogactw i bankructw, gorączki hazardu i ślepego szczęścia, łatwej pracy i szybkiego wzbogacenia, zbiegły się setki i tysiące żądne zarobku i pieniędzy, a uzdolnione prawie jedynie do pośrednictwa i wyzysku chwili. Na kartę losu rzucali ostatni grosz, a gdy karta zawiodła, czekała ich niewysłowiona nędza, głód i śmierć.

Jankiel jałmużnik miał też w ostatnich latach bar-

dzo dużo zajęcia i tylko przy wielkich wysiłkach i zaparciu się spełniał swe obowiązki. Jałmużny wprowadzie wpływały, ale nie w tych rozmiarach, jak wzrastała liczba biednych i chorych; bogatsi pozbywali się go drobnymi datkami, ofiarując chętnie większe sumy kahałom i rabinom, co zapewniało rozgłos i uznanie wśród współwyznawców.

Siedział więc smutny i zamyślony, to patrząc na drobną sumę pieniędzy, to w zabrudzone okno frontowe, przez które wpadało mdle światło chmurnego dnia jesiennego.

Przez drzwi kuchenne weszła jego córka, bezdzietna wdowa, Ruchla, niosąc małą salaterkę dymiącej zupy fasolowej; postawiła ją przed ojcem, podsunęła kromkę chleba czarnego i usiadła przy stole. Spojrzała na ułożone w kupki centy, na ojca łamiącego chleb drżącymi rękami, na jego wynędzniałą twarz, okoloną mocno szpakowatym zarostem, i ogarnął ją żal na widok tego starca, który od bardzo wczesnego ranka zdołał zaledwie trochę tego grosza wyprosić u zamożnych dla ich nieszczęśliwych współwyznawców.

— Tyle pracy mój ojcze, tyle twego poświęcenia, a tak małe owoce — westchnęła — ci bogacze nie mają serca, odmawiając tobie.

Spojrzał na nią wielkimi, ciemnymi oczyma, głęboko osadzonemi, i maczając chleb w zupie, rzekł zwolna:

— Bóg wie co robi, nie nam sądzić ludzi.

— Ja też nie sądzę, ale widzę te okruszyny, które zebrałeś dzisiaj.

— Jak Bóg zechce, to rozmnoży je stokrotnie.

Po dłuższem milczeniu odezwała się córka:

— Ojczy, ja mam dla ciebie jeszcze kawałek kury.

— Dziękuję ci, mam już dosyć.

— Posił się ojczy, bo tracisz siły i zdrowie, a biedni potrzebują ciebie.

— Zdrowie i życie jest w ręku Pana, On wie co robi. Mięso schowaj dla chorych, czy był tu kto?

— Zwykli twoi goście, mój ojczy, powiedziała, by przyszedli przed wieczorem.

— Nie było między nimi Małki?

— Nie.

— Pójdę do niej, ona ma męża i syna chorego, może nie mogła wyjść.

— A kiedy wrócisz, ojczy?

— Będę przed wieczorem w domu.

Ubrał się przy pomocy córki w swój stary, znożony, połatany chałat, przepasał się czarnym, wypłowiałym pasem, zabrał w kieszeń jałmużnę i zwolna wyszedł, powłócząc nogami.

Ruchla patrzyła na ojca przez okno i na jej twarzy poóółkłej, na pomarszczonem czole widać było troskę:

— Oj, czemu on choć mięsa nie zjadł — szepnęła widząc ociężwały chód jego. Nizka, gruba, przysadkowata zaczęła się krzątać po izbie robiąc porządki.

Po chwili weszła niemłoda kobieta z dzieckiem na ręku. Twarz miała zmęczoną, chudą, ze śladami łez, otarła wielki nos kułakiem i spytała:

— Reb Jankiel w domu?

— On będzie wieczorem, co mi powiesz Hane?

— Co ja mam mówić, u mnie tylko jeden smutek.

— Masz chorobę w domu?

— Nie, Bóg mnie zachował od tego.

— Mąż twój Abrum zarabia, to chleb jest chwała Bogu.

— Ruchlo, ja mam wielkie strapienie...

— Siądź Hane, boś zmęczona, a jak ci ulży, to ty mów.

Usiadła na krześle, uspakajając krzyczące dziecko kołysaniem na ręku.

— Ruchlo, niech tego Krausberga Bóg pokarze na dzieciach i wnukach.

— Dlaczego Hane?

— Mój mąż Abrum był dobry człowiek, on dbał o żonę, o dzieci, a teraz on wraca w nocy pijany, ma straszne sny, że aż serce zamiera jemu...

— Jakie sny? — spytała zaciekawiona, poprawiając jedwabną perukę skrzywioną przy sprzątaniu.

— Tego nie można mówić, ale to powiem, że on zawsze krzyczy wielkim głosem: Lejzor kazał. Lejzor płacił, Lejzor winien.. On nie przynosi nic do domu, on mi straszy dzieci, on gada takie rzeczy po nocach, że ja już wyplakałam wszystkie moje łzy, a teraz tylko jęczę.

— Abrum musiał zrobić złą rzecz, kiedy on ma takie sny, — mówiła Ruchla z namysłem:

— On nie zrobił ze siebie, to Lejzor zrobił przez niego nietylko złą rzecz, ale wielki kryminał. Niech on będzie przeklęty.

Po chwili rzekła Ruchla:

— Nu, a czego chcesz ty Hane od mego ojca? Co on ma tobie zrobić?

— Reb Jankiel ma wielkie poważanie u wszystkich, niech on powie mądre słowo Abramowi, niech on będzie sumieniem jego i zagasi boleść jego.

— Ja to powiem Hane ojcu memu.

— Ruchlo, ty zrób to u ojca dla moich dzieci, co one winne?

— One są niewinne, niech krew pada na dzieci Lejzora, jeśli Abram mówi tobie prawdę.

— Ruchlo, ty mi wierz, pijany nie kłamie, a on przychodzi pijany, jak prosty goj, i gada głośno... aj, co on gada... ja już idę, dzieci mnie czekają.

— Ty Hane idź w pokoju, ja powiem ojcu memu.

Przed wieczorem wrócił Jankiel do domu i zmęczony usiadł na krześle; powiedziała mu córka prośbę żony Abruma, na co odrzekł:

— Ten Lejzor ma zatwardziałe sumienie, ale na głos Pana on zmięknie.

— Czy pójdzie ojciec do Abruma?

— Ja zajdę do niego, ale co ja pomogę, Bóg karze i rękę i miecz, taka wola Jego.

Drzwi od sionki otworzyły się zwolna, i do izby weszła bojaźliwie kobieta uboga ubrana i stanęła przy drzwiach. Gospodarz przysłoniwszy ręką oczy, rzekł uprzejmie:

— Ester, przyjdź bliżej, czyś zrobiła co złego, że tak się boisz?

— Reb Jankiel, — mówiła zrobiwszy dwa kroki naprzód, — co ja złego zrobiłam, niech mi tak ludzie

odpłacą; ale oni mi nic nie dają, bo ja nic złego nie zrobiłam. Reb Jankiel, moje dzieci nie mają chleba.

— Dlaczego, Ester?

— Piekarka nie daje mi już obwarzanków, ani pierników. Co dwunasta sztuka sprzedana była moja, i to był chleb moich dwojga dzieci i mój; a teraz ona nie chce mi dać.

— Dlaczego?

— Teraz mały handel na ten towar, i ona nie chce dać. Reb Jankiel moje dzieci bez chleba.

Jałmużnik wyjął kilka centów i wręczył kobiecie, która podziękowawszy gorąco stała w izbie:

— Czego chcesz, Ester?

— Ja chcę, ja proszę, aby Reb Jankiel poszedł do piekarki, niech ona mi da na sprzedaż swój towar, bo co ja zrobię?

— Jutro będę u niej, idź w pokoju.

Stary po jej wyjściu zaczął się przygotowywać do modlitwy wieczornej, wyjął tojrę — worek czarny, mieszczący książkę i strój obrzędowy, położył na stole przed sobą, gdy drzwi otworzyły się szybko i weszła niemłoda kobieta ze śladami łez na twarzy.

— Reb Jankiel, — zaczęła z progu, — ja jestem wdowa po Joselu Reich, mnie Krausberg wyrzucił z dziećmi na bruk — i załkała głośniej.

— Kobieto, ty mów wyraźniej czego chcesz?

— Mój mąż, Josel Reich, był faktorem, i nam dobrze było póki on trzymał z Bratkowskim, aż przyszedł ten wąż, ten zwodziciel, ten szachraj Lejzor.

— Nu, i co dalej? — spytał spokojnie.

— On mu obiecał czwartą część szybu, jeśli Josel namówi Bratkowskiego do sprzedaży. Josel dobry człowiek, on to zrobił, a potem zamiast faktorstwa on pilnował szybu i zbiedniał, zmarniał i umarł, bo szyb dawał tylko dochód Lejzorowi.

— Ty mów dalej, ja słucham.

— Sura, żona Lejzora, ulitowała się nademną wdową i dała mi stancyjkę w kamienicy na cały rok, ale Lejzor po dwóch miesiącach mnie wyrzucił z dziećmi, — i dalej mówiła z płaczem i jękiem, — on cały majątek zawdzięcza Joselowi, on kupił tanio, miał „matkę“ i na wosk... jemu nic nie dał, a wdowę z dziećmi wyrzucił, co ja zrobię, gdzie zasną moje dzieci?

— Ty się uspokój, schowaj łzy na większą boleść... Ale co ja tobie poradzę? Ja nie mam stancyi dla ciebie.

— Reb Jankiel, — mówiła ocierając łzy — was każdy szanuje, i on musi szanować, wasze słowo zaważy u niego, niech on mi odda stancyę, mój brat daje mi tygodniowo trzy guldeny na życie moje i trojga dzieci, z czego ja zapłacę mieszkanie?

— Ja nie wiem, czy on mnie usłucha, ale ja pójdę i powiem mu za tobą.

Po skończonej modlitwie, wyjął stary, pomięty notatnik i zaczął przeglądać przy świetle małej świeczki spis miesięcznych ofiarodawców. Pomiedzy zalegającymi był i Lejzor Krausberg, zwlekający z zasady wypłaty dobrowolne.

Przeczytawszy to nazwisko, zachmurzył się stary, poprawił jarmułkę i gładząc siwą brodę, rozmyślał nad życiem tego człowieka, którego znał od dziecka. On

widział jego bezwzględność, zatwardziało serce, kamienne sumienie względem współwyznawców i obcych. Żal, gorzycz i wstyd poczuł dumny i chępliwy ze swego narodu jałmużnik, rozpamiętując życie obecnego bogacza, który zawdzięczając Jehowie majątek, zapomina o swych braciach cierpiących.

Z tych rozmyślań obudził go szelest sztukania klamki u drzwi z ciemnej sieni.

— Ruchło, idź, otwórz.

Do izby weszło trzech biednych żydów, w podartej i zniszczonej odzieży, w butach obwiązanych sznurkami, brudni, niemyci, wynędzniali. Stanęli przy drzwiach, a starszy z nich przemówił:

— Reb Jankiel, bądź pozdrowiony od nas przybyśców. Dobrzy ludzie wskazali nam twój dom i polecili twemu sercu.

— Skąd wy?

— My idziemy z Turcyi, z nad Dunaju. Tam znieważano nasze obrzędy, naśmiewano się z nas, i marliśny głodem. Dowiedzieliśmy się, że tu złoto płynie samo z ziemi i przyszlśmy po zarobek o proszonym chlebie.

— Wam źle powiedziano, wam tu będzie bardzo ciężko.

— Zawsze lepiej między swoimi, aniżeli tam. Ale my nie sami, tam przed domem stoją nasze żony, dzieci, a na wózku przywieźliśmy położnicę.

— Na wózku? Macie konia?

— Myśmy ją ciągnęli, ona przed zachodem porodziła.

— Co ja z wami zrobię — kłopotał się stary. —

Zawołajcie kobiety i dzieci, a położnicę... Ruchło, przygotuj tapczan.

Wstał i zbliżył się do wchodzących, patrząc z współczuciem na położnicę z trudnością wlokącą nogi.

— Siadajcie moi bracia, wy z drogi zgłodniiali... Ruchło czy masz chleb?

— Jest pół bochenka.

— Podaj, a wy spożywajcie w zdrowiu.

Mężczyźni usiedli za stołem, kobiety skupiły się koło tapczana.

— Reb Jankiel — mówił po chwili przybyły — tu są nasze papiery i świadectwo naszego rabi.

— Po co mi wasze papiery, — rzekł odsuwając pakiet — wasza bieda dla mnie wystarczy. Wy tu zaczekajcie, może ja znajdę nocleg dla was.

I powlókł się ciemnymi ulicami.

Wracał rynkiem do domu, wyszukawszy nocleg dla przybyłych i akuszerkę dla położnicy.

Wśród szeregu kamienic z podsieniami, okna mieszkania p. Krausberga były bardzo jasno oświetlone, a po szybach przesuwwały się chwilami sylwetki osób.

Fala gniewu i goryczy podniosła się w sercu starca, gdy wspomniał na dzisiejsze skargi, na biednych wygnańców i na zaległość miesięcznej składki. Oparł obiedwie ręce na lasce, wpatrując się w jasne okna salonu p. Krausberga.

Dziś odbywała się zabawa, aby zadowolnić nudzącą się córkę. W salonie na wielkiej kanapie rozsiadły się w jedwabnych sukniach, z wielkimi zausznicami, z licznymi pierścionkami na palcach tłustych, panie Linde-

man i Stillbach, obok na krzesłach panny. Towarzystwo zabawiał młody p. Lindeman, opowiadając o swym sprycie w wydobyciu planu fabryki cerezyny. Wprawdzie wszyscy znali już tę historię, ale w braku lepszego przedmiotu dobry był i ten.

— Ja zgodziłem tego inżyniera za 300 marek i czekałem dwa dni w hotelu „*zum Kaiser Wilhelm*“, bardzo piękny i tani hotel. Niemiec robi po całych nocach, bo w dzień zajęty, a ja sobie chodzę po fabryce i tak dla siebie przemierzam te i owe budynki. ja technik, ja znam się na tem — i śmiał się zadowolony.

— No, powiedz Moryc dalej, — zachęcała pani Lindeman syna, a zwracając się do sąsiadek mówiła, — teraz dopiero najzabawniejsza historia, mój Moryc mądry.

— Na trzeci dzień, Niemiec przynosi plan fabryki, ja sobie patrzę, pytam i liczę budynki, akurat brakuje dwóch magazynów obliczonych przezemnie. Ja mu daję pięćdziesiąt marek i żądam uzupełnienia, a sam dla sprawdzenia zatrzymuję plany. I tyle mnie widział — śmiał się głośno i szczerze.

Towarzystwo wtórowało mu chętnie, a on prawil dalej:

— Jaką minę miał Niemiec, kiedy spytał portyera: *Ist Herr Lindeman in seinem Zimmer?* a on mu odpowiedział: *Heute zwölf Uhr abgefahren...* Cha, cha, to było doskonałe...

I w towarzystwie zapanowała wesołość z tego dowcipu młodego pana Lindemana.

W pokoju jadalnym trzej spółnicy roztrząsali po-

ważnie sprawę oszczędności na materyale i robotnikach budującej się już fabryki cerezyny.

— Ja biorę na dozorców tylko naszych, — wywnętrzał się p. Krausberg, — do prostej roboty najlepszy goj, nasz słabszy i chce drożej.

— Ja już widzę — mówił uśmiechnięty p. Lindeman, — my z Lejzorem postawimy dobrą i taną fabrykę. Lejzor, ja wypiłbym na powodzenie naszej cerezyny.

Gospodarz dość niechętnie wziął karafkę i z wielką ostrożnością nalewał wino w małe kieliszki. Podniósł się z krzesła otyły p. Lindeman i wziął kieliszek w rękę, równocześnie otworzyły się drzwi od kuchni, i w nich stanął jałmużnik Jankiel. Wszyscy trzej spojrzeli na niego zdziwieni, a przybyły zamknąwszy drzwi, zbliżył się spokojnie do stołu, mówiąc:

— Lejzor, ja przyszedłem po twoją zaległą składkę miesięczną... a i wy dajcie na ubogich i chorych, wam będzie to wino lepiej smakowało.

P. Krausberg przybladł z gniewu i wstydu i głosem zduszonym zawołał:

— Jankiel, ty pamiętaj, że wszystko ma swój czas i koniec, a moja cierpliwość także. Ty wybieraj dzień na jałmużnę i nie wałęsaj się po nocach, nie zakradaj się do cudzych domów.

— Lejzor ma rację — mruknęli spółnicy.

Starzec wyprostował się, zablęsy mu oczy, i podniósłszy głos mówił:

— Czy wy, siedzący tu w pokoju przy winie i jedzeniu, wiecie skąd ja wracam, dlaczego wyszedłem

w ciemną noc, szukając laską drogi?... Ja byłem u waszych braci... otwórzcie oczy wasze, rozewrzyjcie uszy wasze, pokażcie serca wasze, oto tam płaczą, jęczą, wiją się z głodu i choroby dzieci Izraela; obdarci, nędzni, odpychani, idą drogą życia. Głód pożera ich wnętrzości, ciało pada z choroby, język przysycha im do ust, a nie masz nikogo, ktoby pocieszył, nakarmił, напоił, przyodział..

Głos jego zwabił ze salonu przyległego całe towarzystwo, które zwarło się w drzwiach, nasłuchując. Pan Krausberg stłumił gniew w sobie i rzekł dość łagodnie:

— Jankiel, idź do domu, my jutro pogadamy o tych sprawach.

— Jutro!? — zaśmiał się jałmużnik drwiąco — a czy wy wiecie, że teraz u mnie są biedni wygnańcy, wasi bracia, z żonami i dziećmi, oni głodni, nadzy, biedni, oni nie mogą czekać. Ty Lejzor dzisiaj oddaj dług.

— Dziś nie dam, — syknął z zawziętością — i ty idź sobie Jankiel.

Pan Lindeman, chcąc pomódz spółnikowi, dodał z uśmiechem:

— Im dobrze u ciebie, ale ty Jankiel źle ich przyjmujesz, ty uciekasz od twoich gości.

Zaśmiano się głośno.

Wzburzony jałmużnik zawołał:

— O wy serca zatwardziałe, ja do was mówię jak do braci, a wy mnie zbywacie plugawymi żartami. Teraz ja wam powiem, że dzień kary, dzień sądu Pana jest już blizki, i drżycie, bo ręce wasze są krwią zmażane, palce nieprawością, a wargi kłamstwem. Jehowa

pomści na was i na waszych dzieciach cierpienia i płacz ludu swego. Trwajcie dalej w rozpuście i grzechach waszych, ale drżycie, bo dzień sądu jest blizki.

Po jego wyjściu nastąpiło chwilowe milczenie, pierwszy przemówił p. Krausberg, blade ale spokojny.

— Ten Jankiel na starość zwaryował i gada same głupstwa.

— Jego trzeba zaskarżyć do starszych, niech mu odbiorą jego urząd, — mówił zgorszony pan Lindeman, — on burzy spokój i szkodzi nam.

— Ja zaskarżę go jutro — zaczął p. Krausberg — jego trzeba usunąć, bo on...

A p. Stillbach dokończył:

— Waryat!

XVIII.

Pan Stillbach pierwszy przyniósł na giełdę pod apteką wiadomość, że oddział banku anglo-austryackiego, który zakupił grunta w Schodnicy, odstąpił swe prawa spółce kapitalistów krajowych, na czele których stoi pan Floryański.

Kupcy i factorzy zainteresowani nietylko w sprawach nafty, ale i w projektowanych pośrednich zyskach przyszłego przedsiębiorstwa, wszczęli żywą rozprawę nad tą nowiną.

Pan Lindeman, który na sprzedaży kuponów bankowi zrobił dobry interes, mówił z niezadowoleniem:

— Ta spółka krajowa niema sensu. Niemcy przyjeżdżali ze swymi pieniędzmi, nie znali stosunków tutejszych, ani kraju, oni musieliby iść z nami. Byłyby kapitały obce w ruchu, a nasz towar miałby popyt pomiędzy Niemcami.

— Całkiem słusznie, — podchwycił inny kupiec, taki tutejszy on się nie zna na interesie, on będzie bałował, a interes puści na obce ręce, sfuszeruje i obniży cenę.

— Niech będzie sobie krajowy, — rzekł pan Bernstein, ściskając ramionami, — co nam to szkodzi, aby tylko on miał pieniądze i płacił dobrze.

— Nu, a ty Lejzor co mówisz?

— Ja sobie myślę, skąd się wzięły te krajowe kapitały? To jest nieczysty interes, za tą spółką muszą siedzieć bankierzy... może oni zrobią znowę i obniżą cenę towaru, wezmą cały handel w swoje ręce... Wszczął się gwar, bo podobny projekt wprowadzony w życie, groził klęską prawie wszystkim członkom giełdy. Wśród krzyżujących się pytań i odpowiedzi zawołał pan Lindeman:

— Słuchaj Stillbach, kto jest Floryański?

— Floryański? Ja się pytałem, on jest administrator spółki, on ma swoich dyrektorów, buchalterów, on w interesie jest wszystkim.

— Nu, ale co on za jeden? Czy można z nim pogadać?

— Ja nie wiem. On jest inżynier i pracował zagranicą.

— Co tu dużo gadać? — przerwał p. Krausberg, — on przyjedzie, to my go poznamy.

Przez kilka dni Drohobycz, Borysław i Schodnica pełne były wieści o nowej spółce naftowej i z pewnym niepokojem czekano przyjazdu reprezentanta towarzystwa krajowego.

W początkach lutego rozeszła się wiadomość, że oczekiwani przyjechali. Faktorzy trzymali hotel w oblężeniu, wyczekując sposobności zarobienia, usłużenia i poznania przyjezdnych. Z rozczarowaniem spostrzegli, że

czterej panowie, administrator, dyrektor, buchalter i sekretarz wsiedli do sanek pocztowych i pojechali do Scho-dnicy, nie wezwawszy faktora do pomocy.

Na ulicach, po sklepach, na giełdzie opowiadano sobie, że administrator, p. Floryański, wynajął od p. Hamersteina, właściciela Schodnicy, dwór, że wspaniałe meble przyszyły koleją, ma kucharza, lokajów, pyszne konie, że za wszystko płaci gotówką, bez wielkich targów.

Zdziwienie i żal były ogólne wśród żydów, że przy takich wydatkach, zapotrzebowaniach, wypłatach oni stali na uboczu, skazani na niemych świadków.

— To jakiś antysemita! To nasz wróg! — odzywały się liczne głosy, i sypały się złorzeczenia na głowę administratora.

Niechęć rosła tem większa, że ci, którzy podstępem uzyskali przystęp, odchodzili z niczem. Na wszelkie propozycje pomocy, ułatwienia, wyjaśnienia pan Floryański pozostał głuchy i odmawiał szorstko.

Skargi pośredników doszły do poważnych kupców i wywołały oburzenie, a ponieważ dotychczas tylko pan Hamerstein z nim zrobił interes, udano się do niego o wyjaśnienie:

— Ja nie wiem, — odparł zapytany — on wszystko kupuje u szlachciców, u chłopów, może on antysemita, a może próbuje czy mu to nie wypadnie taniej? Ja nie mogę skarżyć się na niego, wszystko z góry zapłacił i swoim kosztem naprawia, on mi wypożyczył cały folwark — uśmiechnął się zadowolony.

Wiadomość, że w Drohobyczu odbędzie się zjazd

obywateli okolicznych, sproszonych przez p. Floryańskiego, zaciekawiła wszystkich, i z niecierpliwością oczekiwano tego dnia.

Rynek w Drohobyczu, na którym zwykle było słychać tylko szwargot żydowski, w połowie lutego zabrzmiał licznymi dzwonekami i janczarami sanek, a hotele pełne były przybyłych gości.

W południe miało się odbyć zgromadzenie w sali kasyna, które na ten dzień ustąpiło swego lokalu.

Tłumy ciekawych, prawie wyłącznie żydów, zaległy tę część rynku, wyrażając głośno swe zapatrywania na poszczególne osobistości.

Dzień był jasny, suchy, mroźny; żydki w watawanych chałatach, w lisiurkach, z szyjami owiniętymi kolorowymi, jaskrawymi szalami, to przechadzali się zwolna, znów stawali grupami, omawiając zresztą przy tej sposobności swoje interesa.

Pierwsze zajęchały sanki wprost ze Schodnicy, zaprężone w czwórkę pięknych i dobranych szpaków, wiozące administratora i dyrektora. W drugich jechali buchalter i sekretarz.

Wśród zebranych rozległ się głuchy szmer niezadowolonia, niektórzy spluwali, jak na widok nieczystego stworzenia, inni mruczeli przekleństwa, rozgoryczeni zawodem i próżnym wysiłkiem.

W jakiś czas z różnych stron rynku zabrzmiały dzwoneki, to zjeżdżała się zaproszona szlachta, która powodowana próżnością i chęcią pochwalenia się zapręgami, z hotelów niezbyt odległych jechała szumnie do kasyna.

Żydzi patrząc na ten zjazd znanych im doskonale pod względem majątkowym obywateli, uśmiechali się, rzucając sobie głośne uwagi krytyczne i dowcipy, wszystkie na tle stosunków pieniężnych.

Gdy sanki wróciły do hoteli i zajazdów, opróżnił się trochę rynek, i tylko wytrwali factorzy zostali na czatach.

W sali kasyna był wielki tłok i gwar; zebrało się około dwudziestu obywateli, którzy głośno się witali, dopytywali o nowiny, ściskali i całowali. Patrząc na nich, czuć było, że to ludzie, którym nikt nie następował na nagniotki, nie trącał łokciami. Ze wszystkich stron dolały zmieszane pytania i odpowiedzi:

— A i sąsiad dobrodziej tutaj?

— Cóż robić? Dostałem list, że idzie o ważną sprawę i przyjechałem.

— U Kalikstów była pyszna zabawa.

— Ubito trzy lisy, dwa sarniaki i osiem zajęcy.

— Nie młóć, bo cena za niska.

— Ciekawa rzecz, co nam powie ten handlarz?

— Musimy być ostrożni, bo teraz każdy drze z nas, chłop, żyd, rząd, sejm...

— To prawda, święta prawda.

Wszedł pan Floryański, wysoki, szczupły, szatyn, lekko szpakowaty, z krótką przyszyżoną brodą, z wyrazem szczerości na ładnej twarzy. Spojrzał na zebranych piękniemi, piwnemi oczyma, lekko zadzwonił i zaczął:

— Dziękuję panom, że raczyliście przyjechać na moje prośby listowne. W roku zeszłym grono kapitali-

stów krajowych postanowiło przemysł kopalniany, t. j. dobywanie nafty i wosku, wziąć w swe ręce. Dotychczas korzystali z tych nieprzebranych bogactw naszego kraju tylko Żydzi i Niemcy; produkta w stanie surowym wywożono zagranicę, a przerobiony nasz produkt kupowaliśmy tutaj za drogie pieniądze. Spółka kopalniana, na której czele mnie postawiono, ma zadanie tę gałąź przemysłu uczynić krajową i do eksploatacyi użyć jedynie sił naszych, narodowych. Tak wielkie i obliczone na wielką skalę przedsiębiorstwo posiada różne gałęzie poboczne, które w myśl przewodnią Spółki kopalnianej powinny służyć do podniesienia dobrobytu krajowego. Spółka zamierza jeszcze w tym roku zbudować fabrykę oczyszczania nafty, by wyprzeć rafinadę amerykańską i rosyjską, następnie pobudować domy mieszkalne dla urzędników i robotników Spółki w Schodnicy. Nie chciałbym używać pośredników w dostarczaniu materiałów nam potrzebnych, sądzę, że i dla panów i dla nas będzie korzystniej, gdy pominiemy wydatki trzeciej ręki, t. j. pośrednika. Jak panom z listów wiadomo, potrzebujemy: drzewa budulcowego, cegły, kamieni, pewnej ilości furmanek do przewozu przyrządów fabrycznych, rur, kotłów, świrdrów i t. d. z kolei. Następnie potrzebujemy pewnej ilości żywności dla robotników. Robotnik źle żywiony i źle płatny robi zawsze lichy. Dotychczas w kopalniach nafty i wosku ziemnego był on w sposób ohydny wyzyskiwany, i nasze krajowe kopalnie pozyskały w całej Europie smutną sławę mordowni robotników. Spółka, przynajmniej w swym zakresie, pragnie to zmienić. Za niską cenę damy pożywny po-

karm robotnikowi i w tym celu, na początek tylko dla 100 ludzi, potrzebujemy dostawy mąki, krup, nabiału, słoniny i mięsa wędzonego. Nie wymagam od panów ustępstw, bo w interesie najgorszą rzeczą są poświęcenia, ale podajcie panowie ceny możliwe, nie przewyższające cen żydowskich składów. Spółka musi mieć jednak pewność dostawy i w tym celu proponuję panom założenie oddzielnych kółek dostawy poszczególnych przedmiotów z wzajemnem poręczeniem dotrzymania umowy. Panowie, tu w naszym kraju drzemią miliony i miliony, które zdołają wzbogacić cały nasz kraj, a Spółka pragnie je wydobyć, lecz do takiej pracy potrzebna jest energia zbiorowa, stańmy się, panowie, zawiązkiem nowej, pomyślniejszej epoki rozwoju ekonomicznego przez wspólną pomoc i pracę. Spółka niema zamiaru ograniczyć się jedynie na Schodnicy, całe Podkarpacie jest prawdopodobnie złożem nafty i wosku, i wraz z wiosną rozpoczniemy poszukiwania ściśle techniczne i naukowe.

Umilkł na chwilę, wtem z głębi sali odezwał się głos:

— Słusznie pan mówi, u mnie po każdej powodzi pływają oczka naftowe, pewno jest nafta.

— I u mnie — odezwał się inny.

Ten i ów uśmiechnął się, rozjaśnił twarz, na myśl, że w jego wsi, na jego polach znajduje się cenny produkt i wzbogaci go bez pracy na krocie, miliony...

— Moi panowie, — mówił dalej administrator, — kazałem sporządzić odbitki litograficzne spisu potrzebnych nam materyałów, furmanek, żywności. Panowie ze-chcecie przejrzeć, złączyć się w kółka, porozumieć

i w tym celu zawieszam nasze zgromadzenie na pół godziny.

Skłonił się i już miał się ku wyjściu do dalszych pokoi, gdy posłyszał:

— Za pozwoleniem, proszę o głos.

Z kąta sali, rozpychając sąsiadów, szedł do stołu środkowego niski, dość otyły szlachcic. Stał, odsapnął głośno, pokręcił zawieszistego wąsa i odchrząknawszy rzekł:

— Pan, dobrodzieju, mówił pięknie i rozumnie, ani słowa, co prawda to prawda, ale zauważyłem dobrodzieju, że ani słowa o cenach, o wyplacie, a to grunt. Kraj, bogactwo krajowe, wspólne siły — to ładne, bardzo ładne rzeczy, ale bierzesz pan, dobrodzieju, odemnie, płacze pan i powiedz cenę. Żyd przyjedzie, to on mi, dobrodzieju, daje nie to zadatek, ale połowę, a czasami i całą należność za towar, który mam mu dostarczyć. Pan żąda gwarancyi, bardzo dobrze, ale co pan powie na nasze żądanie gwarancyi? Kto mnie zapewni, że dowiózłszy drzewo, wydawszy na zrąbanie, oczyszczenie, zwózkę, ja otrzymam należność, no i kiedy? My dobrodzieju nie siedzimy na kapitałach, jak wy, przemysłowcy i handlarze, człowiek musi się dobrze napracować i napocić, zanim grosz dostanie. Tak tedy, panie dobrodzieju, powiedz nam, jaka zaliczka, kiedy wypłata i jaka gwarancya, a wówczas pogadamy.

Widząc zaś uśmiech administratora, zaczerwienił się i dodał:

— Zagranicznego mędrkowania ja tam nie próbo-

wałem, co na myśli, to i na języku. Mówię szczerze, otwarcie i tego wymagam, nic więcej.

Szmer pochwały i zadowolenia przeszedł po zgromadzeniu, i z ciekawością patrzano na pana Floryańskiego, czekając jego odpowiedzi.

— Miło mi że poprzedni mowca tak otwarcie postawił sprawę. Moja wina, że nie poruszyłem tej kwestyi ustnie, zapomniałem dodać, że warunki dostaw są wymienione w litografowanym spisie naszych zapotrzebowań. Dowiedziawszy się jednak, że panom może zależy na zaliczce, a raczej gwarancyi naszej, podwyższam procent dziesiąty od sumy zobowiązanej dostawy do dwudziestu pięciu, a nawet wyżej postąpię na żądanie danego kółka dostawców.

Po jego wyjściu zawrzało w sali jak w ulu. Ci i owi zbliżali się do pana Boreckiego, który przemówił w sprawie cen i warunków, ściskali rękę, prawiąc słowa uznania.

— Bo to, dobrodzieju, prawdę rznać najlepiej — odpowiadał podkręcając wąsa.

Na chwilę nastąpiła cisza, odczytywano bowiem spis i warunki dostaw, następnie ci i owi zaczęli oglądać się za towarzyszami kółek żądanych. Zwolenników zawiązania spółki odpowiedzialnej było jednak bardzo mało. Życie samodzielne, swobodne, niemal nieokiełznane na wsi po szlacheckich dworach, było zbyt silnie odziedziczone i zakorzenione, aby tak łatwo mogło przejść na tory wspólnego i odpowiedzialnością obciążonego działania. Pierwsza zawiązała się spółka dostawy drzewa budulcowego. Każdy bowiem z nich miał kawał lasu, mógł

zatem dotrzymać zobowiązania, a znów ścięcie i zwózka przez chłopski sprzężaj nie przedstawiały trudności. Natomiast inne dostawy wymagały wzajemnego zaufania, prawa kontroli, pewności spełnienia warunków, i minęło pół godziny a zebrani nie doszli do rezultatu.

Wszedł pan Floryański, pytając zgromadzonych o wyniki narady.

Pierwsi zgłosili się panowie ze spółki dostawy materiałów budulcowych. Zaofiarowano więcej drzewa, aniżeli było potrzeba, i dopiero po ustępstwach wzajemnych przyszło do zgody.

— A kółka innych dostaw? — spytał administrator.

Odpowiedziano mu głuchym pomrukiem i dopiero po chwili milezenia poprosił o głos pan Turski, szlachcic wysoki, siwy, trzymający się sztywno, i zwolna mówił:

— My tu, panie, siedzimy z dziada pradziada po dziedzicznych wioskach, majątek przechodzi z ojca na syna, bo dorobkiewiczze nie są łakomi na górską ziemię, więc my wszyscy swojacy. Każdy z nas wie, że u sąsiada jest cegła, młyn, furmanki, nabiał, słonina... jak zwykle w gospodarstwie szlacheckiem, ale każdy z nas szanuje granice i nie dochodzi ani ilości, ani gatunku, ani sposobu, dość jest kłopotu i pracy ze swoim. Żyjemy też zgodnie, po sąsiedzku, jak Bóg przykazał, no i tak chcemy żyć i nadal. Któż kładzie zdrową głowę pod ewangelię? A pan, panie dobrodzieju, wymaga tego od nas... Ktoby z nas dla kilku czy kilkunastu złotych reńskich zarobku chciał zrobić przykrość sąsiadowi, zrywać z nim, nara-

zać się na jakieś pretensye, kontrole, kwasy... A ucho-
waj nas Panie Boże od tego...

Ciche głosy zadowolenia, uznania, zgody odzywały się ze wszystkich stron, czem zachęcony mówca ciągnął dalej:

— Chcesz pan dostaw dla waszej Spółki, a i owszem, dobrodzieju, toż my szanujemy każdy grosz, bo nam ciężko przychodzi, ale zróbże to po ludzku, po naszymu, nie narażaj nas pan na gniewy i procesy. Każdy z nas podejmie się dostawić tego lub owego po takiej a takiej cenie... i dostawi napewno. Czy to my Żydy albo Niemcy, abyśmy kupą chodzili ze strachu? Każdy wie do czego się zobowiązał, dał cyrograf na piśmie i koniec. Pan może na nim poszukiwać pretensyi, ale nie obywatel, nie sąsiad.

Skończył. Rozległy się huczne brawa i półgłośnie okrzyki:

— Jak Boga mego kocham, prawdę powiedział!

— Daj mu Boże zdrowie!

— Dzielny stary!

— Wiwat Turski!

A on gładząc siwą, nastroszoną czuprynę, kłaniał się z uśmiechem na wszystkie strony, rad z pochwał, rad z wrażenia swej mowy.

— Widzę, że inne kółka dostaw — rzekł pan Flo-
ryński z wymuszonym uśmiechem, — dochodzą z tru-
dnością do zgody. Chcąc jednak umożliwić panom do-
stawę żywności, założę sklep spożywczy. Do takiego
sklepu możecie panowie w dowolnym czasie i ilościach
przywozić produktu, ale uprzedzam, że termin wymie-

niony w umowie musi być dotrzymany. Co do innych zapotrzebowań porozumiemy się później, a teraz proszę panów na przekąskę.

Przeszli tłumnie do pokojów sąsiednich, gdzie były suto zastawione stoły. Wśród brzęku talerzy, nożów i widelców, dźwięku kieliszków rozwiązały się usta. Rozmawiano dużo, głośno i dobitnie. Pan Floryański wraz z podwładnymi urzędnikami zapraszał, podawał, nalewał, co ujęło gości, i jaki taki dopytywał się szeptem o jego pochodzenie.

Pan Borecki, który pierwszy przemówił krytykująco na zgromadzeniu, uważał za właściwe uprzejmością zatrzeć swoje wystąpienie, i gdy do niego zbliżył się gospodarz, spytał:

— Mój dobrodzieju, Floryańscy są herbu Ślepowron, czy pan z tych?

— Pieczętuję się tym herbem, chociaż dzisiaj dawne herby nie mają znaczenia.

— O siadajże pan obok mnie, dobrodzieju, toż my powinowaci, jak Boga kocham, moja prababka z Floryańskich Ślepowronów, a to dobrodzieju niespodzianka! Siadajże pan, proszę.

Posłuszny, usiadł obok, nalewając sobie kieliszek wina.

— Traćmy się dobrodzieju... hm, jeśli by wolno było się zapytać, gdzie też pan się rodził?

— W Tarnowskiem.

— No proszę, tam i moja prababka, o bardzo mi miło panie dobrodzieju poznać powinowatego. Powiedzże

proszę, co cię zagnało do handlu, toż rodzina zamożna, *bene nati et possessionati*.

— Dobra wola służenia krajowi. Dawniej wystarczył miecz, a dziś łokieć i miarka góra. Wszędzie żydzi, wypierają nas zewsząd, oni decydują w handlu, przemyśle, kredycie; trzeba przeciwdziałać.

— Hm... hm... niby racya. Ale uważasz pan, co zrobi szlachcic bez żyda, dobrodzieju? Ani kupić, ani sprzedać, i panu radzę, jako powinowały, idź z nimi zgodnie, nie zarzekaj się, nikt tak dobrze nie usłuży jak żyd.

— W ostateczności przyjmę pośrednictwo żydowskie, ale nie pojmuję, jak możecie żyć panowie w takiej zależności.

Zaśmiał się głośno pan Borecki i stukając kieliszkiem o kieliszek, mówił rozweselony:

— A bodajże cię, dobrodzieju, o panie! Daj mi Boże taką zależność na całe życie, toż ja go skrzyczę, potrączę, zwymyślam, a on mi służy za parę groszy faktornego. Iii, żyd to głupstwo, zawsze dojdę z nim do ładu, ot banki, te psiawiary nie odstąpią terminu, dawaj, płać, bierz skąd chcesz, a musisz zapłacić. Ano wypijmy za nasze zdrowie, bardzom rad ze spotkania.

Wypili, i p. Floryański poszedł do innych gości. Wkrótce półszepciem rozeszła się wiadomość, że administrator to szlachcic herbowy, pokrewny pana Boreckiego. Zaczęto na niego spoglądać przyjaźniej, a ten i ów szepnął do sąsiada:

— Widać było po nim, i zaraz poznałem, że on z naszych, urodzony szlachcic.

Zachęcony tem, pan Bilski wstał od stołu, poprowadził administratora do kąta i zaczął się zwierzać:

— Bo to, mój dobrodzieju, mam trzech synów. Najstarszy pomaga mi w gospodarstwie, ale tamtych dwóch trudno mi dopilnować. Dobre chłopaki, jak mi Bóg miły, średni ma bardzo układną rękę do pióra, pisze mi wszystkie listy i podania, ten mógłby być aplikantem u was, a najmłodszy — jedyny do dozoru. Chłopi boją się go jak ognia, bo szelma sprytny i przewidujący. Bywało jak pójdzie w las, albo na łąki, zawsze coś zajmie.

— Ma pan tedy pociechę z synów, — rzekł z lekką ironią.

— Pociecha pociechą, ale i kłopot panie dobrodzieju. Tak prosiłbym pana, jako brata szlachcica, pomóż mi, weź tych dwóch chłopaków do waszej Spółki. Toż potrzebujecie ludzi, pomocników, nastawników, oni przydadzą się także, a lżej mi będzie żyć. Cóż, zgoda?

— Rozpatrzę, chciałbym wpieryw ich zobaczyć, zapytać...

— Jutro przyszłę ich obu... Powiadam panu, uczciwe i dobre chłopaki. Jeden ma lat 23, a drugi 21, no zobaczysz pan sam, ja się nie przechwalam, ale mało tak dobrych dzieci.

— Nic pewnego nie mogę powiedzieć, muszę wpieryw poznać ich kwalifikacye.

— Kwalifikacye? Ano, średni skończył czwartą gimnazjalną, a młodszy trzecią realną, zresztą domowa edukacya, a to grunt.

W czasie przyjęcia gości miał pan Floryński spo-

sobność pomówić na osobności z dyrektorem i buchalterem Spółki.

— Co panowie sądzą o tych dostawach?

— Drzewo będzie, to pewna, trochę trzeba będzie przebrakować może, ale dostawią — odpowiedział dyrektor.

— A reszta dostaw? Czyż musimy koniecznie brać żydów?

— Sprobujmy z nimi panie administratorze, — odezwał się buchalter, — na przyjęcie dostaw żydowskich mamy czas.

— I ja sądzę, że na razie należy uleść ich niezadadności i przyjąć poszczególne zobowiązania. Zawsze to swoi i lepiej z nimi, aniżeli z żydami.

Po skończonem śniadaniu i przejściu do sali głównej rozpoczęto spis dostaw poszczególnych obywateli i wraz nastąpiła wypłata zaliczek odpowiednich deklaracyom poczynionym.

Na zakończenie przemówił jeszcze raz pan Floryński.

— Usilnie prosiłbym panów o ściśle wykonanie umów, które zaciśnie nasz wzajemny stosunek i pozwoli się obliczyć z naszymi siłami. Społeczeństwa europejskie dzięki rozrostowi spółek i solidarności wypróbowanej wzrastają w siły i potęgę ekonomiczną. My jesteśmy w trudniejszych warunkach, gdyż pozwoliliśmy żydom opanować handel i przemysł. Oni idą zwartą masą na wzór osławionej „*Aliance israelite*“, my możemy tylko i jedynie wspólnymi siłami, zjednoczeniem przeciwdziałać temu naporowi wrogiemu. Panowie jesteście czołem

narodu, jego inteligencją, na was zwrócone są oczy wszystkich, wy dajecie przykład innym warstwom społecznym, a gdy raz poczujemy potęgę działania solidarnego, niema takiej siły, któraby nas złamać mogła. Miliony są tutaj w ziemi, a bodaj czy nie większe miliony leżą przytlumione naszą beczynnością i biernością.

Szlachta wychodziła tłumnie i spieszenie z kasyna, gdyż przed wyjazdem wielu miało pozalać różne sprawunki. Wśród odchodzących dały się słyszeć głośne pochwały:

— Dzielny człowiek!

— Taki się nie da, bo ma kapitały.

— Dobrze mówił!

Wszystkich jednak przygłuszył głos pana Boreckiego:

— Zaraz poznać człowieka, co szlachcie, to szlachcie!

Tegoż wieczora dowiedzieli się żydzi o przebiegu i wyniku zgromadzenia.

Pan Krausberg, słuchając na zwykłej wieczornej giełdzie relacyi o panu Floryańskim, uśmiechnął się ironicznie, a gładząc brodę, rzekł do swego towarzysza:

— My możemy spać spokojnie, z nimi nie zajedzie on daleko, już my go dogonimy.

Słuchacze kiwnęli głowami potakująco i powtórzyli uśmiechnięci.

— Już my go dogonimy!

XIX.

Schodnica, a zwłaszcza dwór od czasu zamieszkania pana Floryańskiego ożywiły się znacznie. Przez wieś przeciągały nieustannie chłopskie furmanki dostawiające drzewo budulcowe, cegłę, kamienie, rozlegały się krzyki dozorców, przebiegali kontrolerzy z miejsca na miejsce, doglądali porządku starsi urzędnicy. Dwór w Schodnicy, długi, parterowy budynek, z gankiem na dwóch słupach, mieszczący również tymczasowe biuro Spółki kopalnia-nej obok prywatnego mieszkania administratora, roił się od wozów i ludzi. Zgłaszali się przedsiębiorcy, cieśle, mularze; przesuwali się liczni urzędnicy po rozporządzenia, a pan Floryański patrzył na ten ruch zadowolony, ciesząc się, że to on powołał do życia i czynu drze-miące beczynnienie siły.

Dostawione drzewo wprawdzie nie zawsze trzymało miarę przepisaną, bywało też czasem za krótkie, ale bądź co bądź kółko dopełniało swych zobowiązań. Natomiast napływały nieustanne skargi na brak przy-rzeczonych podwód do kolei i utyskiwania na liche ko-nie, łamiące się sanie i wozy.

Pan Floryański, korzystając z bytności pana Turkiego, przybyłego po odbiór należnych mu pieniędzy, kazał go prosić do swego gabinetu, pokoju obszernego, którego umeblowanie składało się z fotelików i kozetki obitych skórą brązową, z wielkiego dywana i biurka dębowego.

— Prosiłem pana, aby zasięgnąć jego rady w sprawie dla mnie drażliwej.

— O co idzie?

— Pan zna przecież warunki umowy o podwody do kolei.

— Czy nie przysłałem? I mam nawet pewne pretensye, nie tyle do pana, ile do nadzorców pańskich, — mówił ożywiając się, — bo to proszę pana ładują na sanie Bóg wie jaki ładunek, marnują mi konie, łamią się sanie, a inne podwody próżne idą prawie.

— Właśnie o tych furmankach chciałem mówić. Panowie przysyłacie sprzężaj bardzo liche, lada ciężar, konie ustają, sanie się łamią, a jednak wyraźnie stoi w umowie, że para koni ma dowieźć trzydzieści centnarów sanna drogą.

— Ależ nie po takich wertepach jak do Schodnicy. Zważ pan, że tu są strome góry, a nasi ludzie i konie są nieprzyzwyczajeni do takich ciężarów.

— Obowiązek jest obowiązkiem, a konie są bardzo marne, same wywłoki.

— Trudnoż posyłać panu cugowe — uśmiechnął się z ironią, — i tak zdaję na łaskę i niełaskę parobka cały sprzężaj, nie mogę wybierać co najlepsze konie.

— Jednak podpisaliście zobowiązanie.

— No zapewne, w gorączce ukończenia interesu, ale policz pan, gdybyśmy wysyłali dobry sprzężaj, musielibyśmy dać dozorcę osobnego, no a koszt utrzymania koni, człowieka i dozorecy zjadłby cały dochód. Nie starczyłaby skórka za wyprawę.

— Ale ja takich furmanek nie mogę użyć do przewozu ciężarów.

— To rzecz pana i tych, którzy się zobowiązali, cóż ja na to poradzę? Odpowiednią ilość podwód wysłałem i jestem zwolniony z mego zobowiązania.

— Sądziłem, że pan zechcesz wpłynąć na swych sąsiadów.

— Nie panie, a po cóż mi się mieszać w cudze sprawy? Ja człowiek spokojny i chcę żyć w zgodzie z moimi sąsiadami.

Na tem skończyła się konferencya, a gdy nadchodząca wiosna groziła roztopami i uniemożliwieniem dostawy, pan Floryński zwrócił się do chłopów. Ci jednak, chcąc korzystać z chwili, stawiali mimo słabego sprzężaju tak wygórowane warunki, że widział się zmuszony udać do furmanów żydów i przy pomocy pośrednika znalazł chętnych i odpowiedzialnych dostawców.

Giełda pod apteką dowiedziała się o fakcie spełnionym z wielkiem zadowoleniem, a pan Krausberg wydał dumnie usta, mówiąc:

— Ja mówiłem, że my go dogonimy, no i on sam przyszedł do nas.

Z wiosną rozpoczęła się gorączkowa praca na trytoryum Spółki kopalnianej. Na miejscach wyznaczonych przez inżyniera górniczego ustawiono cztery wieże

kanadyjskie, które wierciły ziemię poszukując oleju skalnego. Opodal stały olbrzymie, białe malowane rezerwoary nafty surowej, które na tle czarnej, wiosennej ziemi wyglądały jak wielkie pęcherze na nogach potwora, którego ręce poruszały z chrzęstem i zgrzytem świdry wież kanadyjskich. W samej Schodnicy, na gruntach świeżo zakupionych, wrzała praca około budowy domów mieszkalnych dla urzędników i biur Spółki kopalnianej. A w dolinie Tyśmienicy, tuż koło plantu kolei, wprost budującej się fabryki cerezyny, pod górą wiodącą do Drohobycza budowano fabrykę rafinerii nafty.

Z powodu robót w polu dostawa cegły i kamienia została wstrzymana, i w takiej chwili w biurze Spółki zjawił się pan Mroziecki, proponując podjęcia się dostawy potrzebnych materiałów.

Wyświeżony, uśmiechnięty, pełen ukłonów i słów uprzejmych, otrzymał dostawę cegły i kamienia do fabryki rafinerii złożywszy żadaną kaucję.

Pan Krausberg, który był dostawcą fabryki cerezyny, dowiedziawszy się o nowem przedsiębiorstwie pana Mrozieckiego, starał się usilnie o widzenie się z nim w miejscu odosobnionem.

— Proszę pana — przemówił tajemniczo — po co my tutejsi mamy robić konkurencyę. Pan dostawia Floryańskiemu, a ja fabryce cerezyny, my możemy razem zrobić ten interes.

-- W jaki sposób?

— Nu, sposób się znajdzie. Pan może kazać skrócić do mojej fabryki furom, a oni kwit z rafinerii mogą

także dostać. Ja płacę gotówką połowę należności. Co, dobrze? Po co my swoi mamy żałować obcego?

— Nie, to jest niemożliwe, tam jest zawsze dozorca i on wydaje kwity.

— Ja go znam, to jest młody Bilski, z takim można dać sobie radę. Chce pan, ja go wyprawię do Drohobycza, młody jest zawsze głodny, on już pojedzie.

— Nie mów pan, ja sam to zrobię.. Pan zapłaci gotówką?

— Nu, czy pan mnie nie zna? Krausberg zawsze płaci gotówką. Dziś dowieźli, dziś zapłaci. My przecież swoi.

Młody pan Bilski, chłopak wysoki, niezgrabny z przydługimi rękami, w obcisłej marynarce, w butach palonych, stał w bramie ogrodzenia budującej się fabryki, jak bocian na czatach, wypatrując wężkiemi niebieskimi oczyma nadjeżdżające wozy z cegłą.

Manipulacya przyjęcia materiału odbywała się w ten sposób, że przy każdym transporcie z cegielni oddalonej o dobre pół mili od fabryki był dozorca ze strony p. Mrozieckiego, który stawał obok p. Bilskiego, wspólnie liczyli wjeżdżające fury, i następnie p. Bilski wręczał kwity Spółki kopalnianej w ręce dozorca. Swoją urzęd kontrolera spełniał p. Bilski sumiennie, a w poczuciu nowej godności wyzwał swą energię, hałasując i krzycząc na chłopów, wskazując donośnym głosem miejsca, gdzie należało składać cegłę. Pan Mroziecki w ostatnich dniach zajeżdżał często do budującej się fabryki, pod pozorem kontroli cegły, której tysiąc sztuk płacono wówczas dwadzieścia guldenów. Wkrótce za-

przyjaźnił się z prostodusznym chłopakiem i zaprosił na śniadanie do handelku w Drohobyczu.

— Nie mogę jechać, a nuż nadjadą fury z cegłą, kto policzy? kto skontroluje?

— Teraz południe, chłopci popasają konie, wpadniemy do miasta na chwilkę i wrócimy zaraz.

— Nie, nie mogę.

— Jeśli spotkamy w drodze, każę dozorca wstrzymać transport do naszego powrotu. Od pierwszego spotkania uczulem dziwną przyjaźń dla pana, i szczerze mi żał, że pan taki wykształcony, z porządnego domu, po całych dniach ma do czynienia z chłopstwem.

Zarumienił się młodzieniec z usłyszanych pochwał i rzekł miękko:

— Trudno panie, takie czasy nastaly, że ja, Bilski herbu Topór, muszę służyć. No, ale to chwilowo panie, osiadę później na wsi, a taka praktyka przyda się w gospodarstwie, panie.

— Phi, co za praktyka!? Dla szlachcica koń, strzelba i wino, to praktyka, reszta przyjdzie sama z siebie. No, jedźmy.

— Hm... a jeśli przyjedzie Floryański, albo dyrektor, i nie zastaną mnie na stanowisku.

— Chyba zjeść panu wolno, trudno stać o głódzie cały dzień.

— Hm... to prawda, głodny jestem jak pies.

— Więc jedźmy.

Trzy razy tygodniowo zajeżdżał p. Mroziecki do fabryki, zabierając p. Bilskiego na śniadanie, a w czasie jego nieobecności poinformowany dozorca cały transport

cegieł skierowywał do naprzeciw leżącej fabryki „Krausberg, Lindeman und Stillbach“. Pan Bilski powróciwszy obliczał puste wozy i kwity wręczał dozorecy meldującemu mu pokornie ilość furmanek.

Panowie Lejzor i Mojżesz Krausberg uśmiechali się, wielce zadowoleni z tego pobocznego zarobku, gdyż swoim spółnikom liczyli normalną cenę cegły, bo czyż nie było to osobistą zasługą p. Lejzora, że za tysiąc cegieł potrafił zapłacić tylko dziesięć guldenów?

Przez jakiś czas udawały się te podwójne rachunki, i właśnie p. Bilski otrzymał bilecik od p. Mrozieckiego, zapraszając go na śniadanie i zobaczenie przedziwnej odtylcówki bijącej celnie na sto kroków, już czatował na pierwszą lepszą furmankę, by pojechać do Drohobycza, gdy zbliżył się robotnik fabryczny.

— Proszę panicza, — zaczął pokornie.

— Czego chcesz?

— Bo to chciałem powiedzieć, że jak panicza nie ma w bramie, to cegła idzie tam — i wskazał na fabrykę cerezyny po drugiej stronie gościńca.

— Kłamiesz, nie może być — zawołał, zaczerwieniwszy się w poczuciu swej winy.

— Aby mnie tak Bóg skarał, jeśli kłamię, mówię po sprawiedliwości. Panicz tylko do miasta, a fury zaraz na prawo.

— No, przekonam się dzisiaj, zasiądę i złapię, lecz jeśli skłamałeś, popamiętasz mnie ruski miesiąc.

— Niech i tak będzie.

Ukryty za parkanem, oczekiwał pan Bilski niecierpliwie transportu. Nareszcie na górze, na gościńcu z Dro-

hobycza z pomiędzy zielonych, rozłożystych jarzębin przydrożnych wysunęła się furmanka pierwsza z cegłą. Kontroler drżał z niecierpliwości i oczu nie odwracał od wozów wolno zjeżdżających. Transport skręcił istotnie na prawo do fabryki cerezyny. Jak rozjuszony dzik, wypadł młody, silny p. Bilski, sadził przez drogę długimi nogami, dopadł dozorcę i uderzył silnie w twarz, kopiąc leżącego nogami i wrzeszcząc z całych sił:

— A ty złodzieju, psubracie, chamie... Odciągnęli go chłopci na stronę, a on zapieniony, wołał do podnoszącego się dozorcę:

— To psi synu tam wozisz cegłę, a bierzesz moje kwity! Zginiesz w kryminale, zaraz powiem panu Mrozieckiemu o twem złodziejstwie.

Dozorca porządkując ubranie, odpowiedział flegmatycznie:

— Pan Mroziecki sam kazał mi dostawiać cegłę do Krausberga, jego pan pyta, nie mnie.

— Kłamiesz!

— Jak mi Boga przy skonaniu, tak mówię prawdę, — odpowiedział w obawie osobistej odpowiedzialności.

— Ile razy woziliście do Krausberga? — spytał woźniców spokojnie.

— Jak czasem, bywało dwa, trzy razy na tydzień.

— I kiedy? O której porze?

— Różnie, alboż ja pamiętam?

— Dziś transportów nie przyjmuję — zawołał do dozorcę i poszedł ku swej bramie.

Co teraz zrobić, płała mu się w głowie; z jego

niedbalstwa zaszła tu kradzież cegły, to fakt, jeździł do miasta, a w tym czasie okradano fabrykę Spółki. A ten Mroziecki? Taki porządny, gościnnie, taki serdeczny i wylany, a złodziej, jeśli dozorca mówił prawdę? Chyba tak, bo śmiało przy świadkach powoływał się na rozkaz otrzymany. A, jakież to lizus, szachraj, złodziej z tego Mrozieckiego! Jego prawa natura oburzyła się na widok tej podlej przebiegłości, dreszcz wstępu przeszedł po nim na myśl, że znów spotka tego słodkiego, uśmiechniętego człowieka. Po krótkiej rozwadze postanowił całą rzecz odkryć panu Floryańskiemu i podziękować za miejsce kontrolera, które spełniał tak niedbale, a przez wrodzoną drażliwość nie chciał narazić się na wymówki i naganą. Przysiadł się do spotkanej furmanki i pojechał wprost do Schodnicy.

— Proszę pana administratora, — mówił zmieszany niepewnym głosem wszedłszy do gabinetu, — ja nie mogę już być kontrolerem...

— Nie? A dlaczego?

— Powiem całą prawdę...

— Słucham.

— Przyjmowałem sumiennie transporty cegieł i po obliczeniu dawałem kwitki, aż tu przyjeżdża pan Mroziecki raz i drugi raz i prosi na śniadanie do Drohobycza.

— Pan poszedłeś?

— Byłem głodny i przyjąłem zaprosiny. Aż dziś widzę, że transport cegieł jedzie wprost do fabryki cerezyny, a bywało że przyjeżdżam z miasta, licząc puste

wozy i dają kwitki, bo nie myślałem, żeby pan Mroziecki był złodziejem.

— A skądże wiadomość, że to on robił? — spytał zaciekawiony.

— Dozorca mówił, że dostawia cegłę do tamtej fabryki z polecenia Mrozieckiego, a chłopci mówili, że nie pierwszy raz. W dodatku miałem dziś znów zaproszenie Mrozieckiego na ten czas.

— Hm... zbadam sam całą sprawę.

— Proszę pana administratora powiedziałem całą prawdę, jestem Bilski, a żaden Bilski nie był jeszcze wmieszany w sprawy złodziejskie.

— Dobrze, już dobrze, dam znać po zbadaniu.

— Może jutro panie administratorze, chciałbym już być w domu, tam niema przynajmniej takich chytrych Mrozieckich.

— Może i jutro.

Po jego wyjściu pan Floryański uśmiechnął się nad dobroduszną i poczciwością chłopca. Że Mroziecki zrobił jakieś szelmostwo było widoczne, że młody Bilski jest uczciwy, nie ulega żadnej wątpliwości. I z jaką dumą mówił on o swoim nazwisku rodowym! Dziwna mieszanina zalet i błędów u tej szlachty podkarpackiej... uczciwi, uczuciowi, z wielkiem poczuciem honoru, a równocześnie niesłowni i niedbali w interesach, lekceważący zobowiązania i wykręcający się z umowy sposobami godnymi pokątnych kauzyperdów. Żaden z nich nie dotrzymał ściśle umowy co do furmanek, ilości i gatunku cegły i kamienia, a już co do nabiału i produktów, to ani jednego transportu nie było, aby zarządza-

jący sklepem spożywczym nie zaniósł skargi na stęchłe krupy, zjełczałą słoninę, przegniłe kartofle, zgorzkniałe masło, nieczystą mąkę, i znów p. Floryański był zmuszony patrzeć przez palce, że sklep zaopatruje się w produkt przy pomocy dostaw żydowskich. Żydzi dostawali ten sam produkt kupiony taniej u tejsze szlachty, ale umieli go dopilnować osobiście, niemal wyniańczyć, i ustrzedz od niedbalstwa i niechlujstwa służby folwarcznej.

Zanim słońce zaszło, zaturkotała bryczka p. Mrozieckiego przed dworem w Schodnicy. Przybyłego przyjął zimno pan Floryański nie prosząc siedzieć:

— Ach, panie administratorze, tu zaszło proste nieporozumienie ze strony p. Bilskiego. Jestem również dostawcą cegły fabryki Krausberga i od czasu do czasu wysyłam transport cegły, gdy dowieziono dosyć dla pana...

— Cóż dalej?

— Dziś pan Bilski napadł na dozorcę fur, obił go, rzucił na ziemię, skopał nogami, chłop chce skarżyć, a wszystko najniesłuszniej, bo ten transport był przeznaczony dla fabryki Krausberga.

Po chwili milczenia, rzekł pan Floryański:

— Panie Mroziecki, stosunki pomiędzy mną a panem skończone. Nie chcę dochodzić popełnionego nadużycia, ale od dziś nie znam pana.

— A moja kaucya? — jęknął pan Mroziecki.

— Kaucyę może pan jutro odebrać, a że w umowie płaci pan sto guldenów za zerwanie kontraktu, za-

płaci pan tę sumę na rzecz kasy bratniej pomocy naszych robotników.

— Czyż ja zrywam, panie administratorze? — jęknął pan Mroziecki.

— Ani słowa więcej, skończyłem.

Pan Bilski zamiast oczekiwanego uwolnienia ze służby, otrzymał miejsce w kontroli składów węgla kamiennego i materiałów budulcowych.

Tacy panowie Mrozieccy byli dość licznie reprezentowani w Spółce kopalnianej, wydatki same przez się olbrzymie przy przedsiębiorstwie na taką skalę rozpoczętem, już w maju przerosły sumę zakładową Spółki kopalnianej, pozostawał jednak niezachwiany kredyt w bankach, i pan Floryński na brak pieniędzy nie mógł się nigdy uskarżyć. Włożył milion, zyska miliony!

XX.

Nareszcie w początkach czerwca fabryka cerezyny, pod firmą: Krausberg, Lindeman und Stillbach, była o tyle gotową, że można było rozpocząć produkcję, jakkolwiek z pewnemi niedogodnościami.

Ale panowie spółkowi naglili bardzo do pośpiechu, by kapitał włożony w budynek zaczął procentować. Wszystkie trzy rodziny spółników znalazły się w oznaczonej godzinie puszczenia w ruch fabryki, na obszernem podwórzu zarzuconem jeszcze ceglami, gliną, wapnem, z otwartemi dołami. Z obawy powalania, panie ugięły dość wysoko jedwabne suknie, z pod których wyglądały brudne halki, brudniejsze spódnice, kolorowe pończochy i rozchłapane trzewiki.

Dyrektor fabryki, pan Winter, Niemiec z długą twarzą, ryżawym zarostem, tłómaczył właścicielom i ich rodzinom rozkład fabrycznego budynku. Była to długa, jednopiętrowa, murowana szopa, przedzielona na kilka części, z dachem blaszanym, z licznymi otworami dla ulatniania gazów.

W głębi podwórza, niedaleko niedokończonych jeszcze składów, robotnicy żydzi zajęci byli ważeniem surowego wosku ziemnego.

— Co oni tam sami robią panie dyrektorze? — spytał pan Lindeman starszy.

— Przy nich jest magazynier, ale oczy własne najlepsze, chodźmy bliżej.

Podeszli wszyscy, dyrektor wziął w rękę wosk i rzekł:

— O, dużo wody, oczyszczenie potrwa dość długo, bo najpierw musi być wosk oczyszczony z brudu i o ile można bez wody... Ile zważyliście? — zwrócił się do robotników.

— Dziesięć centnarów panie dyrektorze.

— To dosyć... Może panowie zechcecie przejść do działu przetapiania i oczyszczania wosku.

Była to przestrzeń około dziesięciu metrów, zamknięta murami fabryki. W środku stały dwa wielkie, kwadratowe, spajane z blachy żelaznej kotły, do których, mniej więcej na wysokość pierwszego piętra, prowadziły schodki drewniane, umożliwiające dostanie się na platformę okalającą kotły, oddzieloną od tychże niską baryerą. Kotły były ogrzewane parą przeprowadzoną rurami węzowatemi.

— Tu oczyszcza się wosk surowy, — mówił dyrektor stając przed niską baryerą — i ogrzany do 120° ciepła, przepływa rurami do oddziału odkwaszającego, tam za ścianą.

Panna Ester, nachyliwszy się nad kotłem, patrzała

na złożone tam dziesięć centnarów wosku. Pani Krausberg, słysząc cyfrę stopni ciepła, zawołała:

— Esterko, nie nachylaj się, jeszcze spadniesz!

— Nic mi nie będzie — odpowiedziała obojętnie.

— Teraz nic, — zaśmiał się dyrektor, — lekkie stłuczenie i koniec, ale przy stu dwudziestu stopniach śmierć byłaby natychmiastową.

— Chodźmy z tego miejsca, tu niebezpiecznie, — mówiła z obawą pani Lindeman.

Pan Krausberg trąc krótką brodę, rzekł:

— Panie dyrektorze, kiedy zaczynamy robić ce-rezynę?

— Zaraz, — i zawołał do robotnika żyda w dole, — idź do maszynisty niech puszcza parę.

Właśnie wychodzili goście, gdy rozległ się ostry gwizd parowej maszyny, wzdrygnęły się kobiety i z pewną obawą spoglądały na budynek. Na dane hasło ruszyli się robotnicy, niosąc długie pręty żelazne, spłaszczony w jednym końcu wiosłowato, i ciężko szli po schodkach na górę wraz z dozorcą żydem.

Dyrektor z Niemcem pomocnikiem tłumaczyli dozorcę po niemiecku, że robotnicy mają nieustannie mieszać roztopiony wosk; ustawiali chłopów, którym polecenia dyrektora tłumaczył dozorca.

— Ja tu zajdę, albo mój pomocnik, i powiemy kiedy czas przestać mieszać, bo wosk gotujący musi być bez piany i pęcherzyków, — mówił dyrektor schodząc po schodkach, — ale mieszać trzeba nieustannie, a pilnuj, aby nie uciekli od kotła, gdy zaczną się ulatniać gazy.

Na te słowa, żyd dozorca przybladł i szybko za-
pytał:

— Panie dyrektorze, czy te gazy duszą? czy one
są nieprzyjemne?

— No, nie pachną, — zaśmiał się dyrektor —
a udusić, nie uduszą, bo mają ujście przez kominy.

— Panie dyrektorze, — zawołał dozorca, — czy
z nich jest choroba?

— To zależy od wytrzymałości.

— Ja bardzo niewytrzymały panie dyrektorze, ja
się boję tu zostać...

— Przecież sam chciałeś...

— To dawniej, ale teraz nie mogę.

— No zostań, nic złego się nie stanie, chociaż roz-
boli cię głowa.

— Ja zostanę tylko ten jeden raz, a wolno mi
wychodzić na powietrze?

— Tak, na krótką chwilę...

Dozorca zastraszony stanął blisko okna niedaleko
schodków i pełen obawy patrzył na kocioł.

— Już topnieje! — zawołał jeden z robotników.

— To wy mieszajcie — krzyknął nastawnik.

— Przyjdź i zobacz, toż ledwie zaczyna.

— Ja muszę tu zostać, tak mi kazał dyrektor, ja
nie mogę tam pójść.

— To nie gadaj, kiedy nie widzisz — odpowie-
dział robotnik.

Zwolna zaczęły się podnosić leciutkie opary z głębi
kotła, i silna przenikająca woń nafty rozeszła się w po-
wietrzu.

Robotnicy próbowali poruszyć wiesłowatymi prętami, ale główna masa środkowa nieroztopiona stawiała silny opór.

— Wy ruszajcie, wołał dozorca.

— Ruszże, kiedy wosk stoi.

W ciągu kwadransa rozgrzany kocioł szybko roztopił wosk, i coraz większe kłęby pary zaczęły się wzbijać w górę. Robotnicy kaszlali często, spluwali i kleli głośno:

— Do dyabła z taką robotą!

— Tylko Niemiec mógł wymyśleć takie utrapienie.

— Ależ dusi szelma!

Dozorca, o ile mógł, cisnął głowę do szyby okna, zamkniętego ze względu, by przewiewem dolnym nie uchodziły gazy, lecz wznosiły się w górę. Dozorca silnie zakaszlał a pod parciem głowy szyba wyleciała z brzękiem. Żyd wystawił głowę oddychając czystym powietrzem, odwrócił się po chwili, gdy gazy cisnęły się do otworu okna. Owionęły go całego. Kaszłąc, jęcząc, stękając, zbiegł po schodach rozbudzając głośny śmiech robotników. Otwierając drzwi, natknął się na dyrektora, który zdziwiony zawołał:

— A ty gdzie idziesz?

— Puść mnie pan, panie dyrektorze, ja tu zdrowie stracę, ja nie mogę teraz, ja przyjdę później...

— Ależ to dopiero początek! Patrz, robotnicy przy kotle pracują i nic im nie jest.

— Taki chłop ma prostą, grubą naturę, a ja człowiek delikatny, ja nie mogę.

— Powiedzże przynajmniej robotnikom, aby miesza-
li, ja znajdę innego dozorcę.

Wezwany spełnił to polecenie, krzyżąc donośnie.

— Dobrze, już dobrze, wiemy o tem — odpowiedziano mu.

— Ty uciekaj, — zaśmiał się drugi wśród kaszlu. Dyrektor wyszedł wraz z dozorcą i tuż spotkali trzech spółników właścicieli, do których rzekł pan Winter:

— Daliście mi panowie tego tu dozorcę, i przy pierwszych głupich gazach ucieka.

— Co to takiego? — zawołali niemal równocześnie.

— Tam dusi, ja od urodzenia boję się duszności, ja mam delikatne zdrowie — bronił się dozorca.

— Nu, panie dyrektorze, jak tam dusi, to on nie może wytrzymać, — odezwał się pan Stillbach, — ja uciekłbym także.

— Ależ robotnicy przy kotle wytrzymują — mówił gniewnie.

— Co taki gruby chłop, on napije się wódki i jest zdrów, — objaśnił p. Lindeman.

— Panie dyrektorze, — dodał pan Krausberg — tam gdzie dusi daj pan chłopca na nastawnika.

— Co ja tu zrobię, — zawołał dyrektor, — z chłopem nie mogę się porozumieć, i głupstwo przy topieniu, ale tak przy wlewaniu kwasu siarkowego — wskazał na dalszą część budynku — tam robotnik najlepszy za-
ledwie czterdzieści minut wytrzyma, skąd wezmę dozorców?

— Co? Czterdzieści minut! — rzekł zdziwiony p. Stillbach, — tam żaden z naszych nie pójdzie.

— Ja panu poradzę, — odezwał się pan Krausberg — ja mam w Borysławiu jednego chłopca, on służył w wojsku i umie trochę po niemiecku, ja go panu przyszlę, on będzie dobry na dozorcę.

— Przyszlij pan.

— Panie dyrektorze, — mówił zbliżając się młody pan Lindeman, — panie się pytają, kiedy będzie cerezyna?

— Jutro wieczorem.

— Tak długo? — zdziwił się p. Stillbach, — ja myślałem że dziś zobaczymy.

— Żle pan myślał, — oburknął gniewnie dyrektor, — sam proces z kwasem potrwa osiem godzin, a potem „upiększenie“ cerezyny, filtrowanie i ochłodzenie. Jakim więc sposobem dzisiaj?

— Niech pan dyrektor się nie gniewa, ja tylko sobie tak myślałem.

— To my nie mamy tu co robić, — rzekł p. Krausberg — ja jadę do Borysławia i przyszlę tego chłopca panu dyrektorowi.

— I my pojedziemy — dodali spółnicy.

Pożegnali dyrektora i szli w stronę pań, którym towarzyszyli młody pan Lindeman i Mojżesz Krausberg.

— My jedziemy do Borysławia, — mówił p. Lindeman, — a wy co robicie?

— Ja jadę do domu — odpowiedziała żona.

— I my, — odezwały się inne.

Pan Lindeman spojrział porozumiewawczo na żonę, potem na syna i pannę Krausberg, odchrząknął i rzekł:

— Początek fabryki obchodził Lejzor, na otwarcie naszej fabryki będzie kolacya u nas, u Lindemanów, nu, a kiedy u ciebie Stillbach?

— U mnie? Niech będzie przy pierwszym transporcie naszej cerezyny.

— To dobrze powiedziane — pochwalił p. Krausberg.

— Tak ja proszę moich spółników z ich familią dzisiaj na moją kolacyę — uśmiechnął się wdzięcznie p. Lindeman.

— My możemy przyjść, — rzekła pani Krausberg z godnością damy.

— I my przyjdziemy — pospieszyła pani Stillbach.

Z głębi podwórza fabrycznego doleciał ich głos dyrektora. Młody p. Lindeman zwrócił się do ojca:

— A możeby zaprosić dyrektora?

— On nam niepotrzebny, — zawyrokował ojciec, — on bierze swoje 3.000 rocznie, niech sam kupi sobie piwa.

Już wychodzili z obrębu fabryki i mieli się na oczekujące ich wozy, gdy młody p. Lindeman zaproponował paniom:

— Co my mamy pod górę jechać, my przejdźmy się trochę przy pięknej pogodzie i pod zielonemi drzewami.

— Ja nie pójdę — odpowiedziała panna Ester, —

co innego w ogrodach publicznych, tam bardzo przyjemnie.

Starsze panie zgodziły się w zupełności na to zdanie i całe towarzystwo pojechało do Drohobycza, a spólnicy do Borysławia.

XXI.

W domu własnym pana Lindemana, parterowym, zebrali się zaproszeni goście, których zaraz na wstępie zaproszono na kolację, a po skończeniu tejże rozdzieliło się całe towarzystwo, jak zwykle, na dwie części.

Panie i młodzi przeszli do t. zw. salonu, pokoju obszernego, umeblowanego banalnie, z pozornym szychem hotelów. Państwo Lindeman cieszyli się licznym potomstwem, z których każde odznaczało się w oczach rodziców nadzwyczajnym talentem.

Syn młodszy grał znakomicie na skrzypcach, jedna z córek na fortepianie, druga deklamowała. Rozpoczęły się produkcje talentów pojedyncze i zbiorowe, a panie Krausberg i Stillbach nie zaniedbały pochwalić się talentami swoich dzieci. Wzajemnie sobie świadczone pochwały, oklaski, wybuchy radości i dumy napęłniły salon po brzegi. Matki i koncertanci zabawiali się bardzo wesoło. W drugim pokoju zasiedli spółnicy przy kawie, rozmawiając o interesach bieżących.

— Co ty Lejzor myślisz o naszym dyrektorze? — spytał pan Stillbach.

— Jemu dobrze, on bez żadnego ryzyka bierze 3.000 guldenów rocznie, — westchnął.

— Ja chcę wyszukać kogoś z naszych i dać mu do nauki, — mówił p. Lindeman, — mój syn Moryc powiada, że to nie jest wielka sztuka z tą cerezyną. Nasz będzie nam robił taniej.

— Twoja myśl niczego, — pochwalił p. Stillbach, — ale taki praktyk może nam popsuć wosk i złą robić cerezynę.

— Zawsze Niemcy ją kupią, — uśmiechnął się p. Krausberg, — bo nie mamy konkurentów. Kto w Drohobyczu włoży w jedną fabrykę 58.900 fl., nu kto?

Po chwili rzekł p. Lindeman prawie szeptem:

— Floryański!

Wszyscy westchnęli z żalnością. Spółka kopalniana i jej reprezentant p. Floryański od chwili wystąpienia swego stawali się coraz dokuczliwszą bolączką kupców i przemysłowców Drohobyckich. Dotychczas cały handel naftą i woskiem był jedynie w ręku żydów, oni stanowili o cenie i jakości obu produktów, z nimi tylko liczyli się fabrykanci niemieccy. Ich pochoptność i łatwość w przeprowadzeniu zmywy uczyniła ich panami nie tylko rynku zbytu, ale i tu na miejscu wszyscy właściciele gruntów naftodajnych byli zawiśli od nich, również robotnicy i drobni przedsiębiorcy pobocznych gałęzi, związanych z poszukiwaniem produktów kopalnianych. Póki do interesu brali się ludzie niezamożni, w rodzaju Bratkowskiego, usunięcie ich nie przedstawiało wielkich trudności. Inaczej przedstawiała się walka konkurencyjna z człowiekiem rozporządzającym wielkimi kapitałami.

— Aby on przepadł — mruknął chmurny p. Krausberg.

— Jak on ma przepaść, — mówił smutnym głosem p. Lindeman, — kiedy nafta mu płynie jak woda. Dwa rezerwoary ma już pełne, a wierci nowe szyby. On nas zabije, jego słowo zaważy u Niemców.

— A jak puści fabrykę rafinerii, będzie jeszcze gorzej, — westchnął p. Stillbach, — bo Niemcy zamkną swoje rafinerie, i gdzie pójdzie nasz towar? On nie jest głupi, on da nam niską cenę.

Zamyślili się wszyscy trzej nad smutną przyszłością. Pan Krausberg opierając głowę na łokciu rzekł:

— Ja jego liczyłem. On wydał dotychczas 700.000 guldenów, a może więcej. Nu, każda studnia się wyczerpie, i na niego przyjdzie koniec. My czekajmy.

— On może nas przetrzymać, — jęknął pan Stillbach, — on ma kapitały.

— Wiecie, co on teraz robi?... On nie chce wozic nafty w beczkach ze Schodnicy do swojej fabryki, on ją puści rurami wprost z rezerwoarów, czy wy słyszeli o takim interesie? — kończył tonem zgorszonym p. Lindeman.

Dwaj słuchacze z pewnem podziwieniem kręcili głowami.

— To musi go dużo kosztować — rzekł p. Stillbach, — aj! aj! rury dać na milę, może więcej, nu przy takiej gospodarce on może zbankrutować.

— A ty Lindeman, słyszałeś?... On do swej rafinerii sprowadza chemika z zagranicy, on chce mieć taką

czystą naftę, aby ludzie nie kupowali ani niemieckiej, ani amerykańskiej, ani kaukaskiej, on chce być sam!

— Ten Floryański ma dobrą głowę, — westchnął gospodarz.

— Mówili mi dziś w Borysławiu, że on posłał inżyniera i świder do Mroźnicy na próbę, a szlachcice się przechwalają, że on u każdego spróbuje, czy w jego wsi niema nafty. Oni chcą już pożyczać na tę naftę, — zaśmiał się z ironią p. Stillbach.

— Nu niech on probuje wszędzie, to dobrze, jak on będzie taki zachłanny, on się udławi — dodał gospodarz.

— To jest taki interes, — mówił poważnie pan Krausberg, — nam trzeba się dowiedzieć, skąd on bierze te pieniądze, jak u ludzi, ich można zastraszyć, jak w banku, można kredyt zachwiać. Nam trzeba pogadać z naszymi we Lwowie, w Wiedniu, tu idzie o nas wszystkich, o cały Borysław, on powinien przepaść.

— To jest dobry plan, mój syn Moryc napisze do Lwowa i do Wiednia, on ma tam znajomych.

— Ja myślę, — rzekł po chwili p. Stillbach, — że rabin i kahał powinni napisać do „*Alliance israelite*“, niech nas ratują od niego.

— Nam trzeba pogadać ze starszymi. Ty Stillbach dobrze radzisz, jak „*Alliance*“ zechce, to jego tu już niema; jemu każe sam minister, sam cesarz pójść precz i nam nie przeszkadzać, nas nie gnębić, nie zniszczyć.

— A jak on nie posłucha? — powątpiewał p. Lindeman.

— To przyjdą żandarmi i jego poprowadzą ciupasem na miejsce urodzenia — zawołał p. Stillbach.

— Aj, to byłby ładny widok! — zaśmiał się gospodarz.

Wszyscy trzej poweseleli, i nadzieja w nich wstąpiła, że zdołają się uwolnić od tego wroga.

Wszczęli rozmowę o cenie wosku, cerezyny, nafty, zakopów, kto jakie interesa robi.

— Lejzor, — rzekł gospodarz, — ten Boruch, twój krewny, to słaba głowa, znowu stracił pieniądze.

— Nu, on nie ma szczęścia do interesów, co ja temu winien?

— Ty weź jego do siebie.

— Ja już myślałem. W naszej fabryce potrzeba kogoś do pilnowania wosku, ja chciałbym dać jemu to miejsce.

— Nu, my pogadamy o tem, a wy pogadajcie — mówił p. Lindeman — jaką pensyę dacie Morycowi za dozór biura fabryki.

— My pogadamy o tem — rzekł p. Stillbach, — Lejzor, a ty posłałeś tego chłopca naszemu dyrektorowi?

— Ja mu posłałem.

Umilkli. Pan Lindeman, jakkolwiek starał się być ożywionym, od czasu do czasu wpadał w zamyślenie, spostrzegł to p. Krausberg i spytał:

— Czego ty wdychasz?

— Ja wdycham, bo ściska mi się serce.

— Dlaczego tobie się ściska?

— Jak ja sobie pomyślę, że ten Floryński z mego

gruntu ma już do 30.000 guldenów nafty, to mnie serce bardzo boli.

— Ja to rozumiem, to rzecz bardzo przykra — dodał p. Stillbach.

— I dlaczego ja sprzedałem te grunta? dlaczego nie mogę wyprocesować? Żebym ja miał jeden mały haczyk, już ja pociągnąłbym wszystko — skarżył się gospodarz, — ale te Niemcy umieją pisać kontrakty, oni się pilnują, nie tak jak szlachcice.

— A teraz nie wiesz, gdzie on wierci? — spytał z żywością pan Krausberg.

— Ja nie chcę nic wiedzieć, mnie może serce pęknąć, po co mi wiedzieć?

Po powrocie do domu, pani Krausberg co prędzej zrzuciła wizytową suknię i stanik ze siebie, schowała starannie do szafy i stanąwszy w brudnej halce, w wygorsowanej koszuli przed rozbierającym się mężem, rozszerzając usta w uśmiechu mówiła:

— Lejzor, ja tobie coś powiem.

— Co ty mi powiesz Sura? — spytał spokojnie.

— Lejzor, Moryc Lindeman patrzy się na naszą Esterkę...

— Nu, i co z tego?

— Z tego może coś być...

— Ty Sura gadasz niepotrzebne rzeczy, — odezwał się przestając rozbierać, — na mnie także patrzy się wół, i co ma być z tego?

— Oni mogą się pobrać...

— Sura, ja nie dam Esterki Lindemanowi, a przyj-

dzie swatka od niego, to powiedz, że ja żadnego posagu za mego życia nie wypłacę Esterce.

— Dlaczego Lejzor? Przecież on nasz, był w szkołach, ma majątek, co jemu brakuje?

— Sura, ja jego nie chcę, on ubiera się jak pan, on w podróży wydawał guldena 50 centów na życie, on straci cały majątek, ja mu nie dam Esterki.

— Lejzor, a jeśli ona zechce? Ja widziałam dzisiaj, że ona z nim rozmawia i śmieje się do niego.

— Suro, ona jest głupia, ja ojciec wiem najlepiej, co dla niej dobre, a co złe. Już ja jej wyszukam męża.

— Nu, a nie ożeniłbyś Mojżesza z młodszą córką Lindemana?

— Jaki ona ma posag?

— Ja nie wiem.

— To szkoda czasu na gadanie, ja muszę się wyśpać, u mnie jutro robota.

— Ty Lejzor śpij zdrów.

— Ja Sura tego i tobie życzę.

XXII.

Pan Krausberg załatwiwszy interesa na swej kopalni, skorzystał z pierwszej nadarzonej okazji i pojechał do Schodnicy. Ze złośliwym zadowoleniem patrzył na wielkie zmiany, które zaszły tutaj od czasu jego ostatniej bytności, rozmyślając nad wielkimi wydatkami Spółki kopalnianej. Przez wieś prowadził szeroki, bity gościniec, w tej chwili ubijany przez robotników. Z jednej i drugiej strony drogi wznosiły się domy mieszkalne będące na ukończeniu, a w głębi, na końcu wsi, wysoki, czerwony komin wyrzucał kłęby siwego dymu z fabryki narzędzi żelaznych i drewnianych, potrzebnych do kopalń.

Pomiędzy ładnymi domami, z wielkimi oknami, tuliły się chaty i budynki dawnej Schodnicy, które wobec nowych wydawały się jeszcze bardziej niskie, brudne, zapadnięte w ziemię.

Pan Krausberg wszedł do karczmy Arona i po zwykłym pozdrowieniu zasiedli obaj w alkierzu za szynkwasem.

— Aron, co u ciebie słyhać?

— U mnie źle słyhać — odpowiedział ze skrzywieniem.

— Ty Aron sobie żartujesz, masz teraz tylu robotników, przyjezdnych, musisz mieć dobre dochody.

— Aby moje wrogi mieli takie dochody, — westchnął ze smutkiem.

— Nu, co się stało? To nie może być? Taka karczma ładna przy tylu ludziach...

— Ano pusta Lejzor, idź zobacz, kto jest w izbie, kto pije?

— A gdzie robotnicy?

— Oni mają swoją karczmę i nam na złość nazwali to paskudztwo: gospodą chrześcijańską, czy ty Lejzor słyszał kiedy takie słowo? Nu, ono jest w Scho-dnicy. Robotnik u nas to teraz wielki pan, ten Floryański, aby on przepadł, on ich karmi jak woły na rzeź: oni mają swoją policję i pijanego zaraz wyprowadzają z karczmy.

— I biją?

— Żeby oni bili, — westchnął — to goj pilby dalej, ale oni sztrafują, a tobie Lejzor nie trzeba mówić, że goj boi się tylko sztrafu pieniężnego.

— Nu, to jest przeciw przepisom policji, ona nie ma prawa nakładać sztrafu na pijaków, ty Aron podaj skargę.

— Co mi to pomoże Lejzor? Floryański ma wielkie pieniądze, ja jemu nie poradzę.

— My jemu już poradzimy — syknął z zawziętością.

— Lejzor, — zaszeptał szynkarz, — czy jest już

co? On nas zniszczy, my zbiedniejemy i nasze dzieci i nasze wnuki.

— Przyjdzie czas, to powiedzą tobie... Nu, Aron i co on robi tutaj?

— Wszystko złe, co ty sobie Lejzor tylko pomyślisz. Założył robotnikom kasę taką, że jak który biedny, on nie potrzebuje naszego kredytu, on idzie do kasy i bierze ile chce, i wiesz, on nie trzyma tej kasy u siebie, on im oddał pieniądze.

— Aron, on jest socyalist.

— Socyalist?... Lejzor, co to jest?

— Socyalist?... Socyalist?... To jest taki, co chce brać moje pieniądze, mój interes, on mi nic nie daje za to, tylko chce mnie zarznąć... To jest socyalist!

— Nu Lejzor, to ten Floryański jest prawdziwy socyalist, on sam generał socyalistów, — mówił szybko gospodarz — on zabiera nasze interesa, nasze pieniądze, nam nie daje targować i nas zarzyna.

— To dobrze, Aron, że ty mi to powiedział, ja o tem pogadam z naszymi, co socyalist idzie do kryminału, może i on pójdzie.

— Nie Lejzor, on nie pójdzie — westchnął żałośnie, — on ma pieniądze, on nie boi się komisarza, starosty, samego namiestnika, co jemu zrobia?

— Ty Aron siedzisz na wsi, to ty nie wiesz co się robi na świecie... Ty mi powiedz, co to za fabryka i na co tyle domów?

— Fabryka jest żelazna, on tam robi wszystko co mu potrzeba, a domy dla urzędników buduje, oj co on pieniędzy włożył w ten interes, żebyśmy miał połowę, ja

byłbym bardzo bogaty. U niego pieniędzy jak lodu. Przyszli do niego goje i mówią, że oni chcą mieć szpital, on im buduje zaraz, a ich dzieci muszą chodzić do szkoły, bo zaraz nakłada sztraf na nich.

— Nu, a jak mu idzie interes?

— Jemu płynie nafta jak woda. Z czterech szybów trzy były z naftą, a teraz on robi od miesiąca sześć szybów.

— A jak on stoi z gruntami?

— On kupił od chłopów pół Schodnicy, a teraz wziął się do gruntów Mroźnicy. Z naszymi on nie robi interesu, tylko z chłopami, to wielka strata, bo on popsuł chłopów.

— Już i my go popsujemy... Aron, ja chciałbym zobaczyć jego kopalnię, czy ty masz czas?

— Ja teraz mam zawsze czas, — westchnął głęboko, — ja pójdę z tobą Lejzor.

Zrzucił lejbik, ubrał się w chałat, wziął laskę i wyszli.

Bocznymi ścieżkami poprowadził Aron swego towarzysza na wyżynę wzgórek, ogrodzoną na znacznej przestrzeni. W bramie spytał ich stróż:

— A wy dokąd?

— Czy nam nie wolno? — zakrzyczał z gniewem Aron, — to jest przejazd, droga gromadzka, ja tutejszy, ja wiem gdzie idę.

— A, jak wy tutejsi, to idźcie dalej — i zeszedł ze środka drogi na stronę.

— Ten goj jest bardzo zuchwały, — mruknął pan Krausberg, — on potrzebuje chłopów pilnować, nie nas.

— To zrobił Floryański, teraz każdy chłop ma zaraz wielki pysk.

Nieopodał drogi, w murowanym budynku, warczała maszyna parowa poruszająca, przez skombinowane dźwignie świdry umieszczone w wieżach kanadyjskich. Pan Krausberg przystanął i patrzył. W promieniach południowego słońca iskrzyły się oparte na słupach żelaznych pręty stalowe, poruszające się rytmicznie w takt obrotu maszyny, przesyłającej swą siłę do wieży kanadyjskiej, odległej o jakie sto metrów. Miała ona formę ściętej piramidy, spajanej w odstępach łokciowych grubymi dylami, a u dołu oszalowanej deskami. Z drogi mógł widzieć pan Krausberg robotników zajętych wierceniem, z których jeden trzymał ręką górną część pręta świdrowego wyczuwając normalność funkcjonowania, drugi uważał na ruch koła rozpedowego i przyrządów przytrzymujących świder, inni przygotowywali narzędzia do zmiany świdra.

W drugiej wieży kanadyjskiej, czarnej od nagłego wybuchu nafty surowej, do podstawionej na zewnątrz kadzi spływała z rury nafta, migocąc metalicznie w promieniach słońca. Z tego rezerwoaru chwilowego odprowadzały naftę rury do olbrzymich zbiorników.

Pan Krausberg liczył wieże, było ich dziesięć, patrzył, wzdychał z zazdrości i spytał:

— Aron, a gdzie są te grunta, które kupił Boruch w Schodnicy?

— Jakie grunta?

— Ty Aron zapomniałeś? Ty sam robiłeś ten interes z Łukaszem, z Maciejem i Bazylim.

— Te grunta? Ja tobie zaraz powiem Lejzor, — rozglądał się, nareszcie rzekł. — My teraz stoimy na gruncie Łukasza i ten szyb jest na jego ziemi.

— Ty Aron jesteś tego pewny?

— Jakto Lejzor? — Ja przecież tutejszy, to wiem. Ta grusza to grunt Hrycia, a tu na lewo to było Łukasza. Ten dobrze zarobił, wziął już stówkę z kontraktu, a jak będzie nafta, on dostanie prezent od Floryańskiego.

— I ja dałbym mu wódkę, żeby to był mój szyb z naftą.

Uszli kawalek dalej. p. Krausberg wyjął wielki srebrny zegarek na łańcuszku stalowym, spojrział i rzekł:

— Aron, ja już mam dosyć tego cudzego bogactwa, ja pojedę do domu.

— Ty Lejzor szczęśliwy, a ja zawsze widzę przekłętogo Floryańskiego. Nu, chodźmy do domu. Ty Lejzor zobaczyłeś to, co chciałeś?

— Ja już zobaczyłem.

Przyjechawszy do Borysławia, spostrzegł p. Eisensteina, zeskoczył szybko z wozu i zawołał na zamyślonego:

— Boruch, Boruch, słyszysz ty?!

— Lejzor ja słyszę, — a widząc jego zapyłone plecy, dodał, — skąd ty przyjechałeś? gdzie byłeś?

— Ja przyjechałem raniutko z Drohobycza, jak zwykle, a teraz ja szukałem ciebie, ja mam ci coś powiedzieć.

— Jaki ty Lejzor masz interes?

— Chodź ze mną na Wolankę, ja ci opowiem po drodze.

Szli zwolna, wśród tumanów pyłu podnoszącego się za każdym wozem przejeżdżającym, zgrzani, spotniali, podnieceni gorączką interesów.

— Słuchaj Boruch, ty powiedz mi prawdę, jak tobie idzie?

— Co tu gadać? Ty Lejzor wiesz sam, że źle.

— Ile ty straciłeś?

— Mam jeszcze kilka zakopów w Truskawcu.

— Nu, a pieniądze?

— Dałem do trzech spółek i nie było ani nafty, ani wosku. Myśmy wszyscy stracili.

— Nu, to ja teraz tobie coś powiem, a ty uważaj... Ja mam do spółki fabrykę cerezyny, nam trzeba kogoś zagranicą, w Turynii, aby on się zajął naszą cerezyną i sprzedawał ją fabrykantom świec. Ja chcę ciebie tam posłać, bo ty mój krewny.

— Ja tobie Lejzor dziękuję, ale ja nie pojedę zagranicę, to bardzo daleko.

— Ty Boruch tu zginiesz, ty nie masz szczęścia do interesów. My tobie zapłacimy drogę, będziesz brał procent od sprzedaży i na życie z rodziną dostaniesz miesięcznie dwadzieścia guldenów. Ty jedź, ja twój krewny to mówię: jedź.

— Ja Lejzor pomyślę.

— Tu niema czasu, nie zechcesz ty, znajdę stu innych. Tam są także interesa różne, a w nowym kraju będziesz miał szczęście. Tam posiedzisz rok, może więcej.

— Lejzor, ty mi dobrze radzisz, ja pojedę. Podali sobie ręce na znak zgody.

— Boruch, my nie chcemy, aby ktoś wiedział w Drohobyczu, gdzie i w jakim interesie ty jedziesz, ty powiedz, że ty jedziesz do Wiednia albo do Lincu.

— Ja Lejzor rozumiem sekret handlowy, ty niepotrzebnie gadasz. A kiedy trzeba jechać?

— A kiedy ty możesz?

— Ja muszę sprzedać meble, przygotować się, odstąpić zakopy...

— Ty Boruch za trzy dni musisz być w drodze, ty zrób tylko porządek z twoimi zakupami, a resztę załatwi twoja żona i przyjedzie do ciebie.

— Nie Lejzor, tak nie można, ja za tydzień wyjadę z żoną i z dzieckiem.

— Niech będzie za tydzień, tylko nie zrób mi zawodu Boruch.

— Ja pojedę.

Pan Krausberg potrafił przekonać swoich spółników o zyskach, jeśli będą mieli na miejscu zbytu swego przedstawiciela, zgodzili się na procent od sprzedanej cerezyny, ale o pensyi nie chcieli słyszeć, i p. Krausberg sam się zgodził posyłać dwadzieścia guldenów swemu krewnemu.

Gdy się o tem dowiedziała jego żona, rzekła wieczorem:

— Lejzor, dziś była u mnie Boruchowa, ona błogosławi ciebie i twoje dzieci, bo ona będzie spokojnie żyła. Potem ja poszłam z naszą córką na spacer i spotkałam Lindemanową, i ona mówiła mi także o Boru-

chu. ale dodała, że ani jej mąż, ani Stillbach nie zgodzili się na płacenie pensyi. tylko dodali na podróż.

— Ona powiedziała tobie prawdę.

— To jak będzie Lejzor? Przecież ty sam nie możesz płacić miesięcznie dwadzieścia guldenów? My mamy chwałę Bogu na kogo się starać.

— Sura, ja jemu będę płacił.

— Lejzor, ty sobie pozwalasz na żarty ze swoją żoną — mówiła zgorziona — ja wiem, że Boruch krewny, ale za to nie trzeba płacić miesięcznie, ty jemu i tak pomogłeś nie jeden raz.

— Sura, ja dałem kupieckie słowo, ja dotrzymam moje słowo, co tu gadać.

Umilkła i dopiero po chwili odezwała się weselszym tonem:

— Lejzor, ty masz wielki honor, to dobrze dla naszych dzieci, ale szkoda, że on tyle kosztuje ciebie.

— Pan Bóg mi to wynagrodzi, — skończył wzdychając.

W tydzień po wyjeździe Eisensteina, p. Krausberg dowiedziawszy się, że szyb na gruncie Łukasza wydaje już naftę, zażądał ku wielkiemu zdziwieniu swej żony lepszego ubrania.

— Lejzor, co to jest? gdzie ty idziesz?

Spojrzał na nią, śledząc wrażenie swej odpowiedzi:

— Suro, ja jadę do Floryańskiego.

Przez krótką chwilę milczała zdziwiona, potem odetchnąwszy spytała krzykliwie:

— Lejzor, ty, ty do samego Floryańskiego?

Skinął głową uśmiechnięty.

— Ty będziesz gadał z tym naszym wrogiem?

— Ja będę gadał.

— Ty masz jakiś interes, — mówiła spokojnie, — ale ty uważaj, żeby on nie oszukał ciebie, bo to zły człowiek.

— Ja się jego nie boję.

W Schodnicy nie zaszedł do karczmy Arona, ale wprost skierował się do biur Spółki kopalnianej i kazał się zameldować u dyrektora, uprzedzając, że ma bardzo ważną sprawę.

— O co idzie? — spytał dyrektor wchodzącego.

— To jest taki interes, — odpowiedział stojąc niedaleko drzwi, ja jestem Krausberg z Drohobycza, a na Wolance mam kopalnię wosku, ale ja robię także inne interesy.

— Nic nie rozumiem, o co rzecz idzie, — mówił zniecierpliwiony dyrektor.

— Zaraz pan dyrektor zrozumie. Boruch Eisenstein kupił tu w Schodnicy grunta, potem odstąpił mi trzy czwarte zakopów notaryalnie. Te grunta on sprzedał całe, potajemnie, bankowi anglo-austryackiemu we Lwowie, a te grunta są teraz własnością Spółki kopalnianej, i pan dyrektor ma tam szyb jeden z naftą. Ten grunt jest mój w trzech czwartych, to i szyb jest mój.

— To jakiś szantaż, — zawołał dyrektor — ale my nie damy się wyzyskać. Ostatecznie czego chcesz?

— Panie dyrektorze ja spokojny człowiek, ja nie lubię procesów.... Ja mam przy sobie plany, wszystkie dokumenta, niech pan dyrektor przejrzy, po co nam proces?

Wyjął z kieszeni papiery i z ukłonem podawał w stronę siedzącego na fotelu przed biurkiem dyrektora. Ten wstał, zbliżył się do żyda, rozłożył plan, porównał z planem kopalni wiszącym na ścianie, przejrzał kopię umowy notaryalnej pomiędzy dwoma kupcami, na mocy której p. Krausberg stawał się współwłaścicielem kupionych gruntów, i rzekł do stojącego w progu.

— Proszę zaczekać w przedpokoju, dam znać administratorowi.

— Ja zaczekam, — mówił p. Krausberg zamykając drzwi za sobą.

Usiadł na ławce i pilnie nasłuchiwał. Wkrótce różnił dwa głosy rozmawiających żywo ze sobą, drzwi się uchyliły i dyrektor wezwał go do biura. Wszedł, składając głęboki ukłon w stronę stojącego przy oknie p. Floryańskiego, który skinąwszy głową, przemówił szybko:

— Jak widzę z tych papierów, Krausberg miał spółkę z Eisensteinem; my kupiliśmy grunta od banku anglo-austryackiego, z Eisensteinem nie mieliśmy nic do czynienia. Krausberg ze swemi pretensjami może się udać do Eisensteina, do banku, ale nie do nas.

— Panie administratorze, — odpowiedział z chytrem uśmiechem, — ja byłem już u adwokata, on mi powiedział, że moje prawo trzyma się gruntu, a swoją drogą ja już podałem skargę i na Eisensteina i na bank anglo-austryacki. Ja nie mogę stracić, ten grunt to mój majątek.

— Jeśli Krausberg podał skargę do sądu, więc czego chce od nas?

— Panie administratorze, adwokat mówi mi tak, abym ja podał do sądu na pana administratora, i sąd położy areszt na szyb i na naftę z niego aż do ukończenia procesu. Ten szachraj, Eisenstein, on narobił tyle kłopotu panu administratorowi, i ja mam tyle wydatków.

— Niech Krausberg zgłosi się do mnie za trzy dni o tej porze.

— Ja będę panie administratorze i proszę o moje dokumenta.

— Daj mu pan, — rzekł p. Floryański, a gdy zostali sami, mówił do dyrektora, — to sprawa nieczysta, on wiedział doskonale o sprzedaży gruntu bankowi i czekał chwili póki szyb nie da nafty, ale jak mu to dowieść? Najgorsza rzecz, iż te parcele włościańskie nie mają hipoteki, a bank zapewne zaniedbał ogłosić urzędnie swe kupno.

— Zaczekajmy, co powie adwokat, a w każdym razie my nie zapłacimy, tylko bank.

— Ten żyd wygląda mi na bardzo chytrego, — mówił p. Floryański patrząc na idącego p. Krausberga — on zbadał sprawę doskonale i pewno z gotowym planem przyszedł do nas.

— Omyli się w rachubie — zaśmiał się dyrektor.

— Kto wie, — rzekł zaniepokojony administrator, — ten żyd nie ryzykuje, on gra na pewniaka. Ju-tro mamy otwarcie fabryki oczyszczenia nafty, pojutrze jadę do Lwowa po pieniądze, dziś trzeba się rozmówić z adwokatem, pojedę do Drohobycza i pogadam o tej sprawie.

Pan Krausberg, wracając wózkiem jednokonnym do Borysławia, posłyszał zdala już turkot powozu. Obejrzał się, a poznawszy zaprzęg administratora, naglił furmana, aby ustąpił z drogi, zdjął pokornie przed przejeżdżającym powozem kapelusz, a gdy p. Floryański minął nędzny wózek, szepnął p. Krausberg z zawziętością:

— Ty pójdiesz od nas piechotą, nasza w tem głowa!

XXIII.

Wiadomość, że p. Krausberg posiada tytuł prawny do gnębienia administratora Spółki kopalnianej, rozeszła się szybko po mieście i wywołała na giełdzie wielką radość.

Pana Krausberga witano owacyjnie, winszując mu jego szczęścia, dopytując się o drobne szczegóły tej interesującej sprawy.

— To było tak, — mówił p. Krausberg do licznych słuchaczy: Boruch kupił zakopy w Schodnicy, a że nie miał pieniędzy na zapłacenie chłopom, odstąpił mi notaryalnie połowę gruntów. Wiecie wszyscy, że on tu nie sprzedał bankowi, chociaż faktorzy go namawiali i ciągnęli do banku, on mi mówił, że chce się doczekać lepszej ceny. Ja budowałem fabrykę i nie miałem czasu zaglądać do Schodnicy, nareszcie pojechałem i widzę na moim gruncie szyb Floryańskiego, co to jest? — pytam Arona, on mi mówi, że Boruch dawno już sprzedał bankowi te grunta.

— Oj ktoby się tego spodziewał po Boruchu, on był taki głupi! — odezwały się głosy.

— Wyglądał jak dziecko, a taki mądry!

— Co ty Lejzor teraz zrobisz?

— Ja chcę dostać mój grunt, bo on w trzech czwartych jest mój.

— Lejzor, — odezwał się poważnie p. Lindeman, — ty nie wypuszczaj z ręki naszego wroga, niech on zginie, my tobie pomożemy wszyscy.

— Jak ty nie masz gotówki, ty Lejzor dostaniesz — rzekł p. Stillbach.

— Ty zapłać jemu za robotę szybu i zabierz na swój rachunek — doradzał pan Bernstein.

Szczegóły opowiedziane przez p. Krausberga przyjęto z dobrą wiarą, jakkolwiek ci, którzy znali go bliżej, byli przekonani, że pan Krausberg kierował sam całą sprawą, ale w każdym razie bardzo przebiegle i szczęśliwie.

Wydano hasło milczenia o Boruchu, o tem czy wyjechał i gdzie wyjechał, chcąc go zasłonić przed wszelką odpowiedzialnością. Napróżno też adwokat. sąd i policya śledziła za obwinionym o oszustwo, Boruch Eisenstein przepadł bez wieści.

Gdy wszelkie żądania i pretensye pana Krausberga administrator odrzucił, odsyłając je do banku anglo-austriackiego, wówczas zjednoczona giełda swymi wpływami przyspieszyła kroki sądowe, i na szyb zakwestyionowany położono areszt. Równocześnie p. Krausberg wytoczył Spółce kopalnianej proces o straty i szkody spowodowane wierceniem i zażądał zniesienia postawionych na gruncie budynków.

Pan Floryański, obliczywszy straty w razie przegrania procesu, zawezwał p. Krausberga do siebie. Przy-

jechał wózkiem jednokonnym i pokorny, składny, wszedł do biura dyrektora, w którym zastał również administratora i adwokata.

— Chcę proces zakończyć polubownie panie Krausberg, czego żądasz od nas?

Zapytany przesłonił oczy powiekami, spuścił głowę, by nie dopatrzono jego radości, odpowiedział cicho:

— Ja także nie chcę procesu, ale ja nie wiem, co mi pan administrator da?

Połowa gruntów jest nasza...

— Tylko jedna czwarta — przerwał mu p. Krausberg.

— Ten kwitek prywatny Eisensteina niema żadnego znaczenia wobec sądu — objaśnił adwokat.

Usta p. Krausberga skrzywiły się do uśmiechu ironicznego i mówił spokojnie:

— Panie mecenasie, tu nie sąd, my kończymy polubownie, i ja na ten kwit dałem tysiąc guldenów.

— O tem, potem, — rzekł p. Floryański — ile pan chcesz za swe pretensye?

— Co ja mogę wiedzieć? Cały ten grunt to sama nafta, ona tylko czeka, aby ją zabrać, tam są miliony, ja wiem o tem i pan administrator także wie.

— Ileż pan żąda za te miliony? -- uśmiechnął się p. Floryański.

— Ja nie wiem, ja czekam co mi pan administrator powie.

— Zwrócę panu wyłożone koszta.

— Pan administrator żartuje... ja dam moje trzy czwarte za szyb i moja nafta w trzech czwartych, to mi się opłaci.

— Ależ nas kosztuje ten szyb 16.000 guldenów, więc daj pan 12.000 — zaśmiał się dyrektor.

— Dlaczego nie? Ja dam, tylko wpierv muszę zobaczyć książki, bo ja wiem, że u panów jest akuratny porządek.

Ostatecznie zażądał p. Krausberg sumę 60.000 florenów, i po długich targach i namowach opuścił na 35.000. Dyrektor i adwokat odrzucili to żądanie, ofiarując za ustępstwo całego gruntu 20.000 guldenów. Pan Krausberg, będąc już na wychodnem, zwrócił się do p. Floryańskiego:

— Panie administratorze, chce pan wiedzieć moje ostatnie słowo, ja sprzedam mój grunt za 30.000.

— Zaczekajno pan, namyślę się.

Pan Krausberg znów stanął pokornie u drzwi i obliczał się. Proces to niepewny interes, dziś on jest na wierzchu, ale może zajść nieprzewidziany wypadek, może Borucha znajdą, może ktoś był świadkiem odebranych z banku za grunt pieniędzy, może być to i owo, zawsze lepsza jest gotówka. Giełda może sobie narzekać na niego, ale niech każdy poderwie Floryańskiego na 30.000, to on musi zbankrutować. Z usposobienia zimny i rachunkowy, był w tej chwili przygotowany do ustępstw dalszych, zawsze bowiem prznosił dochód pewny, chociaż mniejszy, od krociovych nadziei.

Pan Floryański znudzony i zniecierpliwiony procesem i pretensjami żyda, które wydawały mu się drobnostką w stosunku do oczekiwanych milionów przy tak olbrzymiem przedsiębiorstwie, był zdecydowany pozbyć

się procesu chociażby kosztem 30.000 florenów i raczej dla formy aniżeli z przekonania rzekł po chwili namysłu:

— Kończmy panie Krausberg za 25.000.

Żyd poznał z dźwięku głosu, że cyfra ofiarowana nie jest ostatnią i kłaniając się korpusem całym mówił tonem żalonym:

— Ja myślałem, że my już skończymy, bo ja spokojny człowiek i nie chcę procesu, ale nie mogę odstąpić od mojej ceny, ja jestem i tak bardzo stratny.

Na niemy znak administratora wmieszał się adwokat:

— Idzie tu o 5.000 guldenów, przedzielcie ją panowie krakowskim targiem po połowie.

— Ja nie mogę — mówił p. Krausberg rozkładając rękę.

— A nie, to nie, — zawołał p. Floryański podrażniony uporem kupca.

Pan Krausberg wyszedł, za krótką chwilę otworzył drzwi, wychylił głowę i rzekł:

— Panie administratorze, ostatnie słowo powiem 28.000.

— Niech będzie — powiedział p. Floryański zdecydowanym głosem.

Adwokat spisał tymczasową ugodę pomiędzy stronami, p. Krausberg podpisał, wziął zaliczkę i uradowany, uśmiechnięty, wsiadł w oczekującą go jednokonkę. Przejeżdżając obok fabryki cerezyny nad Tyśmienicą pod górą drohobycką, wysiadł, chcąc skontrolować czynność dyrektora i biura fabrycznego.

W głębi podwórza ujrzał dyrektora rozmawiającego z wielkiem zajęciem z jakimś nieznanym mu człowie-

kiem. Podejrzliwy z natury, obawiając się, że dyrektor Niemiec może wyzyskać swą pozycję na niekorzyść współpracowników, ostrożnie i nieznacznie podchodził do rozmawiających, nie spuszczać oczu z podejrzanej osobistości.

Był to młody człowiek, średniego wzrostu, dość szczupły, ubrany w elegancki garnitur szary, który gestykulując mówił szybko z wielkim ożywieniem. Pan Krausberg zbliżywszy się na kilka kroków, dosłyszał poszczególne wyrazy o kotłach, rurach, klapach, czem uspokojony, przywitał uprzejmie dyrektora, spoglądając pytająco na obcego.

— Pozwoli pan inżynier — zaczął dyrektor, że przedstawię panu współwłaściciela fabryki, p. Krausberga.

Z ciekawością malującą się wyraźnie na ładnej twarzy okolonej ciemnym zarostem, starannie utrzymanym, zwrócił swe piękne piwne oczy na przedstawionego żyda, podając mu do uścisku rękę białą.

— Pan inżynier chemik, Emil van Haecht — kończył dyrektor.

Widok przebiegłej, fałszywie uśmiechniętej twarzy, bystrych szpiegujących oczu i dotknięcie brudnej, spointnialej ręki były dla inżyniera tak niemiłe, że poczuł dreszcz wstrętu i niewytłomaczonej obawy przed tym człowiekiem, który go witał z uniżonością.

— Pan inżynier, podobnie jak i ja, gani brak doskonałych wentylatorów i niedostateczność urządzenia przykryw w drugim oddziale.

— Który to panie dyrektorze? — spytał p. Krausberg.

— Gdzie wosk przerabia się z kwasem siarkowym — odpowiedział wskazując na środkową część budynku fabrycznego.

— Robota jest tam bardzo uciążliwą, a nadzór tak ważnej części bardzo utrudniony, — dodał Haecht.

— Przedstawiąłem panu, — rzekł dyrektor z wymówką, — potrzebę rur wentylacyjnych i przykryw.

— Ale ludzie robią, a jeśli im dobrze, to na co ten wydatek, — uśmiechnął się właściciel.

— Dobrze? — zawołał inżynier. — Pan chyba nigdy tam nie byłeś! Kwas siarkowy zmieszany z woskiem wytwarza bardzo znaczną ilość bezwodnika siarkowego, uniemożliwiającego oddychanie.

— Oni jednak oddychają. Panie dyrektorze, jak długo trwa ta robota?

— Pięć godzin na dobę, a robotników muszę zmieniać co pół godziny.

— Nu, ja powiem panom, że nas ta fabryka dużo kosztuje, i my musimy się oszczędzać. Ja myślałem, że cerezyna to złoty interes, a ona idzie słabo. My nawet tracimy, bo taki wielki pieniądz włożony w inny interes przynosiłby lepsze procenta.

Inżynier spojrział trochę zdziwiony na jednego, drugiego i przemówił:

— To dziwne, zagranicą cerezyna daje wielkie dochody, a przecież panów transport mało kosztuje.

— Dostaję liche wosk, zanieczyszczony — skarżył się dyrektor, cerezyna niema koloru dobrego, bywa miękka, i tam muszą ją przerabiać, bo panowie właściciele nie godzą się na „upiększenie“ jej na miejscu.

— My to zrobimy może później, — bronił się właściciel, — niech tylko fabryka da nam odpowiednie zyski. My nawet zgodzimy się na wentylatory i inne przykrywy.

— To ulepszenie powinniście panowie zaraz zrobić, tu idzie przecież o życie ludzkie — przemówił gorąco inżynier.

— Pan nie zna tutejszego robotnika, — zaśmiał się właściciel, on bardzo wytrzymały, leniwy i jemu wszystko jedno, aby tylko miał wódkę.

— To prawda, — dorzucił dyrektor, — tak apatycznego robotnika nie widziałem; no niechby u nas, w Niemczech, pozwolił sobie dozorca tak jak tutaj, albo gdyby nasz musiał pracować wśród takich gazów, rewolucya gotowa.

— Nie znam dobrze tutejszych robotników, wiem, że w naszej fabryce mają dobrze...

— A w jakiej fabryce jest pan inżynier? — spytał z ciekawością p. Krausberg.

— W tej obok, rafinerii nafty.

— Floryańskiego!? To pan inżynier przyjechał na dyrektora?

— Nie. Zostałem wezwany na kilka miesięcy, aby ulepszyć sposób rafinowania nafty.

Pan Krausberg spojrział z szacunkiem na p. Haechta i chciał dalej pytać, gdy dyrektor dodał:

— Pan inżynier van Haecht poświęca się specjalnie nafcie i słyńcie z tego nietylko w Belgii, swej ojczyźnie, ale i w Niemczech całych.

Właścicielowi błysnęła myśl, że dobrzeby było zu-

żytkować takiego specjalistę w sprawie cerezyny, ale z obawy urażenia dyrektora powstrzymał się na razie od zrobienia propozycji i tylko spytał z wielką ciekawością:

— I pan inżynier będzie miał czystą naftę? Może i lepszą od amerykańskiej?

— Prawdopodobnie, — odparł swobodnie, bez cienia przechwałki, — w amerykańskiej za wiele lotnych gazów i pali się nierówno.

— Pan już ma taką naftę?

— Czekam na aparaty i mając dosyć czasu wolnego pozwoliłem sobie zwiedzić fabrykę cerezyny.

— To wielki honor dla nas, — zawołał właściciel prostując się.

— Dużo ma pan „asfaltu“? — spytał dyrektora.

— Zależy od wosku i siły kwasu siarkowego, ale jeśli pan chce, możemy zobaczyć, czy i pan, panie Krausberg, z nami?

— Ja mogę pójść na chwilę.

Szli w kierunku drugiego oddziału. Już na wstępie owionął ich duszący gaz bezwodnika siarkowego, jakkolwiek właściwa przeróbka wosku z kwasem siarkowym została dość dawno skończoną, i obecnie cztery kotły ustawione w budynku na wysokości pierwszego piętra ostygaly, i z płynnej cerezyny opadały na spód kotłów części stałe, wytwarzając t. zw. asfalt w języku fabrycznym.

Ważkie schodki drewniane prowadziły na platformę.

— Nie obawia się pan ognia? — spytał van Haecht patrząc na drewniane schody.

— Proponowałem żelazo w całym budynku, a specjalnie w tym oddziale, jednak właściciele zdecydowali się na drzewo.

— I tak drogo kosztuje nas ta fabryka, — mruknął p. Krausberg, pokaszłując pod wpływem gazów.

— W razie ognia, a o ten bardzo łatwo, robotnicy giną bez ratunku — przemówił chemik.

— Zamyślam obić schody i platformę blachą żelazną — rzekł dyrektor.

Inżynier nachylił się nad kotłem, oparty o niską baryerę, wpatrując się w żółtawą ciecz.

— To ładna cerezyna, — powiedział po chwili.

— Czy będzie biała? — zawołał właściciel zainteresowany, gdyż biała cerezyna płaci się dobrze.

— To zależy od „upiększenia“.

— I ja myślę, że ta będzie biała, dodał dyrektor, — otrzymałem bowiem dobry gatunek żelazosinku potasowego, powinien doskonale odbarwić.

Wkrótce wyszli, pokaszłując i łowiąc szybko świeże powietrze.

— To jednak męka pracować w tym oddziale — powiedział inżynier do dyrektora.

— A tak, ten gaz i gorąco działają zabójczo na organizm.

— Jaki ten chłop wytrzymały, — mówił właściciel — on się nawet uduszenia nie boi. Ja zmęczony, ja pożegnaj panów.

— Co pan robi wieczorami? — spytał inżynier po wyjeździe p. Krausberga.

— Idę na piwo do kasyna, — odpowiedział dyrektor, — a pan?

— Póki miałem zajęcie w laboratorium z rafinerią nafty nie nudziłem się, ale teraz nie wiem co robić.

— Jedź pan ze mną, w kasynie zbiera się możliwe towarzystwo.

— Czy bywa i ten właściciel?

— Tacy żydzi w chałatach, — zaśmiał się dyrektor, — nie są dopuszczeni, tam bywają urzędnicy, nacierze, przemysłowcy... przyjdź pan, piwo wcale dobre.

— Może i będę.

XXIV.

Wiadomość o dobrowolnej ugodzie z p. Floryańskim wywołała oburzenie wśród członków giełdy. Spodziewano się, że sprawa ta bez jakich 100.000 nie zostanie załatwioną, a p. Floryański za lekkomyślność kopania szybu na gruncie wątpliwym zostanie przez spółkę usunięty z administratorstwa.

Wymówki, zarzuty zdrady, odstępstwa sypały się na milczącego p. Krausberga, który przyciśnięty odpowiadał:

— Czego wy chcecie? To był mój interes.

Panowie Lindeman i Stillbach rozgoryczeni jego postępowaniem w tej sprawie, a niezadowoleni z zysków cerezyny oświadczyli, że z takim człowiekiem jak on nie myślą nadal pozostawać w spółce, i albo niech on ich spłaci, albo oni jemu zwrócą wkład jego.

Wszczęła się pomiędzy nimi gwałtowna kłótnia, wymyślali sobie, grozili, i ostatecznie postanowili zdać się na sąd polubowny.

Ze wszystkich wymówek i złośliwych przycinków najbardziej dotknęła p. Krausberga groźba rozwiązania

spółki fabrycznej. Przyjąć na swą odpowiedzialność całą fabrykę cerezyny obawiał się; niemieccy kupcy ganili gatunek, obniżali cenę i nawet niechętnie kupowali; z drugiej strony fabryka dawała bądź co bądź dochody, miał zbyt na swój воск surowy, a gdyby ulepszył produkcję, zyski byłyby nawet wysokie. Nie dowierzał jednak dotychczasowemu dyrektorowi i zanim sąd polubowny wyda wyrok w sporze spółki, postanowił w sprawie cerezyny zasięgnąć rady specjalisty pana van Haechta.

Dowiedziawszy się, że chemik jest w swem mieszkaniu, zapukał do drzwi.

Przyjął go zdziwiony niespodziewaną wizytą.

— Ja przyszedłem do pana inżyniera z wielką prośbą.

— Jaką? — spytał obojętnie.

— Pan inżynier jest specjalista, to ja przyszedłem poradzić się o moją cerezynę. Ona jest żółtawa, miękka, a ja chcę żeby była twarda i biała.

— Przecież ma pan dyrektora.

— On nie jest takim sławnym specjalistą. Niech pan inżynier mi poradzi, ja nie chcę darmo, ja zapłacę.

— Bez wiedzy dyrektora, pana Wintera, nie mogę się podjąć tego.

— On się zgodzi, w tem moja głowa, — zawołał p. Krausberg.

— I wówczas pogadamy — dodał pan Haecht.

— A co pan inżynier potrzebuje do próby?

— Kilka gatunków wosku, trochę kwasu siarkowego i odpadków żelazosinku potasowego.

— Sam dyrektor Winter przyśle to do pana. I panie inżynierze, ile to będzie kosztować?

— Policzymy się później, — uśmiechnął się, — sam jestem ciekawy rezultatu.

— Pan inżynier jest bardzo szlachetny, — zawołał p. Krausberg z ukłonem, — ja zaraz idę do dyrektora naszej fabryki.

Pan Krausberg z łatwością nakłonił pana Wintera nie tylko do zezwolenia na zrobienie próby z woskiem, ale sam dyrektor poszedł osobiście do van Haechta, by się dowiedzieć, ile i czego potrzebuje z jego fabryki.

Po przywitaniu rzekł pan Winter, rozsiadając się na fotelu:

— To ładna rafinerya...

— Wzorowo urządzona, wszystkie najnowsze wynalazki są w niej zastosowane, — odpowiedział chemik, aż przyjemnie pracować.

— To jedyny wyjątek w tym kraju barbarzyńskim, — zaśmiał się drwiąco, — bo ten Floryański rozrzutny, a inni, jak Krausberg, głupio skąpi. Czego chciał ten żyd od pana?

— Przyszedł w sprawie cerezyny — mówił podając cygara — skarżył się, że gatunek nie jest dość dobry.

— Obrzydliwy skąpiec, żąda doskonałej cerezyny, a materiały daje pod psemy. Bo to widzi pan, tam u nas byłem pomocnikiem dyrektora, ale miałem inteligentnych dozorców, pracownię chemiczną, do której mogłem posłać wątpliwą cerezynę każdej chwili i dowiedzieć się, czego jej brakuje. A tu, niechże ich dyabli

porwą, — zawołał uderzając ręką w stół. — dają mi źle skoncentrowany kwas siarkowy, wosk kilku gatunków, dozorców głupich, chcą oszczędzać pracę robotników, i niema pracowni chemicznej.

— Ciężkie warunki — dorzucił gospodarz.

— Radzę sobie praktycznie, tak na oko, czasem trafię dobrze, czasem potrzeba powtórzyć cały proces, no i naturalnie koszta są znaczne, ale czy to moja wina?

— Dlaczegoż pan nie powie im tego?

— Mówilem, wymawiają się od każdego wydatku, i całe to dyrektorstwo tak mnie zmęczyło, że czekam tylko listu i porzucę ich natychmiast; wolę być u nas pomocnikiem, jak tu dyrektorem...

— Jaki procent cerezyny wydaje tutejszy wosk? — spytał chemik po chwili milczenia.

— Mniej więcej 47 lub 48 procent. Zresztą przy próbnem badaniu przekona się pan sam, a czego pan potrzebuje do doświadczenia?

Chemik wymienił ilość i jakość produktów.

— Każę robotnikowi przynieść to panu, a kiedy będzie rezultat?

— Za dwa, najdalej za trzy dni.

— A wytłomacz pan temu żydowi, że dobroć materiału stanowi o dobroci cerezyny — mówił dyrektor wstając.

— Zrobione doświadczenie samo wykaże wady, — odpowiedział wymijająco.

Pan Krausberg z niecierpliwością wyglądał wyniku badań chemika, gdyż stosownie do tego miał się zachować w oczekującym go procesie ze współnikami.

Nareszcie trzeciego dnia przyjął go w swej pracowni van Haecht, a wskazując na leżące na stole tabliczki cerezyny rzekł:

— Z wosku ziemnego otrzymałem trzy gatunki cerezyny: białą, półbiałą i białozółtą. Wygląd i twardość cerezyny zależy od starannego odkwaszenia, upiększenia i jednostajnego ochłodzenia.

Pan Krausberg pochwycił pierwszą tabliczkę, dotykał się jej z przyjemnością, wahał, położył na stół z szacunkiem i patrząc w oczy chemikowi, przemówił:

— Panie inżynierze, ja sobie bardzo winszuję, że prosiłem pana o próbę. Nasz dyrektor zawsze mówi, że takiej białej, najlepszej i najdroższej z naszego wosku on nie może zrobić, a ja teraz widzę, że można.

— Pan dyrektor ma do pewnego stopnia słuszność. Wpierw musiałem gatunkować wosk, i dwie pierwsze tabliczki otrzymałem z najlepszego gatunku.

— Czemuż on nie gatunkuje? — zawołał z odzieniem gniewu.

— Tego nie wiem, o ile jednak poznałem sposób fabrykacyi u pana, główną wadą jest brak chemika, znającego się na rzeczy.

— A od czego on jest dyrektorem, on zobowiązał się kontraktem do robienia cerezyny.

— Za wiele pan wymaga od dyrektora, on musi uważać na ogólne procesa całej fabryki i nie może ślezczyć w pracowni. Następnie materiały dostarczane muszą być w dobrym gatunku, i najlepszy dyrektor z lichego wosku, z dymiącego kwasu siarkowego nie zrobi cerezyny pierwszego gatunku.

Pan Krausberg słuchał tych słów, nie przywiązując do nich wielkiej wagi, cały bowiem był pochłonięty myślą, w jaki sposób możnaby wyzyskać znajomość fabrykacyi cerezyny, którą posiadał ten chemik. Po chwili milezienia uśmiechając się słodko rzekł:

— Panie inżynierze, my w handlu nie lubimy tracić czas na słowa, to ja powiem krótko: ile pan inżynier chce za to, aby nauczyć naszego dyrektora robienia takiej białej, popłatnej cerezyny?

Uśmiechnął się chemik na tę propozycję i rzekł wesoło:

— Pan Winter nie potrzebuje mej nauki, on umie robić cerezynę, potrzebuje tylko zdolnego chemika.

— To ja proszę pana inżyniera, zanim znajdę takiego chemika, niech mu pan powie, on usłucha pana inżyniera, bo on sam mówił, że pan sławny na Europę całą.

— Nie, panie Krausberg, pan jako właściciel nie powinien mi robić podobnych propozycji. Pan oddał fabrykę panu Winterowi, i tylko on ma prawo w niej rządzić!

— A jeśli dyrektor poprosi pana?

— Jeśli dyrektor?... Obliczę się z czasem, wysłucham warunków i dopiero wówczas dam odpowiedź.

— Nu dobrze, ja pogadam z dyrektorem, — i po chwili dodał tonem prośby, — panie inżynierze, niech mi pan powie, co powinien zrobić dyrektor, aby mieć taką białą cerezynę?

— To bardzo trudno, — zaśmiał się chemik, —

pan nie zna zasad fabrykacyi i działań chemicznych, chociażbym i powiedział, nic pan nie zrozumiesz.

Pan Krausberg, który sądził, że wyludziwszy odpowiedź, powtórzy ją dyrektorowi, i dojdzie w ten sposób bez kosztów do białej cerezyny, westchnął i rzekł:

— Ja już przyślę dyrektora, — a po chwili zbliżył się do stołu i patrząc chciwie na tabliczki dodał: — Panie inżynierze, pan mi pozwoli to zabrać...

— Przecież to z wosku pana, bierz pan.

Szybko wziął, schował starannie i nie wspominając nic o przyrzeczonem honorarium, z głębokimi ukłonami wycofał się z pokoju. W sieni przystanął jednak i rozważał, zapłacić czy nie zapłacić chemikowi? Płacąc, wyda pieniądze i to za rzecz, którą już posiadał, zatem straci niepotrzebnie; ale nie płacąc może sobie narazić chemika, a on mu będzie potrzebny w jego fabryce, on może mu zrobić tysiące centnarów takiej cerezyny, i zysk będzie wielki. Ten jeden raz on zaryzykuje i zapłaci. Wrócił się, zapukał do drzwi i wszedł śmiało, bo przecież daje pieniądze.

— A, to pan, a czego? — spytał chemik, zajęty przy ustawianiu retorty.

— Panie inżynierze, pan był tak delikatny i nie wspomniał o zapłacie, a ja mam tak dużo na głowie, że zapomniałem, ale ja sobie przypomniałem i wróciłem się, aby zapłacić.

— Dziękuję, byłbym jednak posłał rachunek do fabryki pana.

— My przecież znajomi, panie inżynierze, po co między nami takie ceremonie?

I w obawie, by chemik nie zażądał większej sumy, wyjął szybko pugilares, odliczył dwadzieścia pięć guldenów, zwinał banknoty w trąbkę i podając rzekł:

— Niech pan inżynier przyjmie to za fatygę.

Wychodzącego powstrzymały słowa chemika:

— Panie Krausberg, na drugi raz, płacąc za pracę, dawaj pan pieniądze otwarcie, bo to nie żadna łapówka, ale należność.

— Ja prosty człowiek, — odpowiedział zmieszany, — ja nie chciałem obrazić pana inżyniera.

Chemik przeliczył pieniądze, spojrzal na stojącego u progu, i mówił z uśmiechem ironicznym:

— Dwadzieścia pięć to trochę za mało, ale niech będzie na pierwszy raz, jednak nie zapominaj pan na przyszłość, że jestem z kraju, w którym za pracę płaci się dobrze.

— Ja będę pamiętał, — odpowiedział, zamykając drzwi za sobą.

Pan Krausberg był niezadowolony ze siebie, sądził, że zaimponuje chemikowi swoją uczciwością i zapłaceniem niezażądanych pieniędzy, a w zamian otrzymał niepotrzebną mu naukę wręczenia pieniędzy własnych.

— On nie jest delikatny człowiek, to wielki gbur — mruknął do siebie, idąc do swej fabryki.

— Panie dyrektorze, — rzekł do pana Wintera, spotkanego w biurze fabrycznem, w którem pracowało trzech pisarzy, krewnych właścicieli — ten pański inżynier już zrobił cerezynę i wyciągnął tabliczkę białą.

— Tak? Ach mój Boże, to żadna sztuka, i ja robiłem taką cerezynę.

— Nu, a czemu pan dyrektor nie robi u nas?

— Czemu? daj mi pan pracownię chemiczną, dobre materyały, a będziesz pan miał taką.

— On mówi, że pan dyrektor potrzebuje gatunkować wosk surowy, to dostanie taką cerezynę.

— Głupi jest z gatunkowaniem, — zawołał obrażony, — i ja wiem o tem, ale kolor zależy od odkwaszenia, upiększenia i filtrowania. Daj mi pan ludzi zdolnych i chemika, a zrobię panu.

— Po co panu chemik?... A pomocnik pana nie może to zrobić?

— Także coś nowego! — odburknął gniewny, — sam nie mogę się rozerwać na cztery części, ktoś musi mi pomagać.

— Panie dyrektorze, a co pan powie na to, gdybyśmy zgodzili na chemika tego inżyniera.

— Van Haechta?! Bardzo wątpię, aby przyjął miejsce.

— Nie na stałe, ale tak sobie do pomocy przy robocie cerezyny.....

— To byłoby niezłe, tylko czy on się zgodzi?

— On mi tak powiedział. Pan dyrektor rządzi i jeśli zechce mnie mieć, on mnie wezwie. Ile jemu dać, panie dyrektorze?

— Nie wiem, zwykły chemik bierze od 50 do 100 guldenów na miesiąc, ale on zechce drożej.

— Ja już mówiłem, że on nie będzie na stałe, niech on przyjdzie raz na dzień, pogada, zobaczy, no i koniec. Za taki spacer ja mu dam trzydzieści guldenów na miesiąc!

— Trzydzieści??

— Panie dyrektorze ja mu dołożę pięć guldenów, jak będzie biała ładna popłatna cerezyna.

— Hm... nie wiem.

— Co to szkodzi spróbować, niech pan dyrektor pójdzie do niego, i powie jemu prawdę, że to będzie zabawka dla niego, taki sobie wesoły spacer, i za to dostanie trzydzieści pięć guldenów na miesiąc, ale cerezyna musi być biała, taka jak ta tabliczka.

— Pójdę, spróbuję, — mówił biorąc kapelusz, — a jest w domu?

— Ja idę od niego, i zaczekam tu na pana dyrektora.

W pół godziny wrócił pan Winter i rzekł do oczekującego właściciela:

— Mówiłem — że nie przyjmie tak niskich warunków, i nie przyjął... Żąda 200 florenów miesięcznie i zakupna potrzebnych przyrządów chemicznych.

— To źle, ja nie myślałem, że on taki drogi — westchnął szczerze p. Krausberg. — i co my teraz zrobimy?

— Sprowadź pan chemika stałego, a zanim on przyjedzie, inżynier van Haecht — mówił dyrektor tonem, w którym brzmiała duma — robi to dla mnie i będzie przychodził do fabryki, udzielając ludziom wskazówek w razie potrzeby.

— On będzie przychodził? On będzie pilnował cerezyny?! I bezpłatnie, to nie może być — dziwił się szczerze właściciel.

— My inżynierowie oddajemy sobie przysługi koleżeńskie. On robi to tylko dla mnie!

— To bardzo pięknie ze strony panów inżynierów, oni powinni się trzymać kupy, — mówił uradowany p. Krausberg, — to my, panie dyrektorze, będziemy mieli białą, twardą cerezynę.

— Mielibyśmy i bez niego, a teraz to już napewno; podzielimy się robotą, i cerezyna już gotowa.

— Pan dyrektor zrobił to mądrze i tanio — pochwalił właściciel, — ja panu bardzo dziękuję i ja będę to pamiętał.

Wieczorem zasiadł pan Krausberg w domu do rachunku i właśnie doszedł do rezultatu, iż fabryka cerezyny po odtrąceniu kosztów utrzymania stałego chemika da znaczne zyski przy produkcji białej cerezyny, gdy weszła żona mówiąc:

— Lejzor, przyszedł do ciebie komiwojażer z Austrii, i chce się widzieć z tobą.

— Gdzie on jest, Suro?

— On stoi w pierwszym pokoju.

Pan Krausberg, jak siedział w lejbiku szarym bez rękawów, tak wszedł do pokoju jadalnego i spojrział na przybyłego, blondyna z rysami semickimi, ubranego z przesadną elegancją:

— Przyjechałem od firmy Sorgenthal...

— Ja znam ją.

— Firma moja pragnie zawiązać stosunki z fabryką cerezyny: Krausberg, Lindeman und Stillbach.

— Ile pan płaci za centnar cerezyny?

— Zależy od gatunku, czy mogę widzieć próbę?

— Siadaj pan, ja panu dam.

Wyszedł, chwilę się namyślał, czy nie dać tabliczek, wziętych od chemika, lecz wkrótce uśmiechając się, wydobyl najgorszy okaz cerezyny z własnej fabryki i wręczył przybyłemu.

— Czy tylko taką cerezynę macie panowie? — spytał, spoglądając dość lekceważąco na próbkę.

— Dotychczas innej nie fabrykujemy, może później będzie lepsza.

— Ile pan żąda *loco* stacya kolei?

— Sto guldenów za centnar.

— To niemożliwe, my za najlepszą tak płacimy, niema mowy o stu guldenach.

— Ile pan da?

— Za taką cerezynę, co najwyżej 76, a za trochę lepszą 78 guldenów.

— Pan myśli, że to wosk prosty, ozokerit, czy co? Nas fabryka drogo kosztuje i tylko dla takiej firmy mogę opuścić guldena jednego na centnarze.

— Ja widzę, że pan nie chce zawiązać stosunków handlowych z naszą firmą. Ja dam panu centnar *loco* stacya 76 g. 50 cnt.

— Pan sobie żartuje, — uśmiechnął się pan Krausberg, — ale ja panu coś powiem. Ja jestem tylko wspólnik, pan weź sobie tę próbkę, co panu opuszczą Lindeman i Stillbach, ja zgadzam się na ich cenę.

— Gdzie oni mieszkają? — spytał zabierając się do odejścia.

— Panu powie każdy z naszych na ulicy, ich znają w Drohobyczu.

W trzy dni później na sądzie polubownym panowie Lindeman i Stillbach, zniechęceni niską ceną cerezyny, ofiarowaną im przez firmę Sorgenthal, starali się usilnie udowodnić sądowi, że pan Krausberg w sprawie fabryki cerezyny działał od samego początku podstępnie na ich niekorzyść. On zwabił ich do swego domu i nakłonił do spółki; budował drogo fabrykę, przepłacając materiały, sprowadził nieodpowiedniego dyrektora, i tylko sam korzysta z tej fabryki, sprzedając drogo swój wosk.

Pan Krausberg bronił się niezręcznie, niektóre fakta wobec świadków był zmuszony uznać, mieszał się w odpowiedziach i tłumaczył niejasno.

Sąd po naradzie odczytał wyrok, mocą którego pan Lejzor Krausberg skazany jest na spłatę wspólników, jednak ze względu, że nie udowodniono mu złej wiary, sumę należną od niego wspólnikom, rozkłada się na dłuższe terminy bez żadnego procentu.

Wyrok przyjęły obydwie strony z zadowoleniem, a na drugi dzień wieczorem przybito świeży szyld na fabryce cerezyny, zamiast dawniejszego spółki wypisano wielkimi literami na białym tle: *Lejzor und Moses Krausberg!*

XXV.

Pan Emil van Haecht, korzystając z dnia świątecznego wybrał się do Drohobycza. Na placyku Bazyliańców, zapelnionym wozami i furmankami przedmieszczan i chłopów z okolic miasta, woźnica zwolnił bieg koni i zwrócił się do siedzącego:

— Kiedy i gdzie każe pan inżynier przyjechać po siebie z fabryki?

— Niepotrzeba, przyjdę pieszo.

— Może będzie za daleko?

— Dwa lub trzy kilometry to nie odległość, gdyby się kto pytał o mnie, wieczorem będę w domu.

Zeskoczył z eleganckiej, fabrycznej bryczki i wmiszał się w tłum ludzi gwarzących, nawołujących na siebie, idących ku kościołowi i licznym sklepikom przygodnym, ustawionym w rzędzie.

Wśród zebranych przeważali przedmieszczanie, ubrani w bekiesze granatowe, suto szamerowane, w kapeluszach ze szerokimi skrzydłami, w butach palonych glansowanych; wobec nich, chłopci w serdakach i guńkach, w małych czarnych kapeluszach, z pod których

spadały długie włosy, w chodakach na nogach, wyglądali niepozornie, ubogo; podobnie jak ich żony przedstawiały się skromnie i pokornie naprzeciw wystrojonych przedmieszczanek. W promieniach jasnego południowego słońca lśniły się jedwabne chustki na głowach, zawiązane nakształt turbana, odbijały wyraźnie sznury grubych koralu na bielutkich koszulach, barwiły się jaskrawe, suto fałdowane spódnice i wyraźnie rysowały się figury niewieście pod krótkimi, obcisłymi kaftaniczkami.

Nie znając kraju i jego obyczajów, nie rozumiejąc języka, patrzył ciekawie na ten tłum wesoły, uśmiechnięty, ubrany odświętnie, pomiędzy którym uwijali się żydzi, widoczni po swych czarnych chałatach, krzyczały dzieci, gwizdały na glinianych konikach, hałasowały grzechotkami, patrząc pożądliwie na zabawki jaskrawo malowane, na obwarzanki i pierniki rozstawione po nętnie na niskich stolikach. Zwolna przesunął się przez tłum i wszedł na rynek, mieniący się od barwnie ustrojonych kobiet, wrzaskliwy od przeróżnych kupcowych, sklepikarek i kramarek, od roznoszących wodę sodową, limoniadę, owoce i inne przysmaki. Szedł popod podszienia do kościoła stojącego tuż za rynkiem, a przeciskając się przez przekupniów i handlujących, spotkał się niespodzianie z panem Krausbergiem.

— Co pan tu robi, panie inżynierze?

— Oglądam Drohobycz.

— Co tu można zobaczyć, dziś są sami chłopcy, u nich święto, to przyjechali, aby stracić zarobione pieniądze — uśmiechał się drwiąco. — Panie inżynierze, ja panu bardzo wdzięczny za tę białą cerezynę. jak pan

będzie czego potrzebował, niech pan się uda do mnie, Krausberg zrobi wszystko.

— Dziękuję, nie mi nie potrzeba.

— Nigdy naprzód nie można wiedzieć, może zająć jakiś wypadek, dlaczego nie?

Musieli obydwaj cofnąć się o kilka kroków, gdyż tragarze wnosili do sklepu ciężkie kamienie wosku pszczelnego.

— Skąd ten wosk? — spytał van Haecht.

— To robią pszczoły, oni przywieźli ze wsi, aj to dobry interes, nic nie kosztuje, a płaci się trzy razy tyle, ile nasza cerezyna.

Chemik spojrział zaciekawiony pytając:

— Wosk? Czy u was ma taki zbyt?

— To złoty interes, tylko mało jest wosku, każdy chłop musi kupić do kościoła albo do cerkwi kilka świec woskowych, inne kupuje on tylko na własne potrzeby, a on bardzo mało potrzebuje, takiemu chłopu wystarcza komin, on nawet nafty nie potrzebuje w domu.

— Gdzie można wosk kupić?

— Pan inżynier dostanie w każdym sklepiku. Na co panu potrzebny wosk?

— Do doświadczeń chemicznych.

— Ja panu inżynierowi mogę dostarczyć.

— Dziękuję, sam kupię.

— Pan inżynier jest bardzo dumny.

— Nie lubię usług narzucanych — odparł szorstko.

— Ja widzę, że już nudzę pana inżyniera, ja już pójdę.

— Żegnam pana.

Wszedł na plac, przemieniony świeżo na ogród spacerowy, pełen klombów, drzew i laweczek, otaczający kościół ładny, gotycki, murowany z cegły. W tej chwili roił się ogród od pobożnych wchodzących i wychodzących z kościoła. Przez otwarte naościę drzwi główne widać było falowanie tłumu, niebieskawe obłoki dymu, wznoszącego się w górę, jarzące świece u głównego ołtarza, i na zewnątrz przedostawały się głębokie tony organów, wtórujących pieśni pobożnej.

Wstąpił do kościoła, rozglądając się na razie ciekawie po ściennych malowidłach, ołtarzach, ludziach zgromadzonych, ale stopniowo dźwięki organów, zapach kadzidła, dzwonki ministrantów przypomniały mu jego młodość, gdy z matką modlił się w kościele rodzinnej wioski Breskene. I tam brzmiały organy, pachniało podobne kadzidło, odzywały się dzwonki, ale przy nim była matka, wokoło inni ludzie. inne twarze, inne stroje, inne ołtarze obwieszane łódkami, okręcikami, jako wota żon i matek, modlących się gorliwie i z wiarą niezachwianą za swych mężów i synów, płynących na dalekich morzach. Obraz za obrazem z jego dzieciństwa i młodości przesunął się przed nim, widział pysznie uprawiane pola poprzedzielane drzewami, rosłe konie ardeńskie, ciągnące po bitych drogach dwukolne wozy, szły z głuchem dzwonieniem łagodne krowy, w dali czerwieniły się dachówki domów wiejskich, znaczyła się na płaszczyźnie smukła wieża kościelna; cały utonął w myślach, przenoszących go do rodzinnego kraju.

Wyszedłszy z kościoła, jeszcze miał w umyśle obrazy z Breskene, zdawało mu się przez chwilę, że tuż ujrzy

mieniające się w blaskach słonecznych morze, posłyszysz głuchy szum przewalających się fal, owionie go świeży, morski powiew.

Otrząsł się z widziadeł, zobaczywszy młode drzewa i krzewy, a za nimi rozrzucone domy mieszkalne. W około słyszał obcy język, wiatr przynosił rozparzone wyziewy fabryk, zapach dymu, skór, nafty...

Ogarnęła go nostalgia za ojczystem niebem, ziemią, powietrzem, morzem.

Wstrętne mu były kamienice, zszargane deszczem i śniegiem, brudni przekupnie, wyziewy rynsztoków, miał żal do tych ludzi uśmiechniętych, wesółych, zajętych tylko sobą, i w tem podnieceniu żalu i tęsknoty, zamiast z rynku skręcić na prawo ku fabryce, szedł prosto przed siebie, aż wreszcie ujrzał się zdala od zgiełku i ludzi na małym wzgórku. Z lewej strony wznosiła się wielka parowa cegielnia, z prawej ciągnął się mur, z poza którego wznosiły się liczne krzyże nadgrobnne.

Przez otwartą bramę wszedł na cmentarz. Owionął go chłód i spokój umarłych, lecz równocześnie wzmożła się tęsknota i żal za krajem. Czuł się bardzo osamotnionym, opuszczonym, zapomnianym, biednym. Wokoło obco, pusto, smutno, nikt nie przemówi serdeczniej, nikt nie wyciągnie ręki do uścisku, nikt nie współczuje, tylko interesu z obcymi, i tylko zawsze nafta, воск, zysk, strata. Zdawało mu się, że swoją przeszłość już pogrzebał, i oto stoi nad świeżym grobem, w którym złożył swe najdroższe pamiątki. Żal i ból odczuwał niemal fizycznie, piekły go oczy, drżało serce, drgały nerwy,

kurczyło się gardło. Usiadł na kamieniu nagrobnym pod cieniem brzoź płaczących, nadpłynęła fala tliwości, zapragnął namiętnie zobaczyć kogoś ze swoich, spojrzeć mu w oczy, uścisnąć rękę, posłyszeć dźwięk mowy ojczystej. Nasłuchiwał. Nad nim drżały szeptając listeczki brzozy, dźwięczały owady, szemrały osiki, a wśród tych cichych szeptów, dźwięków, szmerów zdawało mu się, że posłyszał ciche łkanie.

Wstał, obejrzał się w koło. Białe figury nagrobków promieniały w blaskach słońca, świeciły się litery złoczone, czerniały krzyże. Idąc w głąb słyszał w ciszy cmentarnej zgrzyt piasku pod nogami, brzęczenie pszczół, ćwierk koników polnych i świerszczy, a skręcając w boczną ulicę, spostrzegł dwie modlące się nad grobem kobiety.

Obie klęczały zwrócone profilem do niego.

Widok ich szczerzej boleści i żalu, gorącej modlitwy wzruszył go, sam bowiem był rozstrojony tęsknotą za krajem. Widział w nich pokrewne dusze. równie smutne, jak on w tej chwili. Powodowany szacunkiem, nie chcąc przeszkadzać im w modlitwie, cofnął się, okrążył część cmentarza i zwolna zbliżył się z drugiej strony do klęczących kobiet. Obie były ubrane w ciemne suknie, starsza często podnosiła chusteczkę do załzawionych oczu, młodsza modliła się w skupieniu, wpatrzona w skromny krzyż czarny z tabliczką nazwiska i zgonu zmarłego.

Regularne rysy twarzy młodej panny, wymykające się z pod kapelusika jasne złotawe włosy, spokój i dobroć, rozlane w twarzy, wzniesione na krzyż niebieskie oczy, ocienione długimi rzęsami, przypomniały p. van

Haechtowi, typowe twarze z jego ojczyzny. Zbyt świeżo odczuł tęsknotę, aby spotkanej, pięknej postaci nie łączyć ze wspomnieniami swego kraju. Oparty o nagrobek, im dłużej się wpatrywał w tę twarz piękną, wyraźnie narysowaną, z delikatną cerą, tem czuł więcej, że gdzieś, kiedyś widział już tę postać, we śnie czy na jawie, ale on znał ją, ona była mu pokrewną, bliską.

Uparty ten wzrok odczuła bezwiednie modląca się, zaniepokojona obejrzała się i spotkała jasne, błyszczące oczy wpatrzonego. Odwróciła się szybko, rumieniąc się lekko wbrew woli i chęci.

Po chwili powstały obydwie i szły w kierunku bramy. Pan Haecht nie spuszczał oczu z odchodzących. Smukły wzrost, piękna figura, rytmiczny chód, podobały mu się na równi z piękną twarzą.

Już chciał iść za nimi, lecz wpieryw postanowił odczytać napis na grobie, przed którym modliły się kobiety. Zbliżył się i przeczytał: August Bratkowski, spojrzał na grób pełen kwiatów i pomiędzy liśćmi, wiotkimi łodygami dojrzał książkę do nabożeństwa.

Podniósł, przerzucił kilka kart, lecz nie znając języka polskiego, zamknął książkę, spiesząc za kobietami, by im zapomnianą rzecz oddać.

Dojrzał je na chodniku idące w kierunku miasta, przyśpieszył kroku, zastanawiając się przez chwilę, w jakim języku przemówić do nich, po francusku czy niemiecku. Dziś jednak nastroiła go nostalgia tak na ton ojczysty, że postanowił użyć języka francuskiego, zbliżył się, a składając ukłon, przemówił do zdziwionych kobiet.

— Przez zapomnienie zostawiła pani, — zwrócił się do młodszej, obaczywszy w ręku matki książkę. — Odczytując napis nagrobny, spostrzegłem ją i miło mi zwrócić jej własność.

Zmieszana i zarumieniona odpowiedziała w tym samym języku:

— Dziękuję panu, zapomniałam.

— Błogosławię to zapomnienie, — zawołał uradowany, — bo usłyszałem mój język ojczysty, a tak bardzo pragnąłem dziś posłyszeć dźwięk jego.

Widząc niepewne i zmieszane miny kobiet, które przystały, odbierając książkę, dodał z żywością:

— Pozwolą panie, że sam się przedstawię tu, za-
nim będę miał zaszczyt złożyć państwu moje uszanowanie. Jestem Emil van Haecht, belgijczyk, i chwilowo pracuję w fabryce rafinerii Spółki kopalnianej.

Obie panie słuchały w milczeniu idąc z wolna chodnikiem.

— Niech pani daruje — mówił do matki, — za-
tęskniłem dziś za krajem, za swoimi, i oto spotkało mnie szczęście rozmawiania w swoim języku, niech pani na ten jeden, jedyny raz usunie formy konwencyonalne, i pozwoli mi towarzyszyć paniom.

Tyle szczerzej prośby było w jego głosie, że pani Bratkowska uległa i powiedziała uprzejmie:

— Pominę formy ze względu, że pan obcy tutaj, i rozumiem żal pana za krajem.

— Pani może zna Belgię?

— Byłam tam, ale to już dawno, i kraj jest istotnie piękny.

— A morze! To nasze morze, mieniące się barwami, zawsze żywe, silne, piękne...

— Pamiętam, — odpowiedziała uśmiechając się z jego zapachu.

— A pani nie zna Belgii? — spytał córki.

— Nie znam, nie byłam zagranicą.

— Jaka szkoda!

— Mnie czy zagranicy? — uśmiechnęła się.

— Źle się wyraziłem, pani ma słuszość, powiedziałem szkoda, powodowany egoizmem.

— Jakże się panu podobało u nas? — spytała pani Bratkowska po chwilowem milczeniu.

— Błądzą tu, jak niemy i głuchy, bo nie znam języka, słyszę nie słysząc, patrzę nie widząc, i pragnąłem spotkać kogoś, któryby mnie uleczył, przywrócił mi słuch i wzrok.

— Ale sam kraj, okolica? — dodała panna Zofia ciekawa wrażeń cudzoziemca.

— Natura jest wszędzie piękną, ale... ja wolę moje płaszczyny i bezbrzeżne morze. Tam wzrok leci jak ptak wolny, tu rozbija się o pręty klatki.

— Wspaniale są nasze góry, — mówiła podrażniona, — a z ich szczytu oko sięga dalej, niż w nizinach, i patrzy górniej, nie pełzając wiecznie po ziemi.

— Słuchając panią, gotów jestem polubić góry.

— Taki pan zmienny i wrażliwy, — rzekła swobodnie.

— Nie pani, ulegam tylko prawu sugestyi, czytając piękny opis lodowców na biegunie północnym, krajów podzwrotnikowych, lub Sahary, interesują mnie te okolice i lubię je dzięki artyzmowi autora.

Weszli w rynek. Mieszkańcy miast prowincjonalnych, zapewne z braku innych rozrywek, zajmują się z wielkiem zamiłowaniem i starannością sprawami swoich bliźnich. Zjawienie się inżyniera w towarzystwie pań Bratkowskich zaciekało i poruszyło nietylko spotkanych z t. zw. inteligencyi, ale zainteresowało przekupki, służące, faktorów, i zbierająca się pod apteką giełda zauważyła to niezwykle zdarzenie.

Byli nawet tacy, co starali się podsłuchać idących, jednak francuski język stał tym usiłowaniom na przeszkodzie.

Pani Bratkowska, znająca tę właściwość miasta, uśmiechnęła się na widok zaciekawionych i szpiegujących spojrzeń i spytała:

— Pan ma znajomych w Drohobyczu?

— Nikogo. Siedzę w mojej fabryce jak borsuk w jamie, dziś wywabiła mnie pogoda i dzień świąteczny.

— I zawsze siedzi pan w fabryce?

— Pracuję nad naftą, a teraz nad woskiem, i jedynie praca w mej pracowni chemicznej daje mi zapomnienie.

— Takie życie nie jest zbyt przyjemne.

— Raczej smutne, i czasem tak zatęsknię do ludzi, że pakuję moją walizkę, aby uciec z tych miejsc ale... refleksya, i zostaję.

— Jesteśmy blisko domu, tam mieszkamy — i wskazała na parterowy dom w ogrodzie.

Panie zwolniły kroku, spostrzegł, że należy je pożegnać.

— Kiedy pozwolą mi panie złożyć uszanowanie?

— Jesteśmy w domu każdodziennie od godziny 2 do 4.

— Zanim panie pożegnam słowem „do widzenia,“ przepraszam najserdeczniej za moje natręctwo i jestem bardzo wdzięczny za chwile użyczonego mi szczęścia.

Rozstali się.

Pani Bratkowska, skręcając do domu, rzekła do córki:

— Przyjemny i ugrzeczniony człowiek.

— Sądzi mama, że on jest szczerzy?

— Jestem tego pewna.

Pożegnawszy ich, szedł ku domowi z twarzą rozpromienioną, nie widząc ludzi, ustępując im machinalnie, nie słysząc gwaru miasta, gdyż w oczach miał tylko jej postać, twarz, oczy, włosy, ruchy; w uszach dźwięczały mu jej słowa. Zdała od kraju po raz pierwszy spotkał kobietę młodą, piękną, inteligentną, z którą mógł rozmawiać w rodowitym języku o innych sprawach, aniżeli fabryce, nafcie, wosku, pieniądzech...

Nasunęło mu się pytanie: kto ona? czem się zajmuje? jak żyje?

Wkrótce jednak skinął ręką, jakby odpędzał natrętny owad, bo w jakim celu i po co miał się pozbywać złudzenia, że ona jest wolną, dobrą, szlachetną.

Znalazł wreszcie kogoś na obczyźnie, tak daleko od swoich, z kim może podzielić się ze swemi wrażeniami, oderwać myśl od spraw codziennych, choć na chwilę, chociażby w urojeniu wejść w kraj poezyi; nie czuł się już tak samotnym wśród tych gór, ludzi, fabryk.

Dopiero będąc w swym pokoju przypomniał sobie, rozmyślając o jutrzejszej pracy, że nie przyniósł ze sobą wosku pszczelnego, polecił kupno woźnemu, i zamierzał wieczór spędzić u siebie, gdy nadszedł bilet od pana Wintera z usilną prośbą przyścia do fabryki, gdyż cerezyna stoi i czeka.

XXVI.

Cały następny dzień poświęcił pan Haecht pracy nad cerezyną i woskiem pszczelnym.

Dowiedziawszy się od pana Krausberga o wysokiej cenie wosku pszczelnego, postanowił na drodze chemicznej uzyskać ten produkt z cerezyny, i miał to wysokie zadowolenie, że samodzielnie osiągnął cerezynę, ludzaco podobną do wosku pszczelnego.

Właśnie wybierał się do pań Bratkowskich z wizytą, gdy przyjechał p. Floryański i zaszedł do pracowni. Widząc tabliczki cerezyny i wosku spytał:

— Panie van Haecht, czy zajmuje pana wosk ziemny?

— Pan Winter, dyrektor fabryki cerezyny prosił mnie o pewne wskazówki, których mu udzieliłem.

— Ale tu widzę wosk pszczelny.

— Proszę, zgadnij pan, która z tych tabliczek jest zrobiona z wosku pszczelnego, a która wyrobem z cerezyny? — spytał z uśmiechem.

Pan Floryański namyślał się, badał, przelamywał, wreszcie wybrał i podniósł w górę mówiąc:

— Ta, panie van Haecht.

— 'Ta?! — zaśmiał się chemik z zadowoleniem, — właśnie jest z cerezyny.

— Ponieważ nie zajmuję się woskiem, może zechce pan mi objaśnić ten wyrób?

— Bardzo chętnie. Rozpuszczoną białą cerezynę zabarwia się do koloru wosku gumigutą, curcumą, chinoliną lub inną ingrediencyą, a następnie dodaję dla zapachu trochę wosku pszczelnego, którego skład zbadał doskonale Brodie i Busine; i łatwo mi się zorientować w ilości.

— Czy zamysła pan zużytkować ten swój wynalazek tutaj?

— Za wielkie słowo wynalazek na rzecz tak drobną, ale istotnie zamierzam zaproponować kupno właścicielowi fabryki p. Krausbergowi.

— Jemu? — uśmiechnął się p. Floryański, — radzę być bardzo ostrożnym, to chytry żyd. Swoją drogą cieszyłbym się, gdyby go pan pociągnął na większą sumę.

— Myślę wziąć jakie 500 do 1000 guldenów.

— Tak mało? Ależ on da o wiele więcej, żądaj pan 5.000 guldenów.

— Za wiele, najwyżej 3.000.

— Przynajmniej zaceń pan wyżej.

— Nie lubię targów, albo mi da 3.000, albo nie, kupczyć nie lubię.

— W takim razie nie wchodź pan w stosunki z żydami.

Po chwili milczenia spytał chemik:

— Nie ma pan wiadomości o aparatach?

Dziś powinny być na stacyi. Może pojedziemy na stacyę?

— Jeśli pan mógłby się zatrzymać gdzieś w mieście pojechałbym chętnie, bo dziś mam złożyć wizytę.

— Pan? W Drohobyczu? — śmiał się pan Floryański.

— Poznałem panie Bratkowskie i składam im wizytę — odpowiedział tonem poważnym.

— Bratkowski?! Bratkowski?! Ach wiem, to jeden z tych nieszczęśliwych, którzy szukając wosku czy nafty, znaleźli śmierć.

— Pan go znalazł? — spytał zainteresowany.

— Nie znałem osobiście, słyszałem tylko, miał za małe kapitały i wiadomości... Cóż, jedzie pan?

Zapytały spojrzal na zegarek, była pierwsza.

— Mam dwie godziny czasu, czy ułatwimy się na kolei?

— Naturalnie. Jedźmy, a potem odwiozę pana do pań Bratkowskich, bo zapewne musi być matka i córka?

— Tak jest.

— Nie zakochaj się pan tylko.

— Niema obawy, zbyt dobrze jestem opancerzony.

— I pancerz nie pomógł rycerzom, musieli go odrzucić, — zaśmiał się p. Floryański.

— Mój pancerz jest moja wola, potrzebuję tylko niechęć, a miłość nie znajdzie przystępu.

— Zazdrozczę wiary.

— Mówię z doświadczenia.

— W tym wypadku, doświadczenia z chemią uczuć trzeba zawsze zaczynać od początku, poprzednie nie dają się zastosować.

Chemik spojrział znów na zegarek mówiąc:

— Pozwoli pan, że się przebiorę, za chwilę będę gotów.

— Zaczekam.

Okolo godziny trzeciej lekki powozik, zaprzężony czwórką szpaków, ku zdziwieniu sąsiedztwa stanął w ustronnej uliczce przed mieszkaniem pań Bratkowskich, i pan Haecht wysiadł.

— Długo pan zabawi? — spytał p. Floryański.

— Kwadrans, najwyżej pół godziny.

— Jadę do fabryki, aby rozporządzić przywiezienie aparatów chociażby dzisiaj, panu przysług tutaj konie fabryczne.

— Dziękuję, byle się nie spóźnił.

— Kto? Pan czy on? — uśmiechnął się.

— I on, i ja, — zawołał wesoło, żegnając się z administratorem.

Otworzył drzwiczki w sztachetach i wszedł w uliczkę ogrodową, ujętą w szpaler agrestów. Rozglądał się ciekawie wokoło. Wśród grządek ogrodowizny stały drzewa owocowe, a dopiero bliżej domku, przeświecającego białymi ścianami, były skupione drzewa dzikie, przerastające znacznie dach domu. Zbliżywszy się ujrzał na ganku domu chłopca młodego, może lat piętnastu, uspakającego psa, rwącego się w kierunku gościa:

— Cicho Hektor! Leżeć!

Podszedł bliżej ganku na dwóch słupkach, obrośniętego powojami różnokolorowymi, wychylającymi na wszystkie strony swe delikatne kielichy.

— Czy zastałem panie Bratkowskie? — spytał po francusku.

Chłopak spojrział na niego, zdziwiony obcym językiem, zmieszał się, zczerwieniał i odpowiedział niezbyt płynnie:

— Mama i siostra są w domu, proszę, wejdź pan do pokoju — i wskazał drzwi z prawej strony.

— To młody pan Bratkowski, — zawołał gość, — miło mi poznać pana, jestem van Haecht — i uściśnął rękę chłopca, który przywitawszy się otworzył drzwi bawialni, zapraszając gościa, sam poszedł szybko w głąb domu.

Pokój dość obszerny, narożny, był skromnie umeblowany wyścielanymi meblami, obitymi szarą materią, ale w rozkładzie mebli, w obrazach wiszących, w ustawieniu kwiatów przy oknach, czuć było indywidualne zamiłowanie, dążność zrobienia tego pokoju miłym i przyjemnym dla siebie.

Otworzyły się drzwi boczne i weszła panna Zofia, ubrana w skromną jasno popielatą suknię. Podając mu rękę białą, ładną, uśmiechnęła się przyjaźnie:

— Dzień dobry panu, proszę siadać pan.

— Pragnąłem wczoraj być u państwa, zatrzymała mnie robota.

Umilkli, po chwili spytał:

— Jak zdrowie mamy?

— Dziękuję panu, zajęta gospodarstwem, zaraz przyjdzie.

— Może przeszkodziłem w czemkolwiek paniom?... Trzymałem się jednak ściśle oznaczonych godzin.

— W niczem pan nam nie przeszkodził..

Znów milczeli, czując oboje ogólnikowość tej rozmowy.

Panna Zofia uśmiechnęła się, gdyż miała na ustach sakramentalne słowa o pogodzie dnia, i rzekła swobodnie.

— Naprawdę nie wiedziałam, że rozmowa o niczem jest trudną, bo przecież banalność jest tak łatwą.

— Nasze poznanie nie było banalne, — mówił z ożywieniem, — spotkałem panią nad grobem, widziałem panią przez pryzmat mej ojczyzny, a zaprezentowałem się jak waryat. Czyż nie tak?

— Co pan rozumie przez pryzmat?

— Każdy z nas posiada w swym umyśle pewien zasób cech ulubionych i odszukuje je w spotkanych osobach. Pani np. twarzą swoją, włosami, postacią przypominała mi wrażenia dzieciństwa, byłem pewny, że z ust pani usłyszę dźwięk mojej mowy ojczystej, i wszystko jedno, czy znalazłbym lub nie, książkę pani, byłbym się zbliżył do pań, bo wierzę, iż we wszechświecie płyną jakieś prądy sympatyczne lub antypatyczne, i według nich kształtują się stosunki ludzi.

— Pan wierzy w jakieś regulujące prądy, a dla mnie to tylko przypadek.

— Przypadek? Nie, bo i dlaczego zaszedłem tego dnia do kościoła, by mi on przypomniął ojczyznę, i pod wpływem rozdrażnienia poszedłem na cmentarz, by spotkać panią. Widzę w tem jakieś prawo wyższe, kierujące nami.

— Prawo samowoli wiatru, który zrywa dwa liście i pędzi przez chwilę w jednym kierunku. Następnie

jeden liść przylega do ziemi, bagna, wody, wszystko jedno, a drugi leci dalej i dalej.

— Czasem wiatr-los nie rozłącza liści...

— Przypadek, nic więcej.

— Pani wierzy w przeznaczenie, a ja uznaję prawa rządzące.

— Ślepe!

— Myli się pani, one są logiczne...

Weszła pani Bratkowska, a po przywitaniu spytała:

— O czym rozmawialiście?

— Pani sądzi, że nasz los zawisł od przypadku, a ja — że od praw ogólnych.

— Przypadek? Los? Prawo? To tylko dźwięki słów. Prawdą życia jest cierpienie, a pociechą rezygnacya.

— Cierpienie? — mówił gość z ironicznym uśmiechem, — ale proszę pani, w tej chwili jest mi dobrze, czuję się prawie szczęśliwym, i to dla mnie jest prawdą życia.

— Chwilowe urojenie, — uśmiechnęła się smutno.

— Chyba nie nazwie pani urojeniem, — zawołał, — że ten dom biały stoi, że lipy przesyłają aż tu swoją miodną woń, że w tej chwili jestem w świecie innym, lepszym, doskonalszym, gdzie mogę mówić o ważniejszych zagadnieniach, aniżeli o nafcie, wosku, pieniądzach...

— I tę przyjemność odczuwa pan w przeciwieństwie do minionej przykrości.

— Nie zgadzam się z mamą, — odezwała się córka zarumieniona, — prawo harmonii istnieje we wszechświecie, i ono tak samo obowiązuje, jak prawo cierpienia.

— Uprzedziła pani moje słowa, — zawołał pan Haecht, — harmonia jest szczęściem, a ona istnieje.

— Oboje jesteście młodzi, — mówiła pobłażliwie — ale co innego jest teoria, co innego praktyka w naszym życiu.

— W mojej nauce, w chemii, teoria idzie zgodnie z praktyką, która ją tylko sprawdza.

— W nauce może tak jest, ale w życiu...

— Proszę mamy! — zawołał syn przez uchylone drzwi.

— Idę.

— Szczerze się cieszę, — mówił pan Haecht po jej wyjściu, — że mamy wspólne poglądy na życie. Dzisiaj mam nawet nowy dowód zgodności marzeń z rzeczywistością. Jadąc do państwa, myślałem naturalnie o tem, jak i gdzie pani żyje...

— I rzeczywistość... — przerwała z uśmiechem.

— Sprawdziła marzenie. Wyobrażałem sobie, że pani, jak ta dobra wróżka, żyje w ładnym, małym domku, wśród drzew i kwiatów...

— Pijąc nektar, zając ambrozyę; i pan się omylił, bo jestem tylko nauczycielką prywatną, i jadam chleb zapracowany przezemnie; harmonia między pana marzeniem a rzeczywistością nie była zupełną. Cóż się tedy stanie z wróżką pana?

— Wróżka moja osiągnęła wyższy stopień rozwoju, — rzekł swobodnie.

— Nie rozumiem.

— Wszystkie nimfy, wróżki, undyny, żyją technie-

niem, a duszę ludzką otrzymują po długich cierpieniach i dopiero wtedy są szczęśliwe.

— Mieszkają w zamkach wspaniałych, — mówiła tonem bajki, — są uwielbiane przez wiernego rycerza, tryumfują nad wszelkiem złem i t. d., i t. d. To ładne, ale tylko w poezji.

— Ta jedna warta coś w życiu.

Po chwili milczenia spytał:

— Panie stale mieszkają w Drohobyczu?

— Od czasu śmierci ojca stale, dawniej byliśmy na wsi.

— Pobyt w Drohobyczu nie musi być przyjemny, za wiele żydów.

— My też naprawdę żyjemy zamknięci w domu naszym, a na miasto wychodzimy tylko w razie potrzeby.

— I nie tęskni pani do zabaw, teatru, koncertu? — pytał trochę zdziwiony.

— Czasem, ale rzeczywistość przywołuje mnie do porządku, i godzę się z koniecznością, nie zbyt przykrą zresztą, bo mam książki.

— Przywiozłem ze sobą sporo książek francuskich, mogę nimi służyć pani?

— Dziękuję panu, teraz nie miałabym czasu czytać, bo przygotowuję się do egzaminu nauczycielskiego.

— Jaka jednak pani inna, wyróżniająca się od zwykle spotykanych panien, które zawsze z lekceważeniem lub goryczą mówią o pracy i obowiązkach.

— Widocznie trafiał pan na wyjątki.

— Może i tak, a może pani jest wyjątkiem z reguły ogólnej.

— To przekonanie nie przynosi zaszczytu obserwacji pana.

Weszła pani Bratkowska, i kładąc zwitek na pianinie, rzekła:

— Pani Krajewska odesłała ci nuty.

— Pani grywa na fortepianie?

— Tylko dla siebie, — a widząc jego pytające spojrzenie, mówiła, — za mało umiem, za wysoko cenię muzykę, aby męczyć innych swoją grą.

Pan Haecht wstał z krzesła i zwracając się do pani Bratkowskiej, mówił:

— Prosiłbym panią o pozwolenie odwiedzenia pań wyświadczy mi pani wielką łaskę, bo prawdę powiedziawszy, znalazłem po raz pierwszy w domu pań ciszę bez martwoty, spokój bez lenistwa, szczęście bez szalu.

— I nam miło będzie widzieć pana, — odpowiedziała uprzejmie.

— Wolno mi zatem powiedzieć: do widzenia.

— Do widzenia!

Wyszedł niebardzo zadowolony ze siebie, gdyż jadąc na tę wizytę, myślał, iż od jednego razu stanie na przyjacielskiej, poufalej stopie, że potrafi jeśli już nie olśnić, to zyskać przychylnność tych kobiet, a obecnie czuł, że równie dalekim jest teraz, jak dawniej przy pierwszym poznaniu. A jednak szkoda, że nie umiał się dostroić do tonu domu, ona jest piękna, miła, szczerza, i w jej oczach jest coś, co nęci jak fala a drażni jak przepaść; oczy ma bardzo piękne i zagadkowe.

Spostrzegłszy konie fabryczne, przypomniał sobie swe obowiązki i spytał po niemiecku:

— Fury poszły po aparaty na kolej?

— Już, panie inżynierze.

— Zaczekaj na mnie obok Bazylianów, zatatwię kilka sprawunków i pojedziemy.

Zakupiwszy potrzebne rzeczy, szedł przez rynek, gdy tuż z boku usłyszał:

— Dobry wieczór panu inżynierowi.

— A to pan, panie Krausberg, mam interes do pana dosyć ważny.

Kupiec zbliżył się niedowierzająco i spytał:

— Jaki to interes?

— Onegdaj mówił mi pan, że wosk pszczelny droższy jest od cerezyny...

— Ja to samo dziś powiem.

— Otóż znalazłem sposób przerobienia wosku ziemnego na wosk pszczelny, mogę panu dostarczyć tego produktu ile pan zechce.

— Pan inżynier żartuje, — zaśmiał się z przymusem — wosk pszczelny pachnie i jest twardy, a nasz śmierdzi naftą i miękki jak błoto.

— Jedź pan ze mną do fabryki, a zobaczysz na własne oczy. Przedtem kup pan jednak pół funta wosku pszczelnego, aby porównać.

— Na co mi to? Ja panu inżynierowi dostarczę centnar naszego wosku, a pan mi odda pszczelny.

— Zróbmy panie Krausberg inną umowę... Na jeden dzień będę dyrektorem fabryki pana, i zamiast cerezyny, dam panu tę samą ilość wosku pszczelnego.

— Nu, ja się dziś zgadzam, taki wosk, byłby

dobry interes. Ja byłem dziś w mojej fabryce, jutro flirtują cerezynę.

— I jutro będzie pan miał воск pszczelny.

— Ja pojedę zaraz, — wołał rozgorączkowany pan Krausberg, — i powiem dyrektorowi, że pan inżynier ma prawo do rządu.

— Daj mi pan list, to wystarczy.

— Ja zaraz napiszę i pošlę do niego.

— Jutro w południe może pan obejrzeć nowy воск pszczelny.

— Ja już będę w mojej fabryce, — zawołał kłaniając się odjeżdżającemu.

Pan van Haecht korzystając z tego, że monter ustawiał dopiero aparaty dowiezione koleją, mógł cały ranek poświęcić wytworzeniu wosku pszczelnego z gotowej cerezyny, i przybyłemu do fabryki właścicielowi przedstawił gotowy produkt.

— Panie inżynierze, chodźmy, my teraz sobie pogadamy — rzekł pan Krausberg, przekonawszy się dostatecznie o ładnym podobieństwie wyrobu sztucznego z naturalnym.

Wyszli na podwórze fabryczne, a właściciel uśmiechając się przemówił:

— Panie inżynierze, ja panu dam dobrą pensję, a pan będzie mi robił taki воск.

— Nie przyjmę miejsca, pan może tylko kupić sposób robienia takiego wosku, nic więcej.

— Ile pan inżynier chce?

— Trzy tysiące guldenów.

— To za drogo, ja nie mogę, to byłoby mojem bankructwem.

— Nie kupi pan, kupią inni.

— Panie inżynierze ja może kupię, tylko niech mi pan wpierw powie, jak to się robi, ja zobaczę, czy inni potrafią bez pana inżyniera.

— Bez wybiegów panie Krausberg, powiem po zapłaceniu trzech tysięcy, i mogę upewnić pana, że dyrektor Winter dostarczy panu takiego wosku.

— Nu, ja panu wierzę, ale ja nie mogę dać trzy tysiące, ja dam... tysiąc pięćset.

— Od mojej cyfry nie odstąpię.

— Panie inżynierze, pan chce mnie zabić, ja nie mogę dać tyle, ja przez dziesięć lat tego nie zarobię.

— Nie kupuj pan.

— Ja zaryzykuję, ja powiem ostatnie słowo, ja dam dwa tysiące.

Chemik uśmiechnął się drwiąco i zwrócił się ku bramie.

— Panie inżynierze, niech pan nie będzie taki twardy... ja coś dodam.

Pan Haecht szedł w milczeniu dalej.

— Czemu pan nic nie mówi? Ja dam dwa tysiące dwieście... i pięćdziesiąt. Jakto jeszcze mało? — zawołał z rozpaczą, — nu, niech ja zbiednieję, dam jeszcze pięćdziesiąt.

— Wezmę tylko trzy tysiące.

— Panie inżynierze, opuść pan cokolwiek.

— Ani feniga.

Już byli blisko bramy. Pan Krausberg pochwycił klapę marynarki inżyniera i zawołał zmęczonym głosem:

— Nu, ja dam trzy tysiące, ale po próbie.

— Już była próba. Pan da mi przy umowie dwa tysiące, a gdy poinformuję dyrektora — resztę.

— Po co dyrektora? On uchwyci moją tajemnicę, i pojedzie, ucieknie do Niemców, to żaden interes... Pan inżynier wyuczy mego syna Mojżesza, czy on potrafi zrobić taki воск?

— Jeśli umie ważyć, to potrafi.

— On to umie... Panie inżynierze, to musi być bardzo prosty interes, kiedy idzie tylko o wagę, jaki on jest?

— Bardzo łatwy, tylko trzeba wiedzieć co, i ile zważyć.

— Nu, pan inżynier mądry i ostrożny, z panem można robić interesa. Ja dam trzy tysiące, a pan wyuczy mego syna.

— Kiedy?

— Po co czas tracić? My jutro zrobimy umowę, i jutro wyuczy pan mego syna.

XXVII.

Niespodziewana produkcyja wosku pszczelnego i płynące stąd zyski podniosły wysoko znaczenie pana Krausberga.

Już od dawna obserwowali współwyznawcy tę nową gwiazdę, zjawiającą się w Drohobyczu, widzieli rosnący jej blask przy „matce“, w sprawie szybu w Scho-dnicy, przy kupnie fabryki cerezyny, a teraz zajaśniała niemal oślepiająco w handlu nowym woskiem pszczelnym.

Poszły w niepamięć wszelkie wątpliwości, zawiści, gniewy i pretensye, bo on był nietylko bogaty, ale szczęśliwy; cokolwiek zaczął, do czego tylko przyłożył rękę, wszystko się wiodło, wszystko przynosiło mu zyski, i majątek wzrastał nieustannie. Otoczono go szacunkiem zabo-bonnym, czemś pośredniem pomiędzy czcią a obawą, jaką zwykle się odczuwa wobec człowieka lub zjawiska niezwykłego. W różnych sprawach zasięgano jego rady, stosowano się do jego słów, uznawano jego sądy, a pan Krausberg czuł ten szacunek współwyznawców, wiedział że nań zasłużył i umiarkowanie używał swej władzy.

I wszyscy kapitaliści i więksi i mniejsi, w Droho-

byczu, Borysławiu, Schodnicy uznawali go, liczyli się z jego wpływami, pamiętali o jego radach, tylko jeden pan Floryański nietylko nie zbliżył się do niego, ale odrzucał wszelkie propozycje, jak zmowy przemysłowców, obniżenia płacy robotnikom, utworzenia syndykatu właścicieli kopalń nafty, zmowy w sprawie cen drzewa, beczek — same korzystne interesa, a jednak nawet one nie skłoniły go do zawiązania stosunków z kapitalistami miejscowymi.

I dotychczas pan Floryański zawsze był górą, mimo niechęci, podstępów, starań zwartej masy mniejszych przemysłowców, u których nienawiść rosła w miarę rozwoju Spółki kopalnianej.

— Lejzor, kiedy my poradzimy temu Floryańskiemu? Ty pomyśl o tem.

— Ja myślę ciągle, przyjdzie czas na niego — odpowiedział z udaną pewnością siebie.

Zajęty planami zgnębienia administratora, pojechał pan Krausberg, jak zwykle, na Wolankę do kopalni wosku, którą obecnie bardzo rozszerzał ze względu na fabrykę cerezyny.

— Panie Lejzor — rzekł Efet po sprawdzeniu rachunków — ja panu coś powiem...

— Co takiego Efet, ty mów.

— Panie Lejzor, goje się ruszają — mówił tonem tajemniczym.

— Ty Efet mów wyraźnie, jakie goje?

— Nu nasze, robotnicy w Borysławiu, na Wolance, w Schodnicy...

— Jak oni się ruszają? Ty gadaj.

— Oni chcą zrobić znowę, aby im płacili więcej.

— Co to szkodzi? My im nie zapłacimy, znajdziemy sobie innych, czy to mało biednych gojów po wsiach?

— To nie koniec panie Lejzor... oni chcą szpitali, kasy, udziału w kopalni, oni chcą przymusić właścicieli do tych wydatków wszystkich i innych, oni chcą zrobić strejk i posłać deputację do Lwowa, a nawet do Wiednia samego.

— Efet, to jest rozbój, to bardzo brzydka rzecz — zawołał właściciel zgorszony — mnie opowiadali o takich paskudztwach zagraniczni kupcy, tam był wielki rejmach, gwałt, rozbój, kradzież...

— Ja to wiem — jęknął Efet.

— Nasz goj jest za głupi na takie rzeczy, on nie wymyśliłby tego — zastanawiał się p. Krausberg.

— Oni nawet mówią, że będą bić naszych, wypędzą ich... oni mają siekiery, kosy, cepy, noże...

— To nie może być, my zawołamy policję, żandarmerję, wojsko, bo my płacimy podatki...

— Niech oni nas bronią, niech strzelają do nich... ale, panie Lejzor, ja się boję.

— Ty nie potrzebujesz się bać, tobie nic nie zrobią, oni poszliby do kryminału, na szubienicę za ciebie.

— Ale ja się boję.

— Ty nie bądź głupi, Efet, ty mów dalej, może ja znajdę jaką radę... Kiedy oni chcą to zrobić?

— Ja nie wiem, oni czekają...

— Nu Efet, teraz ja wiem, że to oni nie wymyślili, nasz goj chce zaraz wódki i zaraz krzyczy, jak oni

czekają, to mają naczelnika i z nim możemy sobie poradzić. Ty nie wiesz kto?

— Ja nie wiem.

— A co ty więcej słyszałeś?

— Oni sobie mówią, że u nas w Borysławiu musi być tak, jak w Schodnicy, a nawet lepiej dla nich.

— Tak oni mówią? Efet, ja ci teraz powiem, czyja to robota, to zrobił sam Floryński, bo on antysemita i gorzej...

Efet wytrzeszczył oczy jeszcze bardziej, nie wierząc, aby taki wielki pan wdawał się z robotnikami.

— Efet, ty nie patrz na mnie jak wół — zaśmiał się właściciel — ty mówiłeś, że oni chcą większej płacy, a im płaci dobrze Floryński. Oni chcą kasy, a gdzie mają kasę? u Floryńskiego. Oni chcą szpital, a gdzie jest szpital? u Floryńskiego. Oni nam grożą, a kto jest nasz największy wróg? Nu. Floryński. To jego robota. Jak te goje się ruszą, to on już przepadł, on pójdzie do kryminału, bo on ich namówił.

Odetchnął uspokojony, uśmiechając się złośliwie. Po chwili rzekł:

— Ty Efet dowiesz się, kiedy oni się zbierają, a resztę my zrobimy.

— Dobrze, panie Lejzor, ale ja na noc będę jeździł do Drohobycza, ja się tu boję sam między gojami.

— Ty możesz jeździć, abys swoje zrobił — przyzwolił właściciel łaskawie i zabierał się do odejścia, gdy wszedł Abram.

— Co ty mi powiesz?

— Panie Lejzor, między robotnikami wielkie gadanie, oni chcą zrobić znowę.

— Ja wiem — odpowiedział spokojnie — ty mi powiedz, Abrum, kiedy oni chcą?

— Teraz będzie u nich święto, tak oni mówią, że trzeba im się zejść?

— A kiedy to święto?

— Za trzy dni.

— To dobrze, my mamy czas.

— Panie Lejzor, a jak oni napadną na nas?

— Wy nie potrzebujecie się bać, to my napadniemy na ich naczelnika... Efet, a ty wysyłaj wosk każdego dnia do fabryki, niech on nie będzie tu na składzie, oni mogą złakomić się na wosk.

Na giełdę pod apteką równocześnie z panem Krausbergiem przywieźli i inni wiadomość o ruchu robotników, jednak większość słucha tylko pana Krausberga i czeka jego rady.

— Nam trzeba wysłać deputację do starosty, aby on zebrał żandarmów — mówił do słuchaczy — potem depezę wyślemy do namiestnika i drugą do samego ministra do Wiednia, niech oni przyślą wojsko koleją.

Zaraz na miejscu wybrano trzech wysłanników do starosty i złożono sumę potrzebną na opłacenie depeż których zredagowania podjął się młody p. Lindeman.

Następnie pan Krausberg z łatwością przekonał wszystkich, że na czele tego ruchu robotniczego stoi pan Floryański, ale na razie trzeba milczeć o tem i czekać cierpliwie jego zdemaskowania na zgromadzeniu.

Drugiego dnia jak zwykle wyjechał pan Krausberg

na Wolankę, mimo odradzań żony, przestraszonej wieściami o rozruchach. Zaszedł do pierwszego z brzegu szyb, przypatrywał się jakiś czas robotcie, a widząc robotnika, dźwigającego z trudnością napęczniony kubel, rzekł:

— Piotrze, wy bardzo dobry robotnik i pracowity, ja takich lubię, i wy dostaniecie dzisiaj w południe kieliszek wódki — a zwracając się do dozorca dodał: — Ty go zapisz i podaj Efetowi, on mu da wódkę.

Spojrzał na innych robotników, ciekawy wrażenia swych słów, ci jednak milczeli pracując spokojnie. Niezadowolony z tego zagadał do drugiego robotnika:

— Macieju, ja pamiętam, że wy ładowaliście pełne kubły wosku, a teraz także robicie dobrze, ja dam wam także kieliszek.

Robotnicy uśmiechnęli się, słysząc to przemówienie.

— Czego wy się śmiejecie? Ja przecież wam wszystko zapłaciłem, ile kto zarobił, tyle dostał. Czy nie tak?

— Ono to tak — mruknął któryś.

— To poco ten śmiech za moją sprawiedliwość? Nu powiedz — zwrócił się do najbliższego.

— Ja tak sobie myślę dlaczego to gospodarz teraz taki hojny?

— Co ty mówisz? Ja nie hojny, tylko sprawiedliwy, i kto pracuje, temu ja zawsze pomagam.

Przechodził szyb za szybem, szafując wódką dla starszych i poważniejszych.

— Efet, ty idź do Icka, niech on tobie da trzy

kwarty wódki prostej i taki kieliszek, aby ich było czterdzieści.

— Ja już idę.

— Ty zaczekaj, Efet; ty w południe rozdasz tę wódkę chłopom, niech oni się napiją.

— Oni wszyscy przybiegną, jak ja poznam komu dać?

— Każdy dozorca da karteczkę, ty tylko przeczytaj.

— Ja przeczytam.

Pan Krausberg około południa poszedł do Borysławia, zbliżywszy się spostrzegł gromadki ludzi, odczytujące coś na słupach, ścianach domów i budynków przydrożnych. Zaciekawiony przystanął przy najbliższej grupie i czytał drukowaną odezwę, wzywającą wszystkich pracowników bez różnicy do zgromadzenia się pod figurą przydrożną. Słowa, jak zwykle w tego rodzaju wezwaniach, były napuszone i deklamacyjne.

Skończywszy uśmiechnął się ironicznie, wruszył ramionami i chciał iść dalej, ale spostrzegł zbliżającego się p. Kernsteina, zatrzymał się i spytał:

— Ty Szłoma to czytałeś?

— Ja czytałem.

— I co ty powiesz?

— To sobie puste gadanie, ono nam nie zaszkodzi; oni pokrzyczą, pohłasują, a potem pójdą pić, to dobry interes dla szynkarzy.

— Szolma, ale kto to zrobił.

— Nu, nie Floryański.

— I ja to wiem, on za mądry, ale może to kto od niego?

— Ja nie wiem, może i od niego — odpowiedział p. Kernstein obojętnie.

— Szloma, powiedz mi ty, po co było robić taki wielki krzyk z tego?

— Nu Lejzor, jak chłopci się zbiorą do kupy, oni mogą gwałt zrobić.

— Niech oni sobie robią, aby tylko nie nam, bo my im nic nie winni.

— Lejzor, taki głupi chłop, on nie wie, kto mu winien, a kto nie winien?

— To prawda Szloma, on zrobi to, co mu każą, bo on nic nie rozumie.

XXVIII.

W przeddzień nadchodzącego święta, co bogatsi żydzi z dziećmi i żonami wyjechali do Drohobycza, zatrwożeni mimo upewnień starosty, że spokój nie będzie zakłócony, a zapowiedziane zebranie robotników nie grozi żadnem niebezpieczeństwem.

W Borysławiu i na Wolance zostali tylko biedni i żydzi robotnicy lepiarze i sitarze, którzy poczuwając się do koleżeństwa, nie obawiali się robotników chrześcian.

Po drogach i ulicach Borysławia i Wolanki snuli się liczni żandarmi, ubrani czysto z elegancją wojskową, w białych rękawiczkach, z powiewającymi pióropuszcami na kapeluszach, z małym, szybkostrzelnym karabinem na ramieniu, spoglądając surowo i podejrzliwie na przechodzących robotników, którzy gromadzili się stopniowo około figury przydrożnej pomiędzy Borysławiem a Wolanką.

Niedaleko figury stał widoczny po okrągłej czapce z orzełkiem komisarz policyi, wysłany specjalnie na to zgromadzenie przez starostę drohobyckiego... Zgromadzeni pod krzyżem robotnicy wysłuchali spokojnie kilku

przywódców; odgrążali się dosadnymi słowami właścicielom kopalń: i nie powziąwszy żadnych uchwał opuścili na rozkaz komisarza miejsce zebrania i rozproszyli się w różnych kierunkach, szukając zwykłych swych zabaw po szynkach i karczmach.

W Drohobyczu po otrzymaniu wiadomości o przebiegu i zakończeniu zgromadzenia nastąpiła wśród żydów wielka radość i wesołość. Miejsce strachu i trwogi zajęła buta i wielka odwaga, furmanki były przepelnione wracającymi do Borysławia, którzy przez całą drogę żartowali i drwili z nieudanej zmowy robotników.

Od radości, tylko nie tak głośnej, nie była wolną i giełda, załatwiająca zresztą swoje interesa zwykłym trybem. Pan Krausberg chodził zamyślony, wysłuchując drobnych szczegółów zebrania robotników.

— Lejzor co ty mówisz o robotnikach?

— Co ja mogę wiedzieć, to był dopiero początek.

— Taki sam będzie i koniec — zaśmiano się głośno.

— Koniec może być inny, ale on nie powinien nas złapać.

XXIX.

— Mamo, nie mogę czytać dłużej! — zawołała panna Zofia, odkładając książkę z wyrazem zniechęcenia.

— Dlaczego? — zdziwiła się pani Bratkowska, która z robótką w ręku słuchała powieści, — przecież to twój ulubiony autor.

— Znudzą się i słodycze. Zawsze i wiecznie to samo w kółko, on ją kocha, ona jego, między nimi setki, tysiące przeszkód nastroszonych, które w ten lub ów sposób przewyciężą i zatryumfują...

— Cóż w tem złego? — spytała matka, — przynajmniej w książkach dobre otrzymuje nagrodę, a złe karę.

— Lecz jeśli to marzenie powieściowe przeniosę w życie, widzę rozdźwięk wszędzie i zawsze... Od powieści żądam czego innego...

Matka spojrzała na nią z zaciekawioną, pytającą:

— A czegoż chcesz, prócz chwil zapomnienia o przykrościach życia codziennego?

— Powieść pisze przecież artysta, który ma wzrok bystrzejszy, słuch doskonalszy, duszę wrażliwszą, więc

niechże ja czytając dostrzegę w mem zwykłym życiu widnokreśli dalekie, niech dosłyszę harmonię świata, niech moje myśli i uczucia nie zrywając z rzeczywistością, ujrzą i odczuwają piękną, nieśmiertelną prawdę życia w oświeceniu artystycznym.

— Stawiane przez ciebie wymagania od powieści są dla mnie dowodem, że w terażniejszym twem życiu odczuwasz niepokój, brak równowagi i harmonii pomiędzy pragnieniami a rzeczywistością.

— Ależ mam, mówiłam tylko o powieści -- zawołała lekko zmieszana.

— Moja Zosiu, dawniej to nasze życie, ciche i skromne zadawało ciębie, dziś inaczej... Już dosyć dawno chciałam z tobą pomówić szczerze, jak przyjaciółka z przyjaciółką — mówiła matka składając robotkę, — chodźmy do ogrodu, tam nikt nam nie przeszkodzi.

Usiadły na ławeczce w cieniu rozłożysłego kasztana. Żar dnia pogodnego od czasu do czasu przesuwał swą leniwą falę gorąca po przez cieniste drzewa, zwieszały się liście zmęczone, a kwiaty na poblizkiej grządce otwierały szerzej swe wonne kielichy.

— Moje dziecko powiedz mi szczerze, jak ci się podobał pan Haecht?

— Tak mało go znam...

— Był u nas jednak coś z osiem razy... możesz więc wiedzieć coś o nim.

— Lubię jego towarzystwo, on wnosi do nas inną atmosferę, może świata obcego, ale różną od tej, w której się tu obracamy. Jest inteligentny, rozumny...

— Moja Zosiu, i nie więcej?

— Ach mama myśli, że jestem w nim zakochana, — zaśmiała się swobodnie, — od podobania do miłości daleka droga. Lubię go to prawda, bo w jego towarzystwie zapominam o Drohobyczu...

— Szkoda, że on cudzoziemiec — westchnęła matka.

— W każdym razie, nie Niemiec, — zawołała panna Zofia może zbyt gorąco.

— Tak, zapewne; ale on zawsze obcy.

— I dlatego są dla mnie interesujące jego wrażenia kraju i ludzi.

— Byleś się nim zbyt nie interesowała moja Zosiu, gdyż on pewno wkrótce wyjedzie... i tak jestem zaniepokojona plotkami krążącymi po mieście z powodu jego częstych wizyt.

— Plotki zawsze będą, bo to mała miejscina, a o moją opinię jestem spokojna.

— Zawsze lepiej nie dawać cienia pozorów...

— Moja mamó, cóż w tem złego, że młody człowiek bywa u nas; przecież nie jesteśmy zakonnkami, i nie ukrywamy jego wizyt.

— Młoda jesteś i nie wiesz, jaki świat zły i podejrzliwy...

— Czy my jednak moja mamó żyjemy w tym świecie, czy ten świat załuguje na to, by wyrzec się dla jego opinii najmniejszej przyjemności?

Po dłuższym milczeniu odezwała się matka:

— Taka jestem Zosiu niespokojna.. Od trzech dni stryj powinien był przysłać pieniądze, pilnuje się zawsze tak terminu, a teraz nic nie pisze.

— List może gdzieś być na poczcie... Czy niema mama już pieniędzy?

— Na jakiś czas wystarczy mi jeszcze... ach ta zależność od tych przesyłek! — westchnęła z żalem.

— Skończy się, moja mamo, skończy. Po wakacjach dyrektorka szkoły, obiecała mi napewno posadę. Moja pensya i lekcye wystarczą nam zupełnie, zwłaszcza że Karol sam na siebie zarabia korepetycyami... i wówczas podziękujemy stryjowi za pomoc, dobrze moja mamo?

— I ja pragnę tego, bo nie chciałabym nadużyć jego szczerzej dobroci, ale nie mogę wkładać na ciebie tak ciężkich obowiązków.

— Pomówimy o tem moja mamo, jak otrzymam miejsce nauczycielki — zaśmiała się wesoło.

Matka spojrzała się na nią rozkochanym wzrokiem mówiąc:

— Żebyś tylko dosyć sił miała, moja Zosiu; tak mi was żal moje dzieci, że w lecie w takiej spiekocie musicie siedzieć w mieście...

— Tu w ogrodzie, nie czujemy mamo przykrości miasta.

— Nie wmawiaj we mnie Zosiu, i w tej chwili rozgrzane powietrze przynosi aż tutaj zapach fabryk i dymu.

— Nic łatwiejszego mamo, jak uniknąć tego, chodźmy na spacer za miasto, już dość dawno nie byliśmy w polu.

— A jeśli pan Haecht przyjedzie? — zaśmiała się matka.

— Pan Haecht? Przyjedzie i odjedzie, nie zastawszy nas w domu.

— A jeśli zostanie?

— Pójdzie razem z nami.

— Jeśli mamy iść, należałoby się przebrać.

— Może mama weźmie inną suknię, bo ta zbyt wyszarzana, ja zostanę w tej sukience.

Nie weźmiesz liliowej, tak ci w niej dobrze...

— Szkoda mi liliowej, że nie będę swobodną, a dziś chcę dojść nareszcie do tego samotnego krzyża w polu.

— Tak daleko?

— Pójdę z Karolem, a mama z Tadzkiem zaczeka na nas.

— Chodźmy Zosiu do pokoju.

— Zaraz mamom... zdaje mi się, że zaturkotał powóz... tak, to pan Haecht — kończyła różowiejąc pod wzrokiem matki.

— Może zostaniemy Zosiu?

— Dlatego że on przyjechał, nie wyrzeknę się spaceru, tu istotnie duszno.

Poprzez liście drzew i krzewów widać było spieszącego chemika, który spostrzegłszy panie skłonił się z rozpromienioną twarzą:

— Sądziłem, że nie zastanę pań, tem miłsza niespodzianka dla mnie.

— Właśnie wybieramy się na dalszy spacer, — mówiła panna Zofia, podając białą rękę na powitanie.

— Pan z nami?

— Najchętniej, upał czyni miasto nieznośnem, tem milsze są pola.

— W braku morza, — zażartowała pani Bratkowska.

— Ach dziś przydałoby się morze, wiatr morski oczyściłby tę zatechłą atmosferę.

— Poprzestańmy jednak na naszem i idźmy w pole, — uśmiechnęła się panna Zofia. — Na chwilę zostawiamy pana samego, idziemy się przebrać.

— Pan van Haecht skłoniwszy się w milczeniu patrzył prawie z zachwytem na chód i ruchy panny Zofii i w niecierpliwem oczekiwaniu przechadzał się od węgła domu i grządek kwiatowych i napowrót.

Wyszła panna Zofia w towarzystwie brata, w pastercie ubranej modrakami, smukła, zgrabna, w sukience popielatej mieniącej się w promieniach słońca, z blond włosami z odbłyśkiem złota, i pan van Haecht patrzył na nią zdziwiony jak gdyby po raz pierwszy ujrzał ją i ten wdzięk właściwy kobietom, mającym już z urodzenia formy wykwintne. Szła ku niemu jasna, promienna słońcem i młodością, rzucając pytanie z uśmiechem:

— Czy długo?

— Widząc panią jestem już nagrodzony.

— I ta nagroda zadawalnia pana, chociaż nie w brzęczącej monecie?

— Nie mówmy o pieniądzach... Chciałbym za sobą zostawić wszystko materyalne, pieniężne... Patrząc na panią, mam wrażenie, że żyłem gdzieś kiedyś na dworze królów czy książąt, i oto przez panią przeżywam te dawne, piękne minione czasy.

— Czy jestem podobną do prababek pana? — zaśmiała się szczerze.

— Nie znam i nie widziałem mych prababek, ale może dusza moja żyła w owych czasach, i dziś odżyło dawne wspomnienie.

— Aby pana złudzenie było zupełnie, każę panu zerwać kilka kwiatów — zawołała żartobliwie.

— Rozkaz pani uszczęśliwia mnie — odpowiedział tym samym tonem.

Zbliżył się do kwiatów, zerwał kilka i podał siedzącej na ławeczce.

— Jak silnie pachną! — mówiła odbierając kwiaty.

— Tam nad grządką odurza prawie ich zapach; słońce całuje kielichy, a one odwzajemniając się oddają swe wonie...

— I giną...

— W upojeniu miłości. Tak chciałbym zginąć, nie czułbym goryczy i strachu przed próżnią zagrobową.

— Próżnią??

— Takie mam przekonanie. Teraz wiem, że żyję, myślę, czuję, a po śmierci? Może jestem jak ów kwiat, który oddał słońcu swoją duszę, swój zapach, a sam zostawia drobne nasionko, a może jestem tylko koroną, która więdnie, a ziarno jest wieczne i niezmienne.

— Nie mów pan o śmierci w tak pięknym dniu.

— Cień towarzyszy światłu, a śmierć miłości i... życiu.

— Takie rozmyślania dobre są w nocnej ciszy, a teraz idziemy między ludzi, w ruch, w życie — mówiła i wstała, by zbliżyć się do nadchodzącej matki.

Wyszli na ulicę Samborską.

Zbliżający się zachód zmniejszył upał dnia letniego. W ogródkach przed dworkami, na gankach i w oknach otwartych używali mieszkańcy świeższego powiewu powietrza, a wystrojone mieszczyki, żony urzędników i przemysłowców szły w kierunku ogrodu publicznego. Panie Bratkowskie, a może więcej pan Haecht, którego dochody olśniewały, a chemiczny wyrób wosku pszczelnego rozślawił, zwracali na siebie powszechną uwagę.

Ubrania pań Bratkowskich, tych zabłąkanych szlachcianek, były poddawane surowej krytyce; gorszono się swobodą obejścia a oburzano się takim „afiszowaniem“ stosunków z młodym człowiekiem, który przecież będąc bogatym inżynierem, nie ożeni się z biedną zbankrutowaną szlachcianką, zapewne jest tylko kochankiem.

I cnotliwe niewiasty, zwłaszcza matki obdarzone dorosłymi córkami, odwracały się z lekceważeniem, polecając i córkom unikanie tak gorszącego widoku.

Pani kasyerowa, spotkawszy na rogu panią kontrolerową, szły wspólnie do publicznego ogrodu.

— Czy pani kasyerowa zauważyła ich skandaliczne zachowanie? — spytała sznurując usta do wzgardliwego uśmiechu.

— Ta któżby nie widział takiego zgorszenia... Nie będzie można wyjść na ulicę z porządnymi panienkami — odpowiedziała z godnością, wskazując parasolką na swe dwie córeczki.

— To okropne, — mówiła pani kontrolerowa, — bo sama matka ułatwia romans! Czy wie pani kasyerowa,

on codziennie tam chodzi, a wraca późno nocą, mówiła mi to Małka, która nosi bułki.

— Wiem ja o lepszych rzeczach, moja pani kontrolerowo, tam poprostu Sodoma i Gomora — mówiła ciszej, by córeczki nie posłyszały tych słów.

— Powinien magistrat wdać się w tę sprawę, — zawyrokowała pani kontrolerowa, — nie można dopuszczać takich rzeczy.

— A wie pani, ona, taka skrompromitowana panna, stara się o miejsce nauczycielki w naszej szkole!

— Ładnychby rzeczy nauczyła, — zaśmiała się zjadliwie, — chyba nie dopuszczą do tego, całe miasto podniosłoby gwałt.

— Dziś mówiłam z panią naczelnikową, ta panna miała udzielać lekcji jej młodszej córeczce, pani ją zna?

— Czy ta z krzywymi nogami?

— Ta sama, to taka kapryśnica, że żadna służąca nie może wybyć kwartału; ale mama zaślepiona w córeczce, i dochowa się ona pociechy, dochowa! — kończyła z ironią, rzucając w około ciekawe spojrzenia.

— Tak bywa, gdy matka zbyt kocha, unieszczęśliwia i dziecko i siebie.

— Otóż moja pani, byłam dziś u niej, i naczelnikowa stanowczo oświadczyła, iż po tych zajściach z tym Francuzem, nie przyjmie tej panny do swego domu.

— I bardzo słusznie, pani kasyerowo, bo czy to sens bratać się z jakimś Francuzem, bo to farmazony bez czei i wiary.

— Mówią, że on dobrze zarabia, a od Krausberga wziął pięć czy dziesięć tysięcy.

— A żeby on był cały złoty, nie pozwoliłabym mu bywać i starać się o moją Emcię!

Pani kasyerowa uśmiechnęła się skrycie z tych zastrzeżeń, bo wiadomo, że panna nieładna i złośnica, ale odpowiedziała z pobożnem westchnieniem:

— To racya! Wielka racya! On nawet nie śmiałby zrobić wizyty u nas!

Teraz przyszła kolej uśmiechu ironicznego na panią kontrolerową, bo wiadomo, że do panien kasyerówien ciągną każdego, ale napróżno, dodała jednak z uznaniem:

— Gdzieżby się on odważył, on wie, co gdzie wolno!

Na tę ujemną opinię o paniach Bratkowskich wpłynęło nie tylko plotkarstwo, czepiające się zawsze chętnie bagna brudu, ale i hardość tych pań, które nie umiały ocenić i uznać małostkowych odcieni majątku, znaczenia i wpływu pań miasteczkowych. Zemsta dla małych ludzi bywa zawsze słodką, a tem słodsza, gdy przy tej sposobności można siebie przedstawić w świetle korzystnem i cnotliwem.

Nie znając tych gromów, zaledwie przeczuwając niechęć ze spojrzeń i uśmiechów złośliwych, panie Bratkowskie w towarzystwie pana van Haehta i dwóch młodych synów dążyli za rogatki miejskie.

Przed nimi białą wstęgą ciągnął się gościniec, ujęty w dwa rzędy wysmukłych włoskich topoli, stojących w tej chwili przedzachodniej cicho, bez szelestu i ruchu. Z lewej strony gościńca, rozrzucone w nieładzie bielily się domki przedmieszczan z po za sadów licznych.

Z prawej rozciągały się pola uprawne na wzgórkach przerzniętych wązkiemi łąkami, odbijającemi świeżą zielenią, podsyconą strumykami przepływającymi. Na miedzach stały gdzieniegdzie grusze, a w małych jarkach czerniły się przysadkowate wierzby; kopy żętego zboża złościły się w promieniach słońca, a na polach było ludno i gwarno od żniwiarek i żniwiarzy; tam wybiegła piosnka, ówdzie pastuszek gwizdał na fujarce, nawoływał gospodarz do szybszej roboty. Cała okolica tchnęła spokojem, pracą bez wysiłku, harmonią pomiędzy naturą a ludźmi.

Chyba i w ojczyźnie pana nie znalazłby się piękniejszy krajobraz, — mówiła panna Zofia idąca przodem z panem Haechtem, gdy matka wysłuchiwała uważnie dziejów wycieczki koleżeńskiej opowiadanej przez Karola.

— W mojej ojczyźnie? — odpowiedział chemik rozglądając się wokoło. — U nas inaczej, nasze pola orne wyglądają jak ogrody żyzne, każde ujęte w ramki drzew, poprzecinane działkami różnych zbóż. Na każdym kroku widać umiejętną i zabiegliwą pracę człowieka, który ze wszystkiego korzysta. A tu, bezmierne pola, obfitość ziemi, uprawa niedostateczna, mnóstwo nieużytków...

— Gdzież pan widzi te nieużytki? — spytała po-drażniona.

— Spójrz pani na te wązkie łąki podmokłe strumykiem wijącym się dowolnie; na te wierzby grube, rosochate, rzucając cień w okóło; na te gruszy dzikie, bezużyteczne...

— Czytałam, a teraz słyszę od pana o tej waszej ziemi ujętej w karby niewolnicze. Calej naturze, jak i waszym parkom, nadajecie piętno waszych gustów, zamiłowań, zachcianek. Zdaje mi się, że tam u was ziemia musi wyglądać jak stary, spracowany człowiek... A nasza przyroda, nasze krajobrazy, mają wdzięk młodości, swobodnego działania sił przyrody, nieujętych systemem i niewolą służby, tu czuć powiew wolności!

Słuchał, rozkoszując się melodyjnym dźwiękiem jej głosu, błyszczącymi oczyma, zmiennością wyrazu jej pięknej twarzy.

— Pani sądzi nas fałszywie i z uprzedzeniem.

— Ja?

— My właściwie możemy mówić o wolności, bo człowiek tem bliższy jest wyzwolenia, im bardziej zwycięża siły natury i nad niemi panuje. A my wydarliśmy morzu nasze pola, ogrody, łąki... z mokrych, nieurodzajnych piasków i gliny wytworzyliśmy urodzajną rolę, to też drogą jest nam każda piędź ziemi, każde drzewo, każdy kwiat, bo drogo i szaloną pracą całych pokoleń zdobyliśmy to wszystko — widząc ją słuchającą w skupieniu i z uwagą, mówił dalej podniecony. — Powiedziała pani, że tu w tym krajobrazie czuje pani powiew wolności, ależ to zaledwie daleki odbłysek wyzwolonych z pęt sił przyrody, to lampa, a u nas słońce, bo my mamy morze bezmierne.

— Czy pan bardzo lubi morze?

— Bardzo i nie wiem co wybrałbym, kochankę daleką na kontynencie, czy morze?

— Aż tak dalece! — uśmiechła się.

— Pani nie widziała, nie zna morza, ale wierzę mi pani, że patrząc na nie, doznaje się już rozkoszy. Czasem bywa ono rozpromienione jak kochanka; lub chmurne i posepne jak zbrodnia, a szalejące jak namiętność; czasem zbliża się do pani falą cichą, łagodną, ponętą i posłuszną jak dziecko, albo uderza z druzgocącą wściekłością, a zawsze jest żywe, zmienne, barwne...

— Bardzo pragnęłabym zobaczyć morze, w słowach pana czuję prawdę, a jeśli morze jest takie, nie dziwię się, że pan w niem zakochany.

— Wiedziałem, że prędzej czy później przyjdę z panią do zgody — uśmiechnął się.

— Z uznania piękności morza niech pan nie wnioskuje, że krytykuję nasze krajobrazy, — przemówiła z żywością, — pan nie wsłuchał się, nie wpatrzył, nie odczuł naszej ziemi. Nie widział pan naszej zimy iskrzącej się brylantowo, naszej jesieni mglistej, naszych wiatrów, które huczą, wyją, szaleją, a czasem łkają i płaczą w kominach, jak tylko rozpacz potrafi. Zdaje mi się, że wszędzie zatęskniłabym na śmierć bez mego kraju.

— Tak się mówi, proszę pani, ale gdy przyjdzie konieczność życia lub uczucia, człowiek poświęca pobyt w kraju rodzinnym i wyjeżdża.

— Z nadzieją powrotu.

— Naturalnie.

— A ja myślałam o pożegnaniu wszystkiego na zawsze.

— Dotychczas sądziłem, że słowa „zawsze“ można używać tylko w obliczu śmierci i grobu, a dziś...

— Cóż dziś?

— Dzisiaj dochodzę do przekonania, iż są uczucia tak trwale, silne, bezwzględne, które muszą mieć bliższe określenie w słowie zawsze.

Panna Zofia nie chciała pytać o rodzaj uczucia tego, obawiała się go nawet, odgadując, że on mówi o swej miłości, zwolniła kroku, aby się zrównać z matką.

— Zamiast o uczuciach mówić, — zaczęła po chwili, — rozmawiajmy o krajobrazie... Czy panu nie podoba się pewna fantazyja widoczna np. w tych odosobnionych gruszach, w nachylonych nad wodą wierzbach, w tym samotnym krzyżu w polu...

— Fantazyja przypadkowości! — zaśmiał się, — a ja wolę mieć do czynienia z fantazyją czynu, odbierającego olbrzymowi morzu jego dno, uwielbiam po prostu zwycięstwo ludzi nad przyrodą. W mojej pracowni chemicznej miewam chwile takich zwycięstw i czuję się dumny.

— Nad czem pracuje pan obecnie? Czy jeszcze zawsze nad naftą.

— Zdaje mi się, że jak na dzisiejsze maszyny, któremi tu rozporządzam, lepszej rafinerji dać nie mogę, i za tydzień będę już zwolniony z obowiązku fabrycznego.

— A to winszuję panu powrotu do Belgii, — mówiła z odcieniem mimowiednego żalu. — Czy wie mama pan van Haecht odjeżdża za tydzień.

— I naturalnie cieszy się z tego, — rzekła równając się z idącymi.

— Czy się cieszę? Tak być powinno, a jednak nie jest. Tam nikt mnie nie oczekuje, nikt nie tęskni,

nikt nie myśli o mnie, po za krajem, do którego mam nostalgia, będę tam samotny.

— Niema pan rodziny, krewnych?

— Są tacy, dla których jestem najzupełniej obojętny i niepotrzebny; bliżsi w grobie.

— A koledzy, przyjaciele? — dopytywała się pani Bratkowska.

— Są nimi póki na oczach.. Dusze bratnie, pokrewne są tak rzadkie, nadzwyczajne, że tylko bardzo lekkomyślny porzuca je i rozłącza się z niemi.

— Więc znalazł pan jednak taką bratnią duszę, — uśmiechnęła się panna Zofia.

— Mam to złudzenie, i dlatego... żal mi porzucać ten kraj.

Słowa te wypowiedział poważnie, podkreślając spojrzeniem ich znaczenie, zrozumiane przez pannę Zofię, że ta cała zaróżowiona spuściła oczy, a matka odezwała się prawie szorstko:

— Radzę panu nie dowierzać złudzeniom.

— O ile potrafię, — odpowiedział z uśmiechem uprzejmym, — zastosuję się do rady pani.

— Może pójdziemy tą polną drogą, mamó, tu podnosi się kurz.

Istotnie z pól i zagonów zjeżdżały na gościniec ładowne snopami wozy, podnosząc pył drożny, wracały z pastwisk trzody krów i owiec, szły gromady żeńców z sierpami błyszczącymi w promieniach zachodzącego słońca. Weszli na wąską drożynę.

— Czy chcesz Zosiu dojść do tego krzyża?

— Jeśliby mama pozwoliła, poszłabym z panem Haechtem Karolem; mama zmęczyłaby się nadto.

— Nie, moja Zosiu, pójdziemy wszyscy — a widząc idącego po ściernisku pana Haechta z powodu wazkiej drożyny przystanęła i szła za nimi z synem.

Zbliżali się do krzyża.

— Czy nie wie pani, na jaką pamiątkę postawiono go?

— Nie wiem... widzę jednak tabliczkę, może ona objaśni.

Na blasze były czytelne jeszcze wyrazy: Na chwałę Jezusowi Chrystusowi za uratowanie zbłąkanego wśród zamieci śnieżnej. Gdy mu przetłómaczyła napis, rzekł z westchnieniem:

— Szczęśliwy człowiek, zazdroszczę mu!

— Czego?

— Został uratowany, a ileż razy błąkam się bezradny i nikt mi drogi nie wskaże.

— Uwierz pan, a spełni się cud.

— Nie powtarza się cud w tej samej formie. Na morzu kierują się żeglarze gwiazdami..

— Można to samo zrobić na lądzie, — uśmiechnęła się.

— Teraz na widnokregu mego życia zajaśniała gwiazda...

— Więc pan uratowany — rzekła wesoło.

— Byle mi jej chmury nie zakryły, a będę szczęśliwy.

XXX.

Pan van Haecht od dłuższego czasu pracował w chwilach wolnych od zajęć fabrycznych nad cerezyną.

Rozbiór chemiczny wosku wskazywał mu zawartość cerezyny, dochodzącą do ośmdziesiątego procentu, gdy w dotychczasowej fabrykacji pan Winter dochodził do czterdziestu dziewięciu najwyżej. Szukał sposobu ulepszanego przerabiania wosku i znalazł nadwyżkę pięciu procentów przy tych samych maszynach z małą zmianą filtrów.

Nie zadowolnił się jednak tym rezultatem, rozumował bowiem, że brakujące procenta cerezyny po przeróbce wosku są naturalnie utajone w t. zw. „asfalcie“, masie gęstej, czarnej, łatwo twarzonej, którą z kotłów i filtrów wyrzuca fabryka na hałdy, jako rzecz bezużyteczną, obciążającą koszt dobywania cerezyny.

Tę masę poddał działaniu różnych czynników, a w tej chwili był zajęty badaniem zmian w asfalcie pod wpływem siarku węgla. Wprawdzie w retorcie uzyskał był już część cerezyny, ale procent był zbyt mały, i środki za kosztowne, gdyby jednak siarek wę-

gła rozpuścił cerezynę zawartą w asfalcie, zagadnienie byłoby rozwiązane.

Obok pięknej panny Zofii, która weszła mu już w krew i serce, stała mu się bardzo drogą, kochaną i pożądaną, zabłysły krocie i miliony jako następstwo jego wynalazku. U jej nóg złożył całe góry złota, a gdy go zobaczył tak pokornym, cierpliwym i kochającym, zmięknęła jej serce, pokocha go i będą zawsze razem, szczęśliwi, swobodni, bogaci.

Z marzeń zbudziło go wejście p. Krausberga.

— Panie inżynierze, ja przyszedłem z wielkiem zmartwieniem.

— Co się stało?

— Pan inżynier może mi tylko pomóc. Mój dyrektor Winter wyjeżdża, on wraca do Niemiec, on nie chce być dłużej.

— Poszukaj pan innego dyrektora.

— Ja przyszedłem do pana inżyniera, niech mi pan zrobi tę łaskę i zostanie dyrektorem w mojej fabryce.

— Nie przyjmę.

— To niech mi pan poleci kogo, ja z ręki pana przyjmę każdego.

— Namyślę się, poszukam w pamięci i dam panu znać.

— Aj żebym ja miał takiego dyrektora jak pan inżynier, ja byłbym bogaty, moja cerezyna byłaby najpierwszą.

— Ja panu podam sposób wzbogacenia się — uśmiechnął się chemik.

— Jaki, panie inżynierze?

— Zaraz powiem, ale wpierw chciałbym zapytać pana, czy wie pan dokładnie, jaki procent cerezyny ma pan z wosku?

— Ja wiem, bo to przecież moja fabryka.

— A więc?

— No, czterdzieści ośm.

— Teraz posłuchaj pan mnie uważnie. Pan przerabia 20,000 centnarów rocznie i ma pan 9 600 centnarów cerezyny. Ja podam panu sposób zwiększania produkcji o pięć procent, czyli będzie pan miał rocznie tysiąc centnarów więcej.

— Aj, aj, to byłoby dobrze — wymknęło się panu Krausbergowi, ale zapanował wkrótce nad swoją radością i mówił: — Tysiąc centnarów to pieniądz, ale pewno całą fabrykę trzeba byłoby przerobić, to już byłby mały zysk.

— Nie, panie Krausberg. Należałoby tylko zmienić jeden nieznaczný oddział za jakie tysiąc guldenów.

— Panie inżynierze a co to za sposób?

— Zapłać pan, to powiem.

— A ile panie inżynierze?

— Pięćdziesiąt tysięcy guldenów.

— Co? Tyle? To nie dla mnie interes.

— Jak pan chcesz, dla mnie to obojętne, kupi inna fabryka, puści taniej cerezynę i was poderwie.

— Panie inżynierze, taka suma to żarty, niech pan powie swoje słowo.

— Już powiedziałem.

— Nu, a jeśli dowiedzą się inne fabryki, i zrobią to samo, co mi przyjdzie z tego?

— Ja nie powiem, a jeśli kto odkryje ten sposób, fabryka wprowadzi u siebie to ulepszenie.

— Pięćdziesiąt tysięcy! Nie... ja nie mogę.

— A drugie pięćdziesiąt zarobi pan w jednym roku.

— Tak wygląda, ale nie mogę dać takich pieniędzy.

— I ja nie mogę taniej.

Po chwili milczenia odezwał się pan Krausberg:

— Panie inżynierze, ja panu coś powiem.

— Słucham.

— Ja dam 50,000, ale pan inżynier będzie dyrektorem mojej fabryki, i będzie pan brał pieniądze w miarę dochodu z tych pięciu procentów cerezyny.

— Nie, panie Krausberg, prawdopodobnie wyjadę wkrótce i żądam gotówki.

— Jakto może być aby pan wyjechał? A ta piękna panna zostanie sama?

— Jaka?

— Nu, panna Bratkowska.

— Pan ją zna? — spytał z żywością.

— Ja znam ją, i jej matkę i ojca znałem.

— Jaki był jej ojciec?

— On był niczego człowiek, ale nie znalazł się na interesie. On stracił pieniądze swoje, a ich zostawił w biedzie.

— To tam jest bieda?

— Co tu gadać, czy taka nauczycielka może być bogata, żeby jeść miała, to dobre. Teraz będzie jej gorzej...

— Dlaczego?

— Ona potraci lekcyę, któremi zarabiała na życie.

— Ale dlaczego? — dopytywał się głosem zmienionym.

— Ja nie wiem... tak mówią na mieście... Panie inżynierze ile pan chce? — spytał spostrzegłszy wrażenie, które wywołały jego słowa.

Zaniepokojony wiadomością o utracie lekcyi, doszukując w myśli powodu, odpowiedział zniecierpliwiony:

— Już raz powiedziałem panu.

— Nu po starej znajomości, ja powiem tak. Ja może i dam pięćdziesiąt tysięcy, ale pan inżynier przez miesiąc musi prowadzić sam moją fabrykę, pan nauczy mego syna jak się to robi, i ja zapłacę.

— Ale połowa pieniędzy zaraz.

— Ja dam po próbie, niech zobaczą. A to nowe przerobienie fabryki odbędzie się kosztem pana inżyniera.

— Niech i tak będzie. Jutro zacznę robotę.

— Panie inżynierze, zacznij pan po wyjeździe Wintera, on zobaczy i powie Niemcom.

— Masz pan słuszność.

Pan Krausberg uśmiechnął się rad z umniejszenia wymaganej sumy, gdyż miesiąc bezpłatnej roboty i kosztła przeróbki fabryki zostały mu w ręku. A możeby użyć panny Bratkowskiej, aby ona zmiękczyła inżyniera, błysnęło mu w umyśle, ale nie, one są złe na niego, nie chcą go znać, nawet lekcyi nie daje u niego, chociażby on płacił jej regularnie. Lepiej nie zaczynać

z temi kobietami. Pan Krausberg wstał z krzesła, mówiąc na odchodnem:

— Panie inżynierze, ja mam słowo pana. Pan inżynier miesiąc jeden kieruje moją fabryką, nauczy pan mego syna sposobu, a pokaże się więcej cerezyny, pięć procent, ja zobaczę i zapłacę.

— A umowa?

— My zrobimy notaryalną, to za wielka suma.

Po jego wyjściu przeszedł chemik do swojej pracowni, by zbadać dalsze działanie siarku węgla, jednak taki wielki niepokój ogarnął go o ukochaną dziewczynę, że kazał zaprządz konie, aby dziś jeszcze zobaczyć ją i dowiedzieć się o szczegółach.

Właśnie matka z córką, smutne i zgnębione siedziały przy pracy, gdyż przed kilku dniami otrzymały list bezimienny, kalający ich dobrą sławę, a dziś dyrektorka nie przyjęła ich u siebie, jakkolwiek widziały ją w oknie.

— Moja Zosiu nie martw się, to złe minie, sprawa się wyjaśni, i wszystko wróci do zwykłego trybu, — uspakajała matka, nie wierząc sama w te słowa.

— Idzie im tylko o zmartwienie mamy, te ohydne plotki muszą ustać, bo nie poczuwam się do żadnej winy.

— Wiem moje dziecko, ale niechże to na przyszłość będzie ci nauką, aby unikać i nie dawać pozorów najłżejszych. Opinia panny to pył motyla, raz starty z trudnością wraca. Nie tyle w tem twojej winy, ile mojej i jego.

— Jego?

— Powinien był bywać rzadziej, nie zajeżdzać powozem...

— Ależ on nic nie winien — broniła córka — cudzoziemiec ani wiedział, ani przypuszczał nawet, aby stosunki towarzyskie pociągały za sobą takie plotki.

Matka spojrzała na nią badawczo i odezwała się wzdychając:

— Zanadto go bronisz, boję się o ciebie...

— Jestem tylko sprawiedliwą.

— Za obcym nie przemawia się tak gorąco.

— Bo mi też obcym nie jest, zawdzięczam mu tyle przyjemnych wrażeń.

— I żałujesz że wyjedzie?

— Tak mamo, żałuję, bo znów wrócą smutne, jednostajne dni.

— Więc ty go kochasz? — spytała matka z odzieniem obawy i żalu.

— Nie wiem mamo. Jego towarzystwo jest mi miłe, widuję go chętnie, lubię go słuchać, bo mówi rozumnie i pięknie, ale nic więcej...

— I to dosyć moja Zosiu, wystrzegaj się go, o cierpienie tak łatwo... Jeśli dłużej tu zostanie, muszę go prosić o mniej częste bywanie u nas.

— Dlaczego mama chce mu zrobić taką przykrość — zawołała czerwieniąc się — i tak wyjeżdża, niechże ma dobre wyobrażenie o gościnności polskiej.

— Nie, moja Zosiu, to mój obowiązek strzedz cię przed obmową.

Do pokoju wpadł syn Karol mówiąc:

— Mamo, Zosiu, pan Haecht przyjechał.

Córka wstała i całując rękę matki prosiła szczerze:
— Moja droga mamó, niech ta wizyta jego będzie bez wymówek mamy. On i tak za tydzień wyjeżdża.

Matka westchnęła głęboko, mówiąc:

— Ulegam twojej prośbie, chociaż czuję, że źle robię.

— Ten jeden, jedyny raz mamó.

— Dobrze, już dobrze. Idź, przygotuję tu herbatę i przyjdę.

Po przywitaniu, pan Haecht, widząc jej pobladłą twarzyczkę, spytał z większym współczuciem, aniżeli zamierzał:

— Co pani jest panno Zofio? Była pani chorą? Miała pani zmartwienie?

— Drobnostka — uśmiechnęła się.

— Więc to prawda, co mi mówiono — zawołał wpatrując się uważnie w jej twarz i oczy podsiniałe.

— Cóż mówiono? — spytała zaniepokojona.

— Że pani traci lekcyę...

— Dotychczas żadnej, może w przyszłości, a i to tylko przypuszczenie.

— Jeśli mógłbym w czemkolwiek pomódz, poradzić, rozkazuj pani, jestem przecież przyjacielem państwa.

— Dziękuję panu, nic nam nie potrzeba.

— Ale powiedz mi pani przynajmniej przyczynę tej gadaniny o lekcyach.

— Zwykle plotki małomiasteczkowe, które na razie bolą i są przykre, a z czasem umilkną.

— Należałoby jednak im zapobiedz, usunąć powody, wyjechać...

Uśmiechnęła się słuchając go i rzekła weselszym tonem:

— Powód sam się usunie a wyjechać nie możemy.

— Tak pragnąłbym widzieć panią szczęśliwą, wesolą, bez trosk i kłopotów, że nie zawahałbym się przed żadną ofiarą, bo ja bardzo... kocham panią — kończył drżącym głosem, szukając jej oczu.

Słuchała go pobladła, poważna i po chwili rzekła:

— Ulega pan wrażeniu chwili, jest pan daleko od kraju, wśród obcych, i przyjaźń bierze pan za miłość.

— Ma pani słuszność, bo nie rozumiem miłości bez przyjaźni, a tej bez szacunku, ale ja wiem, że szczerze i serdecznie kocham panią, że na myśl o jej utracie wszystko ciemnieje wokół, brzydną mi ludzie, świat, życie; boś pani moim celem, moją gwiazdą, mem słońcem. Nie rozumiem, jak mogłem żyć tak długo, nie znając ciebie, nie wiem czy potrafię żyć, gdy mi odmówisz swej ręki, gdy znów zostanę sam, z tem przeświadczeniem, że byłem tak blisko szczęścia i utraciłem je.

Wziął jej rękę, której mu nie bronila i prawie szeptał:

— Ja panią kocham, uwielbiam i szanuję. Złożę u nóg twoich wszystko, co dotychczas miłowałem, będziesz moją panią, będę cię zawsze czcił i wielbił, tylko nie odtrącaj mnie... Żaden skazaniec nie czekał z takim drżeniem i trwogą wyroku, jak ja w tej chwili, o powiedz, powiedz.

— Ale ja nie wyjadę, nie porzucę mego kraju — powiedziała patrząc mu w oczy.

— Już powiedziałem, żeś ty moją panią, ty roz-

kazujesz — ja słucham. Zrobię co tylko każesz, przyjmę wszystkie warunki i czekam wyroku, czy chcesz iść wspólnie przez życie, uszczęśliwić mnie, zostać moją żoną? Powiedz, powiedz.

— Chcę — szepnęła.

Rzucił się przed nią na kolana, całował jej rękę, suknię, mówiąc:

— Kocham, kocham i jestem szczęśliwy, a tak bardzo się bałem, że zniknie mi gwiazda moja, słońce moje!

— Wstań pan — rzekła z uśmiechem rozpromieniającym jej twarz — i pomówmy rozsądnie.

Posłuszny usiadł obok, a ona zaczęła:

— Pierwszy warunek, że zamieszkamy stale w moim kraju, co nie przeszkadza wyjeżdżać nam do Belgii, o ile będą fundusze...

— O te będą zawsze!

— Tem lepiej dla nas, tylko znów powtórzę, że ja nie mam żadnego posagu.

— Słyszałem i tem szczęśliwszy jestem, że sam otoczę cię zbytkiem i przepychem.

— Następnie dzieci nasze muszą się kształcić początkowo tu, u nas...

— Zgadzam się najmilsza.

— I dom prowadzimy polski, bo mieszkając tu, musisz pan nauczyć się po polsku.

— Dobrze, ale pod warunkiem, że pani będziesz moją nauczycielką.

— Przyjmuję ten obowiązek — odpowiedziała z powagą.

— A teraz moje warunki — zawołał pan Haecht — jest jeden, ale starczy za wszystkie.

— Jaki?

— Kochaj mnie — i całował jej ręce.

— Czyż nie kochając, zgodziłabym się zostać żoną pana?

— Więc mnie kochasz? Powiedz, powtórz...

— Teraz dopiero jestem pewny mego szczęścia — zawołał i znów chciał uklęknąć, wstrzymała go mówiąc:

— Trzeba mamę uprzedzić.

— Ja powiem, bo chciałbym wołać głośno, aby słyszeli wszyscy, że jestem bardzo szczęśliwy.

— Teraz mogę powiedzieć powód plotek i utraty lekcyi.

— Jaki?

— Zbyt częste wizyty pana.

— Moje? A cóż one szkodziły ludziom?

— Ludziom nie, ale nam zaszkodziły, później dam panu do przeczytania listy, które nam nadesłano.

Weszła pani Bratkowska i chmurna spojrzła na gościa siedzącego blisko córki, ten wstał i mówił po przywitaniu:

— Mam zaszczyt prosić o rękę córki pani, którą bardzo kocham.

— Pan?

— Od dawna pragnąłem wyjawić moje uczucia, ale dopiero dziś miałem dość odwagi zająrzeć w oczy memu losowi i jestem szczęśliwy...

— Zosiu! — zwróciła się do córki, która zaru-mieniona skinęła głową.

— W tej chwili nie mam majątku, ale zawsze mam tyle, aby pannie Zofii nie zbywało na niczem. Całe moje życie poświęcę, aby tylko była szczęśliwą. Czy pani uznaje mnie godnym tego wielkiego szczęścia?

— W tej sprawie może rozstrzygać tylko Zosia, ja z mej strony nie widzę powodu sprzeciwiania się, jeśli ona widzi w tem swoje szczęście.

— Zawsze będę panią czcił i kochał jak rodzoną matkę, bo słowa pani dopełniły mego szczęścia. Panna Zofia przyrzekła mi swoją rękę.

Córka widząc trochę smutną twarz matki zbliżyła się szybko, a matka tuląc ją do siebie szeptała ze łzami w oczach:

— Daj ci Boże, byś była szczęśliwą!

XXXI.

Dwie wiadomości poruszyły giełdę pod apteką, pierwszą przywieziono ze Schodnicy, drugą z Borysławia.

Kupcy i pośrednicy byli mocno zainteresowani nowiną, że do Schodnicy zjeżdża wysoki dygnitarz Spółki kopalnianej, który na miejscu ma zbadać stan interesów i sprawdzić słuszne żale, skargi i narzekania innych przemysłowców nafcianych, ponoszących wielkie straty z powodu gospodarki pana Floryańskiego.

Druga wiadomość zaalarmowała przedewszystkiem Borysław, gdyż na domach, słupach, latarniach, rozwieszono afisze z podpisem: Jan Łasica prezes Związku Robotników, wzywające wszystkich robotników, na zgromadzenie ogólne, aby się porozumieć jakich środków należy użyć na właścicieli kopalń, odmawiających Związkowi pomocy. Kupcy i właściciele składów nafty i wosku, w obawie rozruchów, opróżniali szybko swoje magazyny, przeplacając furmanki, tracąc na cenie.

Poważny pan Lindeman mówił do gromadki słuchaczy:

— Wczoraj Aron ze Schodnicy przywiózł wiadomość, że przyjedzie sam prezes spółki, dzisiaj był tam mój syn Moryc i dowiedział się, że Floryański przygotowuje się ze strachem wielkim na przyjęcie i sam pojechał po niego na dworzec. Teraz jest czas pokazać prezesowi, jak ten Floryański traci pieniądze na domy, fabryki, na robotników...

— Jak odrzuca najlepsze interesa i nie chce syndykatu, chociaż my sami proponujemy — dodał pan Stilbach.

— Właśnie dlatego nie chce, że my chcemy — zaśmiał się z goryczą pan Kernstein.

— Nu jego trzeba teraz nauczyć — rzekł z zawziętością p. Lindeman — myśmy już dali znać naszym adwokatom, aby pilnowali go w bankach.

— Jak on kredyt straci, to co on zrobi? — zawołał ze złośliwą radością jeden ze słuchaczy.

— Nu, a co wy mówicie na to bydło, na robotników, oni znowu się zbierają — spytał jeden z członków giełdy, przystępując do grupy.

— Oni pokrzyczą i pójdą pić — zawyrokował p. Stillbach.

— Póki gadają, to dobrze, im lżej na sercu jak się wykrzyczą, a my spokojni.

— Dopiero będzie źle, jak robotnicy umilkną a nie przestaną zbierać się razem — objaśniał p. Lindeman.

— Nu, zaczekajmy co powie Krausberg?

Inni skinęli głowami uznając potęgę króla tej małej giełdy.

Przyszedł oczekiwany, i wokoło niego skupiła się prawie cała giełda, opowiadając hałaśliwie obie wiadomości. Pan Krausberg udał, że pierwszy raz słyszy o przyjeździe dygnitarza i zebraniu robotników, a gdy uciszył się gwar, zebrał kilku poważniejszych i przemówił:

— Tego Floryańskiego mamy już wszyscy dosyć, a ja mam go i tu i tu — wskazał na żołądek i serce — nas jest kilka tysięcy, to my damy mu już radę; ale co pomoże skarga, gadanie z prezesem, oni trzymają ze sobą i Floryański wyklamie się zawsze przed nim. Tu trzeba innej rady...

— Ty Lejzor poradź, ty masz szczęście! — zakrzyczano z różnych stron.

Uśmiech dumnego zadowolenia zajaśniał na ciemnej, opalonej od wiatrów i słońca twarzy, pogładził brodę i rzekł:

— Tego Floryańskiego trzeba bić jego własną bronią. On nam chce przeciwstawić gojów i robi znowę z nimi, my obrócmy tych gojów na niego, niech oni ze sobą się pobiją.

— Aj to mądrze!

— Ten Lejzor, to głowa!

-- Ty tylko gadaj!

— My róbmy swoje, aby on stracił kredyt, a na niego, kiedy jest sam prezes Spółki kopalnianej, trzeba posłać gojów. To jest tak, robotnicy zbierają się w niedziele, my możemy tam posłać naszych lepiarzy i in-

nych, niech i oni będą z robotnikami, czy im nie wolno?

— Dlaczego nie? Lejzor ty mów, my słuchamy!

— Tam będzie wielkie gadanie na wyzyski wszystkich co mają pieniądze, nu a kto ma największe kapitały? Floryański... Od kogo można zabrać najwięcej? Od niego. Kto nie daje zarobku tragarzom i furmanom? On, bo zrobił sobie rury. U kogo są w niewoli? U niego, bo im nie wolno pić i jeść gdzie sami chcą, tylko u jego nastawników... Czy rozumiecie?

Kiwali głowami potakująco, dziwiąc się jego wielkiemu rozumowi.

— Tak, tak, my już wiemy! — mruzcili.

— Nasi to zrobią.

— Lejzor, ty zapomniałeś, że tam będą żandarmi, policja — rzekł z namysłem pan Kernstein.

— Na zgromadzeniu będą, ja wiem, ale po karczmach nie będą siedzieli, a jak chłopci nie będą mieli za co pić, oni polecą do Floryańskiego; a zresztą nasi mogą to zrobić po cichu, czy zaraz trzeba gwałtu krzyzczeć? — kończył uśmiechając się wyniośle.

— Kernstein, ty daj spokój, Lejzor dobrze radzi — odezwali się inni.

— My już to zrobimy — dogadywali słuchacze.

— Jak prezes zobaczy — zaczął znów pan Krausberg, gestykulując rękami — że na Floryańskiego są wszyscy, i my i robotnicy, którzy zrobią mu szkodę w jego zbiornikach, rurach, fabrykach, on sobie pomyśli, na co mi trzymać takiego człowieka i wypędzi Floryańskiego.

— To będzie najlepiej — zawołano radośnie.

— Lejzor ty powinieneś być ministrem!

— Lejzor ty mądra głowa!

Członkowie giełdy, załatwiwszy w ten sposób dwie te sprawy ogólnego znaczenia, rozprószyli się, kończąc inne interesa pieniężne.

— Lejzor — przemówił pan Kernstein, przystępując do stojącego na uboczu — czy ty masz innego dyrektora cerezyny?

— Ja mam.

— To ten od rafineryi? — a na potakujące skienienie głową, mówił dalej: — On ciebie kosztuje bardzo drogo, ja słyszałem o tem, ty Lejzor uważaj.

— Czy ty myślisz, że ja nie szanuję moich pieniędzy? Ale jak jeden gulden robi drugiego guldena, to ja nie pożałuję.

— Lejzor, ale mówią na mieście, że ty mu dałeś aż dwadzieścia pięć tysięcy!

— Ja mu dam jeszcze raz tyle — rzekł z dumą bogacza.

— Lejzor! — zawołał zdziwiony p. Kernstein, chwytając się ręką za pejsy.

— Kernstein, ja tobie dobrze radzę, jak tobie kto daje sto, ty możesz mu dać pięćdziesiąt, ty zawsze zarobisz i będzie dobrze.

— Ja to wiem.

W tej chwili zadźwięczały podkowy na bruku rynku, poznano powóz pana Floryańskiego, który według obiegających wieści wioził prezesa Spółki kopalnia-nej. Jakkolwiek pan Floryański znał niewielu żydów,

a gość żadnego, jednak większość kupców i pośredników odsłaniała głowy z wrodzonego szacunku przed pieńdzmi.

— Miasto, panie profesorze — mówił pan Floryński — prócz przedmieść jest przeważnie w rękach żydowskich, a Borysław cały.

— A gdzie dawni właściciele? — spytał profesor, zwracając swe oczy przesłonięte okularami na mówiącego.

— Większość zmarniała, inni jak właściciele gruntów borysławskich są w służbie u nabywców.

— To źle dyrektorze, zatem wasza Spółka jest pierwszą placówką w tej gałęzi przemysłu.

— Prawie. Były co prawda dawniejsze usiłowania, ale upadały pod naciskiem solidarności tutejszych kupców.

— A jakże wy sobie radzicie?

— Dotychczas jesteśmy górą i będziemy jak mam nadzieję, chociaż ich szkodliwą rękę czuję na każdym kroku, i tu, i w bankach starają się zaszkodzić Spółce.

Profesor zwrócił ku niemu swą wychudłą, pomarszczoną twarz i kręcąc delikatną ręką siwiejącą brodę spytał z lekkim naciskiem:

— Dyrektorze, to wasze zwycięstwo opierasz na rachunku, czy na wierze?

— Jedno i drugie, mamy kapitały i kredyt wielki, kopalnię urządziłem i prowadzę o ile mogę, według wszelkich wymagań nauki i praktyki podobnych zakładów zagranicznych, mam już naftę, rafinuję i wyprę z kraju produkta amerykańskie i kaukaskie.

— Hm... a co mówią rachunki dyrektorze?

— Pierwsze wkłady są zawsze znaczne, ale z czasem zamortyzujemy.

— Szczerze życzę wam powodzenia — mówił podając dyrektorowi swą rękę delikatną, nerwową. W głosie jego dosłyszał jednak pan Floryański pewien niepokój, uśmiechnął się i rzekł tonem wesołym i swobodnym:

— Nie obawiaj się profesorze o nas, Spółka zarobi miliony, i przynajmniej ten przemysł naftowy będzie krajowym po kilku latach pracy.

— Aby was tylko nie zjedli żydzi.

— O to niema obawy — zaśmiał się pan Floryański — mają za małe kapitały, aby prowadzić kopalnię tak jak my i urządzić takie fabryki, nie boimy się ich konkurencyi. Pan profesor sam zobaczy jak porządnie idzie u nas robota, bo uprzedzam, że po za studjami geologicznymi, musi profesor zwiedzić wszystkie nasze zakłady.

— I owszem, i owszem, bardzo tego pragnę — odpowiedział serdecznie — a to jaka fabryka?

Przejeżdżali obok rafinerji z jednej strony gościńca.

Profesor poprawił okulary i patrzył z zajęciem na wielkie budynki rafinerji, błyszczące w zachodzącym słońcu nowością i dokładnem wykończeniem. Obok stały ładne, z pewną elegancją i komfortem zbudowane domy urzędników rafinerji.

— Bardzo ładna, ale też musiała drogo kosztować, dyrektorze.

— Jak zwykle każda rzecz dobra.

— Dowozisz dyrektorze surową naftę?

— Nie, to koszt i kłopot. Bezpośrednio ze zbiorników w Schodnicy sprowadzam tu rurami.

— Ho, ho — zdziwił się profesor — to już zupełnie po amerykańsku.

— Daleko nam jeszcze profesorze do Anglików i Amerykanów. to dopiero początek — westchnął szczerze pan Floryański.

— I produkujecie dobrą naftę?

— Na razie najlepszą możliwą. Sprowadziłem z Belgii chemika specjalistę pana van Haechta, on udoskonalił rafineryę.

— Van Haecht?... van Haecht? A tak, tak, czytałem jego ciekawy artykuł o epoce oligoceniczej, bardzo dobrze napisał.

Profesor spojrział na prawą stronę, na fabrykę pana Krausberga, niezgrabną, brudną, z przybudówkami nieforemnymi, z lichą kamieniczką, mieszczącą biura i mieszkanie dyrektora.

— Jaka to fabryka?

— Cerezyńny.

— To pierwsza w naszym kraju... i taka niepozorna, czy dobrze idzie?

— Podobno nieźle, dawniej była licha cerezyna, ale obecnie sprytny żyd wziął na miesiąc van Haechta i ma wyborny produkt z większą wydajnością wosku. To doskonały interes, Krausberg dorobi się majątku.

— Jako? Zdawało mi się, że van Haecht był u was.

— Był tak długo, póki nie udoskonalił rafineryi,

taką miał umowę. Zapłaciłem dosyć drogo, ale za to mam naftę wyborną.

— I taka fabryka może opłacić van Haechta? — mówił zdziwiony profesor.

— Widocznie opłaca, i van Haecht mógłby był wziąć znacznie więcej za swoje odkrycia, tylko że on niebardzo praktyczny.

— Tak?

— Od Krausberga, właściciela fabryki, wziął tylko pięćdziesiąt tysięcy, i to w dwóch ratach, z miesięczną, bezpłatną pracą dyrektora, a dał mu zarobku rocznego sto tysięcy, a bodaj czy nie więcej.

— Hm... ano niepraktyczny jak każdy uczony, ale zawsze wziął ładny grosz.

— Który w części zostanie w kraju — kończył p. Floryański.

— Jakto? Zakłada fabrykę?

— Chyba dzieci — zaśmiał się wesoło administrator — bo żeni się z Polką, panną Bratkowską, ładną panną, już są po słowie.

— Żeni się?... No, proszę, taki mądry człowiek, chyba musi być młody — dziwił się beżenny przeciwnik małżeństw.

— O młody, lat ze trzydzieści.

— A, w takim razie nic dziwnego... no, a pan, panie dyrektorze, jakże z żeniączką?

— Nasza kopalnia wystarczy mi za żonę.

— Masz słuszność, kłopoty jednakowe, a zawsze człowiek spokojniejszy, bo to dyrektorze uczucie w życiu zaważy dużo, bardzo dużo, ale tak ogólne, społeczne, nie dla jednej czy dwóch kobiet.

Przez jakiś czas rozmawiali o tej kwestyi i zgodzili się obaj, że najlepszą i najwierniejszą kochanką jest nauka i praca społeczna.

Dojeżdżając do Borysławia, spotkali przy drodze znaczną ilość żebrzących, byli tam ślepcy, kulawi, bez ręki, ogłupiali idyoci z wiecznym uśmiechem na bezmyślnej twarzy.

— Borysław musi być litościwy, bo ściąga do siebie żebraków — zauważył profesor.

— To dawni robotnicy — objaśnił dyrektor — tu stracili zdrowie, tu szukają ocalenia od śmierci głodowej.

— Tak?? Jakże z kwestyą robotniczą u was?

— Wyzyskują ich żydzi, a rząd za słaby, nie przeciwdziała energicznie.

— No, a u was?

— W naszej Spółce robotnicy stosunkowo mają się lepiej, ale to kropla w morzu. Była już u mnie delegacya Związku robotników i zażądała pieniędzy na rzecz ich kasy.

— Cóż? Daliście?

— Odmówilem, bo na pijatykę nie chcę dawać, i ci naczelnicy nie budzą we mnie zaufania.

— Cóż oni na to?

— Grożą, jak zwykle. Kazałem też pilnować fabryk, przyrządów, domów, bo robotnicy to proch palny, lada iskra rzucona przez lada kogo, i wybuch gotowy.

— Jest agitacya? jakieś zorganizowanie?

— Niby, jednak to dopiero kiełkowanie czegoś, gdyby to był normalny, zdrowy ruch społeczny, tem

lepiej dla nas; ale to zdaje mi się, zwykły wyzysk sprytniejszych, nic więcej.

— Cóż na to żydzi?

— Drwią i słusznie.

— Jednak z tymi żydami może źle się skończyć; chłop cierpliwy, ale mściwy, mówi przypowieść. Kto wie, czy nie doczekają się tego, że nagle pewnego dnia zerwie się burza i zwieje ich jak zeschnięte liście z drzewa, to będzie straszny dzień sądu i kary.

— Sami idą w tym kierunku, bo wyzyskują wszystko i wszystkich haniebnie, wyodrębniają się z rozmysłem i drażnią bez miary. Nędza Galicyi, to przedewszystkiem ich robota i ich wyzysk.

— Dziwne zaślepienie — rozmyślał profesor — bo przecież doświadczyli następstw takiego postępowania w Egipcie, skąd ich wypędzono bez względu na wiek i płeć.

— Tyle lat... zapomnieli!

W najbliższe święto po obejrzeniu wszystkich zakładów Spółki, zawiózł pan Floryński swego gościa do fabryki rafinerii nafty, a po zwiedzeniu zapytał:

— Teraz profesorze, czekam twego sądu.

— Czy mam być szczery?

— Proszę o to.

— Hm... Widzi pan, z całości odniosłem wrażenie, że wy budujecie bardzo wspaniałą i piękny okręt, jednak nie zbadaliście wody, po której on ma płynąć.

— Nie rozumiem.

— Uważa pan... Galicya to mały, ubogi kraj, to płytka, często bagnista woda i wy z waszym wspania-

lym okrętem możecie utknąć, a żydowskie łódki popłyną dalej.

— To już pesymizm!

— *Ut falsus vates sim* — zacytował profesor wzdychając.

— Panie administratorze — zawołał dyrektor wpadając do pokoju — surowica przestała płynąć!

— Surowica? Zostawiłem przecież trzy pełne zbiorniki surowej nafty w Schodnicy. Telefonuj pan!

— Drut zerwany!

— Tak??? W takim razie pękła gdzieś rura i przerwała drut obok biegnący.

— Prawdopodobnie.

— Jedźmy profesorze do Schodnicy, ach gdyby oni tam dowiedzieli się w czas o tem.

— Duża strata?

— Około stu tysięcy jeśli wypłyną zbiorniki.

— Nie ma czasu do stracenia, jedźmy!

W zbiornikach zaledwie małą część surowicy zatrzymano kranami, reszta spłynęła rurą rozbitą przez wzburzonych robotników borysławskich.

Profesor, słuchając sprawozdania z przebiegu przyczyn i następstw mściwego rozerwania rur mruknął z westchnieniem:

— To pierwsza mielizna!

XXXII.

— Przeszedłem wcześniej dzisiaj, czy jesteś zadowolona Zosiu? — Mówił pan Haecht, witając narzeczoną w małym saloniku.

— Więcej aniżeli kiedykolwiek, byłam bardzo niepokojna o ciebie i już chciałam prosić Karola, aby pojechał do ciebie i przywiózł mi wiadomość.

— Skądże ten niepokój bardzo pochlebny i miły dla mnie?

— Zdawało mi się, że już nie żyjesz.

— Aż tak dalece!? — zaśmiał się: — Czy byłaś przesadną?

— Miałam straszny sen, ale tak wyraźny, tak tchnący rzeczywistością i prawdą, że do tej chwili jestem pod jego wrażeniem i dziwię się i cieszę, że cię oglądałam zdrowego i żyjącego.

— Zaraz przekonam cię moja najmilsza, że wiara w sny i przecucia, to tak dobry przesąd, jak niechęć do liczby trzyście. Wpierw jednak opowiedz mi twój sen, i może pozwolisz mi usiąść — mówił wesoło, całując jej białą rękę.

Usiedli oboje blisko na kozetce, a pan Haecht pieszcząc jej rękę rzekł:

— Opowiadaj Zosiu, będę słuchał, ale twej rączki nie puszcze.

— Jak się zaczął mój sen, nie pomnę. Wyobraź sobie pokój wielki, pięć razy, sześć razy większy od tego... pełen jasnego, dziennego światła, białe ściany, duże okna, ale prawie pusty. Stolek czy stół w kącie, ławka przy ścianie i nic więcej. Wiem, widzę, doznaję takiego uczucia, jak gdyby to było nasze, a przecież jakie to dla mnie obce, nowe, nieznanne. Stoję na środku bezradnie, niby oczekując na coś, niby szukając czegoś zapomnianego. Po pokoju chodzi mój ojciec zamyślony, milczący, smutny, ze spuszczoną głową. Nie rozumiem dlaczego nie zdaję sobie sprawy, nie dziwię się, że twarz ojca jakaś inna, wydłużona, bez zarostu, chuda... Ogromne, szerokie podwoje stoją rozwarłe na oścież, za nimi kawałek przyémionego nieba, powietrze ciche, uroczyste, bez oddechu, trochę mroczne, jak kiedy słońce schowa się za większy obłok. Widzę w jednej i tej samej chwili, stanąwszy za rozwartymi drzwiami, na prawo, u ściany, że dom nasz stoi na niewielkiem wzgórzu i że dokoła niego rozpościera się płaszczyna bezmierna, zrzadka tu i owdzie zasiana białymi, murowanymi siedzibami ludzkimi, nie mogę odgadnąć dlaczego ludzkimi, skoro ani okien, ani dachów nie było na nich widać. Pusto, bezludnie wszędzie, tylko zdala na całej przestrzeni słychać wyraźne, ostre, aczkolwiek zresztą pod każdym względem nie przykre, owszem zwyczajne, otuchy nie-

mal dodające psów szczekanie — długie, ciągle, nieustające...

— Nic dziwnego Zosiu, musiał pies ujadać pod oknem, w ogrodzie, a inne mu odpowiadały — uśmiechnął się.

— O nie, nie... słuchaj co się stało dalej. Patrzą, i nagle spostrzegam o jakie kilkadziesiąt kroków...

— Co tobie? Drżysz cała, blada jesteś, ależ uspokój się, Zosiu moja najmiłsza, najdroższa.

— To nic, to tylko teraz wydaje mi się takie okropne, wstrętne, brudne... we śnie nie uczułam najmniejszego przerażenia, skamieniałam, byłam całkowicie spokojna, wiedziałam na pewno, że już po mnie, że zginę niechybnie, że ginę...

— Moja ukochana, to opowiadanie rozdrażnia cię, daj spokój, nie mówmy o tem.

— Przeciwnie ty i przedewszystkiem ty musisz mnie wysłuchać — zawołała rumieniąc się.

— Ależ słucham, cóż dalej?

— W tym śnie musi być prawda jakaś, przestroga, to świat niewidzialny stał się dla mnie we śnie widzialny.

— Zaciekawiasz mnie, mów!

— Nic nie zmyślam, nic nie dodaję... Po drodze przed nami, na nasz dom, pędził jak wichur, prosto ku nam żubr olbrzymi, straszny, wściekły... wydał mi się zdaleka zwinny, silny, barczysty... Potężne, zwoiste rogi na łbie; wypukłe błyszczące źrenice... nagle uskoczył w bok trochę... i teraz najdokładniej, najwyraźniej, w jednym mgnieniu oka spostrzegłam, że to nie był

żubr... Nie miał łba, tylko gatunek — ot takiej, niby pokrywy plugawej kadzi; coś w rodzaju tarana osieka-jącego, pniącego się; coś jak tarcza mięsista, płaska, kudłata, skorupiasta — najeżona tysiącem klów i wąsów, barwy ciemno-ryżej, ślizkiej, ohydnej, zerkającej, i na jednym z klów wisiało coś białego, martwą białością, z przyklejonymi włosami, ociekłego brudną masą. Z tym łbem kadłub... cielsko olbrzymie, wydęte, kłocowate, pokarbowane, oślizłe, miękkie, czolągające się po ziemi, o trupim zgnitym kolorze potwornego raka... Parło to najprościej w kierunku drzwi przy mnie. Rozległ się zduszony łomot. Tuż przedemną, cudem jakimś, nie dotykając mnie wcale, wciskał się ten potwór w podwoje, z syczeniem i szelestem niewypowiedzianie odrażającym, żebra, boki, klejby, łapy, monstualnego tego pluskwowolu — mokre, czerwone, kosmate, odurzająco cuchnące. Parło się to w drzwi widocznie ciasne — i kurczyło się, ugięło, grzebiąc się, chwytając wstrętnymi racicami za próg. We mnie nic nie drgnęło, nie nie zamarło, oburącz tylko usiłowałam odepchnąć od siebie połówkę podwoi, które mię teraz zaczęły przypierać do ściany, oddechu, powietrza mi brakło, chociaż zaczął przez drzwi przezierać błękit nieba i promienie łagodne, powiewne, gojące i uśmierzające. W pokoju za mną zalegała cisza grobowa, głęboka, bezmierna... Przypomniałam sobie, że na jednym z klów coś wisiało... spojrzałam... i w tej chwili ten wstrętny potwór rzucił na środek pokoju coś białego, okrągłego, splamionego ciemną masą... to było żyjące, drgało, patrzyło głębokimi oczodo-

łami, i poznałam... to była twoja ukochana głowa, twoje rysy, twoje włosy...

Wybuchła łkaniem gwałtownym, on trochę zmieszany, zaniepokojony, tulił ją szepcząc:

— To tylko sen, to dzieciństwo, przecież żyję, kocham cię, tulę do siebie...

— Nie, nie, w tem jest rzeczywistość. jej przeżucie... — mówiła załzawiona i pełna smutku.

— A jaka? — uśmiechnął się z przymusem.

— Nie wiem, może ten potwór, to owa nienasycona gorączka milionów, która zabiła mego ojca; może to jakaś dzuma, epidemia grożąca wszystkim; może to jakiś człowiek straszny, bezwzględny, okrutny...

— Dzieciństwo! Na twoją pociechę powiem ci, że skończyłem z Krausbergiem jeden interes, a zawiązałem drugi.

— Jaki?

— Zapłacił mi dziś resztę należności dwadzieścia pięć tysięcy, a teraz piszą u notaryusza nowy kontrakt.

— ??

— Przyjmuję u niego miejsce dyrektora za pięć tysięcy rocznie i wszystkie odpadki z fabryki czerzyny są tylko moją własnością, w ciągu kilku lat będziemy mieli miliony, prawdziwe miliony.

— Jakim sposobem?

— Z tych resztek fabryki, wyrzuconych na hałdy, już osiągnąłem siedm procent czerzyny, czyli przy przeróbce 20,000 centnarów wosku, mam na czysto tysiąc czterysta centnarów czerzyny płaconej dziś po sto guldenów.

— I Krausberg się zgodził?

— Z wielką chęcią, gdyż nie wie, że mam sposób wydobycia czystej cerezyny z wyrzuconych resztek fabrykacyi.

— Ach, tak się boję tego Krausberga, już ci mówiłam, że on zgubił mego ojca.

— Ale mnie nie zgubi! — zaśmiał się. — To zemsta losów, logika przeznaczenia, zabrał ojcu majątek, odda dzieciom dziesięćkroć.

— Ach mój drogi, mój miły, czy nie mógłbyś ominąć tego Krausberga i jego fabryki? Taki niewytlómaczony lęk mnie ogarnia, tak się boję...

— Dzieciństwo! Jesteś rozdrażniona, zdenerwowana snem, ale to minie — i całował jej ręce, wpatrując się rozkochanym wzrokiem w jej twarz pobladłą i smutne oczy: — Jakaś ty zawsze piękna, dobra, słodka... Kocham cię w radości i smutku, w szczęściu i cierpieniu, tu na ziemi i tam za grobem, boś ty mojem marzeniem, rozkoszą, życiem, wszystkim!

Słowa jego miłości i zachwytu ukołysały jej niepokój, i już uśmiechnięta przemówiła weselej:

— Chciałabym, abys i po ślubie zachwycił się mną tak, jak teraz, ale...

— Zawsze, zawsze będziesz dla mnie najmilszą, najukochańszą! Twemi oczami chcę patrzeć na świat, twem sercem odczuwać i razem, nierozdzielnie iść z tobą nietylko przez to życie, ale i tam w zagadkowym tajemniczym świecie duchów — znów całował jej ręce, coraz namiętniej.

— Dosyć, dosyć mój panie — śmiała się usuwając ręce — wracajmy do rzeczywistości.

— Tyś moją rzeczywistością i marzeniem, i chcę byś jaśniała jak brylant najkosztowniejszy, którego za-
zdroszciliby mi wszyscy i każdy nim się zachwycał.

— Pragnę tylko twego zachwyty.

— Czyż nie odczuwasz, jak dalece jestem oczarowa-
wany twą pięknością i dobrocią?... Ale świat podziwia
drogie kamienie wówczas, gdy są oprawione w złoto,
i ja cię obsypię i zasypię złotem uczuć moich i złotem
zdobytem moją pracą.

— Słuchając ciebie, mam złudzenie, że istotnie
nasza przyszłość będzie jasną, bez chmur i burzy.

— I taką będzie, boś ty dla mnie słońcem, tym
błogosławionym i dobroczynnym promieniem, od którego
taje mróz rozczarowań, przykrości i egoizmu.

— Mówisz jak poeta.

— Może jestem poetą w uczuciach, ale w życiu
jestem praktyczny.

— A dowody? — uśmiechnęła się.

— Mam w tej chwili 60.000 guldenów, z tych
dziesięć wyniosą koszta przyrządów do uzyskania cere-
zyny z resztek fabrycznych, a dwadzieścia przeznaczam
na urządzenie wewnętrzne naszego domu, już część po-
kójów jest wytapetowana i posiada nowe posadzki, me-
ble zamówione, czy jeszcze ci mało mej praktyczności?...
Pozostaje mi trzydzieści tysięcy, i mam wielką prośbę
do ciebie, przyrzeknij, że spełnisz, proszę cię o to.

— Nie wiedząc jaką, nie mogę się zobowiązać;
ale powiedz, jeśli tylko będę mogła, chętnie ją wypełnię.

Wiesz, nie mogę być stróżem moich pieniędzy,
pilnować ich i bać się złodziei, otóż one sprawiają mi

ten wielki kłopot, zechciej więc przyjąć je i rozrządzaj nimi, jak własnymi.

— O co to, to nie! Pieniądze te są twoje, a nawet jako żona nie będę nimi rozrządzała, nie mieszaj do naszych uczuć kwestyi pieniężnej.

— Zosiu, proszę cię, błagam, weź!

— Ach jaki ty dziwny!? Czy nie rozumiesz, że ja jako biedna, bezposażna, nie przynosząca żadnych pieniędzy do wspólnej kasy, nie mogę nic przyjąć. Te pieniądze piekłyby mnie, bolały, drażniły, zdawałoby mi się, że mnie kupiono, zapłacono mi moją miłość, że masz do mnie prawa właściciela... Nie, nie przyjmę.

— Ależ Zosiu, przecież nasz ślub za sześć tygodni, ty powinnaś dbać o nasz wspólny majątek...

Weszła pani Bratkowska, a widząc córkę zarumienioną, a narzeczonego z wyrazem prośby na twarzy spytała z uśmiechem:

— Czy zaczynają się już spory? Może zawczasie?

— Pani jako praktyczna osoba — przemówił chemik — zechce rozstrzygnąć sprawę między nami.

— Wiem doskonale, że mama...

— Przepraszam — zawołał narzeczonego — wpierw ja przemówię, bo ja oskarżam. Otóż mojem zdaniem, żona powinna ponosić przykrości na równi z mężem, jako mąż mam na głowie fabrykę, mam urządzenie mieszkania, zaś moja przyszła żona, powinna przynajmniej strzedz przed możliwą stratą pieniądze zarobione, czy nie tak?

— Zgadza się z panem, o cóż idzie?

— Tymczasem napróżno proszę mej przyszłej żony,

aby się podjęła tego obowiązku, i wzięła w swoją opiekę odebraną dziś sumę trzydziestu tysięcy, odmawia i naturalnie stanie się przez to przyczyną naszego zubożenia; a teraz czekam wyroku — uśmiechnął się tryumfująco.

— Jestem tak pewną, że mama będzie po mej stronie, iż nie przemówię w mej obronie.

— Poglądy pana na obowiązki małżonków są bardzo słuszne i sprawiedliwe — zaczęła pani Bratkowska — i miałabym za złe Zosi, gdyby się usuwała od ich spełnienia, ale zachodzi w tym wypadku ta okoliczność, że nie jesteście po ślubie, ona nie jest jeszcze żoną, a pan mężem... więc ona ma słuszość.

— Tego nie spodziewałem się zupełnie — zawołał prawie zgorszony — nasza miłość i dane słowo są ważniejsze od ślubu.

— Może, i o to nie będę się spierała, ale tytuł i prawa żony liczą się dopiero od chwili ślubu.

— Wiedziałam, że mama tak zadecyduje.

— Zatem zgoda — powiedział, całując rękę pani Bratkowskiej — wyrok przyjmuję, bo nie mam wyższej apelacyi; jednak w takim razie proszę panią, jako naszą matkę, abyś wzięła te pieniądze na przechowanie, bo istotnie mogą zginąć z mego mieszkania.

— Czy nie ma pan kasy? jakiego schowka?

— Za mało pieniędzy na kasę ogniotrwałą — zaśmiał się swobodnie — a o pożar fabryki tak łatwo, i moje otoczenie nie wzbudza we mnie zaufania.

— Mama może przyjąć, sama nawet pomogę pilnować, ale ja nie wezmę.

— Oto są, proszę pani, proszę przeliczyć — mówił podając pakiet papierów — wziąłem je dziś od Krausberga.

— Od niego?... Jego pieniądze nie przynoszą szczęścia — westchnęła przypomniawszy sobie męża.

— To już zakrawa zupełnie na przesadę — zaśmiał się z ironią — Krausberg nie jest zły człowiek, to zwykły typ handlarza dorabiającego się pieniędzy; zimny, oszczędny, rachunkowy...

— Pan go nie zna, tak jak my — odezwała się matka — on przynosi ze sobą nieszczęście.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Ja wierzę jednak że są ludzie, którzy dla swego otoczenia są błogosławieństwem, a inni przekleństwem — mówiła zamyślona panna Zofia.

— To zależy od ich etycznego wykształcenia — rzekł chemik tonem wyjaśnienia.

— A mnie się zdaje — zaczęła panna Zofia — że prócz etyki działa tu jakaś inna siła, bo są w dziejach ludzie, którzy nakształt dżumy, siejąc potworne zbrodnie, przeszli przez ludzkość, zostawiając za sobą krwawy pas nieszczęść, taki Kaligula, Neron, Torkwemada, książę Alba... i tylu, tylu innych.

— Wyrzutki albo maniacy.

— Nie sądzę, bo jeśli na ziemi, w naturze samej, istnieją miejscowości, któreby można nazwać siedliskiem cierpień, chorób i śmierci, mogą być i tacy ludzie.

— Metafizyka! — uśmiechnął się z pobłażliwością. — Miejscowości takie są uwarunkowane glebą, klimatem, prądami powietrznymi, a tacy źli ludzie są wytworem

środowiska, wśród którego żyją, i rodzajem zajęcia, któremu się oddają.

— Zosiu daj mi pióro — odezwała się pani Bratkowska ukończywszy liczenie pieniędzy — chcę napisać kwit dla pana Haechta.

— Kwit? W jakim celu? — spytał.

— Poświadczający przyjęcie tej sumy na przechowanie i zarazem moje zobowiązanie oddania tej sumy na każde zażądanie.

— Przecież pani matką a pieniądze należą do córki, a mojej przyszej żony.

— Może tak będzie, ale czy kto z nas wie, co nas czeka?

— Mnie szczęście! — mówił patrząc rozkochany na narzeczoną.

— Pana może, ale ja mogę dziś umrzeć, za godzinę, i zawsze bezpieczniej zostawić słówód.

— Ma pani słuszność, zapomniałem nawet o śmierci, tak mi teraz dobrze, taki jestem szczęśliwy... Ostrożność jednak nie zawadzi nigdy.

Po otrzymaniu pokwitowania rzekł.

— Pozwoli mi pani papieru i pióra, mam napisać słów kilka.

— Proszę pana tu na biurku...

Siadł i na wszelki wypadek rozporządził całym swym majątkiem, a tegoż dnia przy podpisaniu sześcioletniej umowy z p. Krausbergiem u notaryusza, zażądał od tegoż poświadczenia swego podpisu.

XXXII.

Pan Lejzor Krausberg wracając z Wolanki wstąpił do swej fabryki. Z bramy skręcił na lewo do biur i rękami zgrabiałemi z zimna otworzył drzwi do pokoju wielkiego, z białemi ścianami, o trzech oknach, przez które wpadało światło dnia zimowego. Na środku pokoju stał wielki stół dla pisarzy, i jedno biurko stare pod ścianą dla samego właściciela.

Pokój mimo rozpalonego pieca, z powodu nagości ścian, ubóstwa sprzętów, białego światła odbitego od śniegu, robił wrażenie jakiegoś zimna, chłodu, smutku i opuszczenia.

Z trzech pisarzy, siedział przy stole jeden, zgarbiony nad papierami.

— Szaja gdzie tamci? — spytał właściciel wskazując na puste krzesła.

— Jeden liczy książki cerezyny, a drugi pojechał za interesem fabrycznym do miasta.

— Co ty robisz Szaja?

— Piszę list z obstalunkiem kwasu siarkowego.

Fabrykant zbliżył się i przez ramię piszącego od-

czytywał list, spostrzegłszy na stole list w zamkniętej kopercie, spytał:

— A to co za list?

— Przyniósł go dyrektor, aby wysłać z naszymi listami.

— Ty nie wiesz Szaja — mówił biorąc list w rękę i odczytując adres — czego chce dyrektor od fabryki Sprengla.

— Ja nie wiem.

Panu Krausbergowi zaświeciły się oczy z ciekawości, nie mógł rozstać się z listem. Co może dyrektor van Haecht pisać do fabrykanta? Może zdradza jego fabrykę? Donosi o nadużyciach mieszania do cerezyny gipsu, kaoliny... może napisał o miejscach zbytu... Różne podejrzenia snuły mu się po głowie, i postanowił bądź co bądź ten list odczytać. Spojrzał na pisarza z niedowierzaniem:

— Szaja daj mi twój list; ja sam oddam na pocztę, i jeden i drugi.

— Zaraz panie Krausberg.

Odbierając list z rąk pisarza, wydał rozporządzenie:

— Szaja, kiedy kończysz twój list?

— Już skończony, tylko wybiję nasz stępel.

— Szaja, idź i zawołaj mi tu Icka.

— A jeśli on nie skończył zapisywania cerezyny, co on zrobi?

— Ty Szaja możesz go zastąpić.

Po jego wyjściu patrzył uporczywie w list dyrektora, świdrując oczyma kopertę, wreszcie uległ palącej

go niecierpliwości, wyjął scyzoryk i rozciął kopertę. Dyrektor van Haecht pisał do fabryki Sprengladostarczony mi siarek węgla był za słaby do ekstraktowania cerezyny, proszę o przysłanie silniejszego, bardziej skoncentrowanego...

Na co ten siarek węgla, zrozumiał pan Krausberg natychmiast, on go używa do eksploatacyi resztek fabrycznych. Westchnął z żalością i uśmiechnął się gorzko na myśl, że jego własny wosk, taki drogi, zdobywany z takim trudem, służy drugiemu do wzbogacenia się, ten van Haecht okrada go przecież, wyzyskuje okropnie, bo to własność fabryki, wszystko powinno należeć do niego, do Krausberga. Bolały go nietylko zarabiane przez dyrektora pieniądze, ale jeszcze bardziej, że on Krausberg, którego nikt nigdy nie wywiódł w pole, którego współwyznawcy nawet obawiali się i uznawali spryt nadzwyczajny, który od samego Floryańskiego umiał wyciągnąć pieniędzy, on, Krausberg został przechytrzony przez takiego młodego inżyniera! Zapłacił mu nietylko pięćdziesiąt trzy tysiące guldenów, ale zrobił z nim umowę na sześć lat, odstępując mu resztki fabryczne, na których ten przebiegły człowiek robi miliony, te miliony kradnie w jasny dzień, zupełnie prawnie, i on musi na to patrzeć, widzieć tryumf tego człowieka.

Czuł się głęboko upokorzony, stracił wiarę w siebie, zaufanie w swój rozum i szczęście. Nienawidził tego człowieka i do szału gniewu doprowadzała go myśl, że beczynnienie musi patrzeć na wyzysk dyrektora, bo jest bezsilny.

Wszedł Icek pisarz, nizki, z twarzą szeroką, z za-

rostem rudym, kępiastym, spojrzal małemi, zielonkowa-temi oczkami badawczo na właściciela, pytając:

— Co pan Krausberg każe?

— Ja chcę wiedzieć, czy napisałeś już do Wurma, że niżej 105 guldenów nie oddam mojej cerezyny.

— Wczoraj poszedł list.

— Czy ty Icek zważyłeś moją cerezynę?

— Ja już zważyłem panie Krausberg, i cerezynę pana dyrektora.

— Ile jest na składzie?

— Jest panie Krausberg naszej dziewięćdziesiąt siedm, a dyrektora pięćdziesiąt trzy centnary.

— Ty się mylisz Icek, on ma tyle cerezyny? To nie może być.

— Panie Krausberg tak jest, ja się nie mylę, mnie samego serce boli, ale on ma tyle za dwa tygodnie fabrykacyi.

— Czy ty wiesz Icek, że on za dwa tygodnie zabrał z naszej fabryki pięć tysięcy trzysta guldenów!

Uśmiech złośliwy zamigotał na szerokich ustach, podniósł twarz piegowałą w górę i rzekł:

— Panie Krausberg, on zarobi na pańskiej fabryce miliony, taki Francuz, taki goj chrześcijański.

Fala nienawiści, gniewu, pasyi, zazdrości napłynęła tak silnie na pana Krausberga, że ciemna twarz jego zżółkniała, zatrząsł się, odetchnął głęboko, jak w obawie uduszenia i zamruczał srogie przekleństwo. Mimo chłodu panującego poczuł gorąco, rozpiął chałat, a gdy i to nie pomogło, aby siebie uspokoić, szukał czapki, by wyjść na podwórze.

— I pomyśleć panie Krausberg — zaczął Icek pokornie, ale tonem bardzo szczerzej zazdrości — że pięć kociolków, ogrzewanych naszą parą, w naszej fabryce, dają mu taki dochód, to można zwaryować.

— Ty Icek masz rację! — mruknął.

— Żebym ja tylko wiedział, co on leje do asfaltu naszego, ja sam zrobiłbym cerezynę!

Pan Krausberg, będąc już blisko drzwi, spojrział z ciekawością na pisarza, mówiąc:

— Jak ty się dowiesz Icek, ty zrobisz?

— Zrobię panie Krausberg, a jeśli nie ja to Srul dozorca, on mi to sam mówił, bo nas boli wszystkich ten jego zarobek.

Na podwórzu fabryki, zawałonem śniegiem brudnym, porzniętym kołami, osypanym pyłem węgla stanął pan Krausberg i patrzył wokoło bystrem okiem, czy gdzie nie wysledzi nadużycia.

W głębi spostrzegł stojącego dyrektora van Haechta, odwrócił się od niego z pogardą i nienawiścią.

Robotnicy otulając się w kożuchy i świtki, wychodzili z fabryki, ociężali, senni. smutni.

Właściciel skierował swe kroki do magazynu.

— Nu Szaja, co robisz? — spytał pisarza.

— Ja zapisuję panie Krausberg.

— Co ty zapisujesz Szaja?

— Ja już zapisałem panie Krausberg dwieście centnarów wosku, to ładny majątek, szkoda, że on cały nie należy do pana Krausberga.

— Jakto nie należy? Szaja to mój wosk!

— Ja to wiem, ale cerezynę zabiera i dyrektor.

— Bodajby on przepadł — mruknął właściciel z zawziętością.

— Bodaj przepadł — powtórzył pisarz jak echo.

Dzień zimowy miał się ku końcowi, chmury na niebie zaczęły nabierać fioletowego koloru, prusząc lekkim śniegiem. Pan Krausberg przechodząc spotkał dyrektora.

— Dobrze, że spotykam pana, panie Krausberg, chciałem uprzedzić pana, że przez dwa dni nie będę w fabryce.

— A dlaczego panie dyrektorze?

— Jutro mój ślub.

— Z panną Bratkowską?

— Tak. Czego się pan tak dziwi?

— Pan dyrektor robi zły interes, ta panna niema posagu.

— Za to ja mam pieniądze. Za sześć lat będę miał milion, co najmniej.

— Jakto panie dyrektorze?

— Bardzo prosty rachunek. Z ostatniego ekstrakowania resztek mam już dziewiąty procent, a doprowadzę napewno do dwudziestego, a gdy zwiększymy ilość wosku surowego do trzydziestu tysięcy, będę miał mojej własnej cerezyny sześć tysięcy centnarów.

— To jest bardzo piękny interes — zaśmiał się nerwowo pan Krausberg.

— Zobacz pan teraz, jak świetnie działają moje filtry — mówił dyrektor idąc w kierunku budynku fabrycznego.

— Ja mogę zobaczyć panie dyrektorze.

Weszli do oddziału filtrów, pan Krausberg niebardzo rozumiejąc urządzenia potakiwał rozmownemu dyrektorowi, którego podniecała blizka chwila ślubu z ukochaną. Od filtrów przeszli do kotłów z woskiem rozgrzanym do 320°.

— Panie dyrektorze, ja nie mogę — wołał pan Krausberg — mnie tu dusi.

— Za chwilę wyjdziemy, muszę zobaczyć czy nie zapaliły się gazy w kotłach.

Szedł dalej, prowadząc za sobą pokaszlującego właściciela.

Weszli na platformę.

Dyrektor van Haecht zbliżył się do wrzącego kotła, który zwolna miał ostygnąć do 160 stopni, umożliwiających przeniesienie cieczy do filtrów. Stał nad niską baryerą, zatykając usta chusteczką, by bezpośrednio nie wdychać zamraczających gazów, obok stał pan Krausberg, wpatrując się w brudną ciecz kotła.

— Chodźmy — rzekł dyrektor — płomyki nigdzie nie błyszczą.

— Panie dyrektorze, zdaje mi się, że tam się pali — zawołał pan Krausberg nachylając się nad kotłem.

— Gdzie?

— Tam, na prawo...

Dyrektor wychylił się do połowy ciała przez niską baryerę, i nagle nogi oparte na oślizłej blasze posunęły się i pan van Haecht został własnym ciężarem przrzuconym na stronę kotła. Jedną ręką chwycił się krawędzi kotła i zawisł na chwilę. Twarz jego wyrażała

straszna, przedśmiertną walkę, była w niej obawa, strach, rozpacz i prośba o pomoc.

Pan Krausberg już wyciągnął rękę, zniżył się, ale w jednej sekundzie wyprostował się, patrzył bezlitośnie na spadającego, potem odwrócił się i wyszedł zwolna innemi drzwiami, mrużąc:

— Tak Bóg chciał.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

Abr. Złudzenia, powieść z czasów Xięcia Józefa Poniatowskiego	1 35
Arwor. Na giełdzie cnoty, rysunek z pamięci	1 —
Berlicz-Sas (Strutyński). Dwie babki, pamiętnik. (I. Pani kasztelanowa trocka. II. Pani starościna horodelska), 2 tomy	2 —
Burzyński K. Tahir Bej, powieść ze wspomnień życia obozowego, 2 tomy	1 80
Bykowski Piotr Jaxa. Memoryalik palestranta trybunalskiego	1 50
Chełmicki Z. ks. Requiescat in pace, opowiadanie. Wydanie wytworne kop. 80; w ozdob. oprawie	1 20
Chłędowski K. Królowa Bona, obrazy czasu i ludzi, 2 t.	1 80
Corelli Marya. Księżna Ziska, powieść	— 75
— Morderca, powieść	— 50
Cwirko. Po szczęście. Kartka z pamiętnika	1 —
Delpit Alb. Za grzechy życia, powieść	— 60
Exterus. Po zdrowie, powieść	1 20
Faleński F. Utwory powieściowe. Tom I.	1 50
Treść: Zdaleka i zbliżka. — Na schyłku starego roku. — Strzępy dawnej okazałości. — Światne widoki pani Marcinowej. — Bez służby.	
Gawalewicz M. Bluszcz, historia małżeńska	1 20
— Cma, materiały do powieści. Wyd. 2-e, z ilustracyami Illinicza	1 20
— Cudak, powieść	1 20
— Drugie pokolenie, powieść, 2 tomy w jednym. Wydanie 2-e	1 60
— Dusze w odlocie, z pamiętników młodego lekarza, nowella z ilustracyami E. Lindemana. Wydanie 2-e, kop. 80; w oprawie	1 20
— Mechesy, powieść, 2 tomy	4 —
— Mgła, powieść	1 20
— Motyl. — Philemon i Baucis. — Ostatnia schadzka. — Filiżanka. — Prolog — kop. 80; w ozdob. oprawie	1 20
— Od jutra, powieść współczesna, z papierów rodzinnych spisana	1 50
— Szubrawcy, powieść, 3 tomy	3 —
— Z mego albumu. Zbiór szkiców i obrazków	1 20
Treść: Zuzanna. — Mimi. — Świerk na pustkowiu. — Zgaszone gwiazdy. — Moja mamka. — Literat.	
.. Galerya szkiców z natury. Wyd. nowe, poiększone i ozdobione rysunkami Piotra Stachiewicza	1 80
Treść: Kokoszka. — Astra. — Trusia. — Baba. — Komediantka. — Muszka. — Walentowa. — Pani hrabina. — Bziczek. — Tanta. — Inseparables. — Muu... — Mrówka. — Otellina. — Ofiara.	

F

21983